



De. II. 1.

# K O N G O .

PRZEZ

Edmunda S. Naganowskiego.

1. „Official Papers presented to Parliament. Correspondence between Great Britain and Portugal regarding the Congo Treaty“ (Africa nr. 2, 1884). Następne dokumenta passim aż do Afr., 5, 1885.
2. „Despatches from the British Consul at Loanda“ (Afr., 4, 84).
3. Stanley'a — „Through the Dark Continent“ (1878) i „The Congo and the Founding of its Free State“ (2 t., 1885).
4. Wauters'a — „Le Congo au point de vue économique“ (Bruksella, 1885).
5. Laveleye'a — „Les Français, les Anglais et le Comité international sur le Congo“ (Bruksella, 1885).
6. „Aktenstücke betreffend die Kongo - Frage. Dem Bundesrath u. dem Reichstage vorgelegt im April 1885.“ Berlin.
7. Miesięcznik „Revue Coloniale internationale“ 1884—85.

Nie wiele się w literaturze naszej pisze o dalekiej napozór kwestyi afrykańskiej; ograniczono się dotychczas na zaznajomieniu czytelników z topografią i z etnografią utworzonego wielkiego Stanu Wolnego, czyli nowego państwa „międzynarodowego“ Kongo<sup>1)</sup>. Sprawa afrykańska staje się atoli z każdym niemal dniem więcej kwestyą europejską, która rychłej lub później, a prawdopodobnie po załatwieniu ważniejszych spraw w samej Europie, wystąpi na miejsce kwestyi wschodniej i rozgrywać się będzie między kilku mocarstwami europejskimi.

1) Przegląd powszechny, wychodzący w Krakowie, wydrukował w r. 1885-ym w 2-oh zeszytach (sierpień i wrzesień) obszerną rozprawę p. M. S., przedstawiającą dokładny obraz historyczny usiłowań podejmowanych w celu zbadania i ucywilizowania Afryki środkowej od najdawniejszych aż do naszych czasów, t. j. do zamknięcia konferencyi berlińskiej. Red.

Dla dokładniejszego oryentowania się na polu tak rozległych obszarów oraz w sferze tak różnorodnych interesów politycznych, ekonomicznych i handlowych, należy nam przedewszystkiém poznać wielkość tego nowego państwa Kongo; zaznajomić się z jego klimatem, ludnością, z przyrodzonym bogactwem ziemi, — oraz z innemi warunkami pod względem handlu, oraz obecnego położenia politycznego z uwzględnieniem interesów, które pewne mocarstwa europejskie już tam posiadają. Jedniém słowem: zamierzamy przedstawić czytelnikowi nowe państwo Kongo — ten nowy „Stau Wolny“ w zachodnio-środkowej Afryce pod względem geograficznym, handlowo-przemysłowym i dyplomatycznym.

Prosimy tedy czytelnika przedewszystkiém, aby wziął do rąk dobrą świeżą mapę specjalną Afryki zachodniej.

## I.

Z Abisynii, na północy, aż do ujścia rzeki Zambezy, na południowo-wschodniem wybrzeżu, rozciąga się wielkie pasmo gór Afryki wschodniej. Pasma to składa się z jednego głównego łańcucha i z kilku mniejszych ogniw, wznoszących się mniej więcej w kierunku równoległym. Ogromna ta masa gór zwraca się stokiem wschodnim ku oceanowi Indyjskiemu, — stokiem zaś zachodnim osadza się na płaszczynach Afryki środkowej. Wśród tego zachodniego gniazda gór rozlewają się rozległe jeziora, tworzące system wód spokojnych, największy w świecie, bo przewyższający ogromem i pięknnością jeziorzyska Ameryki północnej. Z tych jezior afrykańskich dwa są sławne, jako źródłowiska Nilu: — jezioro Wiktoryi i jezioro Alberta. Tanganjika rozdziela porzecze dwóch największych spławów tej części świata. Nakoniec, jezioro Bemba wysyła z łona swego potężne i niemal od samego początku majestatyczne fale rzeki Kongo.

Poniżej, dalej na południe, prawie na 10-ym stopniu szerokości południowej, ciągnie się w poprzek całego lądu inne pasmo gór przez całą szerokość stałego lądu afrykańskiego, od oceanu Indyjskiego do Atlantycznego. Ważność tego łańcucha polega na tém, że góry te stanowią wyraźny przedział wód obydwóch oceanów; poniżej niego widzimy bowiem porzecze Zambezy, należące do Afryki południowej — powyżej zaś porzecze Kongo, należące do Afryki środkowej. Poprzeczne to pasmo gór tworzy z wielkim systemem gór wschodnich rodzaj kąta prostego; w którym na 11-ym stopniu szer. połud., leży jezioro Bemba — wspaniałe zwierciadło wód, wzniesione 3,690 stóp nad poziom morza i tak niemal wielkie, jak W. Ks. Poznańskie. Jezioro to ma stały odpływ wprost na północ, a odpływ ten... to rzeka Kongo.

Nad jeziorem Bemba, w okolicy bagnistój, zarostój olbrzymiemi trawami i lasami oczeretów—Livingstone został dotknięty śmiertelną chorobą, brodząc całemi dniami po trzęsawiskach, w których chciał doszukać się nieznanego źródła tajemniczój rzeki północnej. On to

jezioro odkrył i on mu dał nazwę (Bangwéolo), dziś skróconą. Tu, między wybrzeżem południowym i górami, rozdzielającymi obydwie systemy wód, zakończył życie (w maju, 1873) wielki ów podróżnik na polu swego największego odkrycia. Ale, jak Kolumb i tylu innych, zginął i on — zanim poznał pełną doniosłość ostatniej swój zdobyczy. Sądził Livingstone, że jezioro Bemba musi ukrywać zdrojowisko Nilu i bodaj ani zamarzył o Kongo. Umierając przedwcześnie, pozostawił jeszcze po sobie tę zagadkę. Rozwiązał ją w pięć lat później Henryk M. Stanley, podczas swój podróży „w poprzek ciemnego ładu.“

Nie będziemy tu opowiadali kroniki pierwszych odkryć Stanleja, bo znane są powszechnie; wystarczy przypomnieć, że prosty przypadek skierował był jego kroki z południowych ekolic Tanganjiki ku jezioru Moero, gdzie go pierwsze doleciały głuche pogłoski o śmierci Livingstone'a. Przybywszy do Bemby i spostrzegłszy odpływ jej ku północy — zrazu szeroki, a następnie ruczajowy — pomyślał, iż może strumień ten płynie do Atlantyku oddalonego o mil 1,200. Widząc, że ten odpływ łączy się z inną rzeką, znaną poprzednio Livingstone'owi i Cameron'owi, postanowił puścić się tą ostatnią dokądkolwiekby wpadała, czy do morza Śródziemnego, czyli do Atlantyku... Czytaliśmy w dziele jego, jak wespół z najemnymi arabami z Zanzylaru zmuszony był wlec swe czółna przez straszne gąszcze rzeki, najeżonej skałami, w koło wodospadów; jak musiał walczyć z swymi ludźmi o życie przeciwko dzikim ludożercom ze szczepów Watwy, Wakuny, Waryngi i Wamangi; jak nakoniec, w lecie r. 1877, zagrożony śmiercią głodową, wycieńczony, opuszczony — wysłał w świat daleki a niepewny pisma w czterech językach europejskich, błagając o pomoc... Posłańcy wyszli ku zachodowi i znaleźli ludzi, należących do handlowych kantorów wybrzeża. Pomoc nadeszła do obozu Stanleja wraz z pokarmem i odzieżą. Niezmordowany podróżnik dokonał dzieła wielkiego i wyładował w starożytnój Bomie, widząc przed sobą otwartą zatokę oceanu Atlantyckiego.

Wróćmy wszakże do Bemby. Strumień, odpływający z tego jeziora na północ, nosi tu nazwę Luapula; płynie w jednym kierunku mil ang. 300 z lotem ptaka, ale liczne jego zakręty czynią długość łożyska znacznie większą. Przepłynąwszy jezioro Moero, zmienia nazwę Luapuli na Lualabę, zwraca się nieco ku północnemu zachodowi i płynie mil 620, aż do jeziora Ulengo, na którego krańcu północno-wschodnim łączy się z rzeką Lukugą (wypływającą z Tanganjiki); dalej przyjmuje Luamę, mającą swe źródła w górach, położonych na wschodnim brzegu Tanganjiki. Przy ujściu Luamy do Lualaby leży wioska Nyangwe, słynna w dziejach odkryć geograficznych: tu się często zatrzymywał Livingstone (1871), tu zamieszkiwali Cameron (1874) i Stanley (1876), tu także znajduje się najodleglejsza od wschodniego wybrzeża stacya, do której sięga handel zanzylarski... a ten szczegół ma swoje znaczenie międzynarodowe, jak się okazuje z referatów konferencyi berlińskiej.

Majestatyczna Lualaba dąży ztąd w kierunku zachodnio-północ-



nym aż do równika, na którym tworzy długi rząd spadów, znanych dziś pod nazwą „Wodospadów Stanley'a.“ Przy równiku przyjmuje pięć rzek wielkich, wychodzących ze źródeł dotąd nieznanych, lecz wy-  
 1) płwających prawdopodobnie z południowych moczarów jeziora Alberta i samego jeziora Muta Nzige, a położonych między 1-m północnym a 1-y południowym stopniem szerokości geograficznej. Jeziora co tylko wymieione rozlały się w paśmie gór, tworzących drugi rozdział wód — pomiędzy porzeczem Nilu i porzeczem Kongo. Odległość między obu rozdziałami — północnym (na 3-im st. szer. półn.) i południowym (na 12-y st. szer. połud.), wynosi w linii prostej tysiąc mil angielskich. Przenosząc się wyobraźnią z jeziora Alberta do Bemby i ztąd do Wodospadów Stanley'a, możemy utworzyć sobie pojęcie o olbrzymich rozmiarach krainy, zamkniętej w tych naturalnych granicach. To jest właśnie „Kongo Górne.“

Wodospady przyrównikowe na Lualabie nie są kataraktami w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, ale stanowią raczej bystre zlewy wód rzeki, zapartej rozwaliskami skał nadbrzeżnych i wyspami w sześciu, dość od siebie odległych punktach. Wyspki te zamieszkują ludożercze szczepy Wamangów i Bakumów, które tak straszliwie dały się były we znaki wyprawie Stanley'a, zmuszonej wciągać łodzie na grzęzłe moczary wybrzeży, by ominąć wielce niebezpieczne wiry i podwodne skały. Rozlewając się, po szóstym spadzie, w szerokie i znów spokojne łożysko, rzeka opuszcza wyżyny Afryki środkowej i płynie w kierunku coraz wyraźniej zachodnim. Stanley dał jej od wodospadów nazwę „rzeki Livingstone'a,“ by uczcić pamięć męża, który bezwiednie spowodował jej odkrycie; lecz już od dwóch lat Towarzystwo Międzynarodowe nazwało ją daleko właściwiej — Kongo. Nie wątpimy, iż z czasem znikną tuziemcze jej imiona — Luapuli i Lualaby, a cała potężna rzeka przyjmie nazwę, jaką od XIV-go wieku nosi przy swém ujściu.

Po wodospadach, szerokość Kongo jest wspaniała, dosięgając w niektórych okolicach 8 do 9-ciu mil od brzegu do brzegu; głębokość jej unosi największe statki międzynarodowej marynarki, a rozrzucone po niej wyspy stanowią schronienie w bezpiecznych zatokach. Deszcze padają tu niemal bezustannie, z przerwami istic ognistego blasku słońca; krótka pora zimowa jest stosunkowo chłodna i sucha. Roślinność jest typowo-tropikalna, a bogactwo przyrody przechodzi wyobraźnię podróżników, obeznanych z najbujniejszą urodzajnością południowej Azji lub środkowej Ameryki 2).

1) Pozwalamy sobie pisać po prostu „jezioro Alberta,“ „jezioro Wiktoryi,“ zamiast „jezioro Nyanza Wiktoryi“ i „jezioro Nyanza Alberta,“ — uprzedzając w tém uczonych, dyskutujących czy „Nyanza“ ma znaczyć „jezioro“ lub nie.

2) „Proceedings of the Royal Geographical Society,“ 1882, tom VI, str. 628.

Przebywszy najdalszy swój punkt północny (ponad 2-im st. szer. półn.) i połączywszy się z ostatnią wielką rzeką z północy (rz. Ngingiri), tworzy Kongo ogromny zawrót, kolano — płynąc wprzód w kierunku południowo-zachodnim, następnie południowym, w końcu zachodnim—do Atlantyku. Spływając stopniowo ku oceanowi, zachowuje jednak poziom 1,500 stóp nad płaszczyzną morza. Klimat staje się tu już łagodnym, wyżyna nadmiernych deszczów pozostała w tyle. Z nurtami Kongo poczynają łączyć się rzeki, mające swe źródła na południu, w systemie gór poprzecznych, tworzących ów pierwszy rozdział wód, którego południową rzeką jest Zambeza. Coraz szersze i spokojniejsze są wody Kongo, płynące leniwo między dziewiczemi lasami, w okolicach nie urozmaiconych wyżyną ani pagórkami—aż, pod 4-ym stop. szer. połud., rozlewają się w kilkanaście łożysk i tworzą jezioro, zwane „Stawem Stanley’a.“ Następnie, rzeka pasuje się raz ostatni z zaporami gór atlantyckiego wybrzeża i poraz ostatni uchodzi z pomiędzy skał w bystrych kataraktach, zwanych Wodospadami Livingstone’a. Nakoniec, przepływa sto mil w niezrównanej piękności swych okolic i, nie tworząc delty, jednym, pełnym strumieniem wpada do oceanu (pod 6-ym st.), zaciemniając jego słone wody na mil kilkanaście barwą ziemi i roślinności zmytej z wyżyn środkowej Afryki.

## II.

Porzecze Kongo, złożone z samych rzeki i co najmniej z dziewięciu olbrzymich rzek pobocznych, budzi podziw ogromem swoim, Stanley obliczył obszar jego na 1,300,000 mil  $\square$ , a więc rozleglejszy od obszaru Chin, jeżeli pominiemy ich góry. Ludność tego porzecza nie da się wszakże jeszcze obliczyć, chociaż Stanley podaje przypuszczalną cyfrę 44-ch milionów dusz. Krainy Kongo nie wszędzie są zamieszkałe; są tam niezmierzone obszary leśne i nieprzebyte stępy tropicznych gąszczów roślinnych; pagórki wznoszą się tu i owdzie, lecz w samym porzeczu nie ma ani pustyń, ani gór stromych i nagich. Klimat jest prawie wszędzie jednostajny, z równym rozkładem pór deszczu, słonecznego upału i afrykańskiego „chłodu;“ ztąd też urodzajność przemaga wszędzie.

Wzdłuż samych rzeki i przy spływach z pobocznemi, spotykano się często z krajowcami; w licznych plemionach, zamieszkałych w głębi kraju. Czytamy o nich ciekawe wiadomości w raportach komisarzy Towarzystwa Międzynarodowego, którzy muszą wchodzić w układy z ich carzykami. W każdym razie, niski stopień cywilizacji i rolnictwa, szczupłe granice każdego z plemion, utrzymują ciągłe między szczepami wojny; zkad pochodzi stosunkowa ich słabość liczebna. Z drugiej strony, porzecze obfituje w ryby, jarzyny i owoce; ludność nie jest zmuszoną szukać nędznego utrzymania życia w polowaniu na dzikie zwierzęta, jak indyane północnej Ameryki, ani też nie dzie-

siątkuje jej surowość klimatu. Przemawiałoby to przeciwko zbytniej szczupłości mieszkańców. Przyjmując miarę najniższą: 20 dusz na jedną milę  $\square$  — ludność miliona mil  $\square$  wynosiłaby 20 milionów dusz; obliczenie Stanley'a nie zdaje się zatem przesadzonem.

Ludność porzeczna nie może się dotychczas nigdzie poszczycić jakąkolwiek cywilizacją. Niektóre szczepy odznaczają się łagodnością charakteru i otwartością serca; największa część atoli żyje z rozboju i nosi wszelkie cechy najniższego barbarzyństwa. Jest wszakże nadzieja, iż pod wpływem cywilizacyjnych czynników dadzą się i te ludy podnieść moralnie i stopniowo okrzesać; a w takim razie ludność pomnożyłaby się znacznie, przynajmniej do 60-ciu dusz na milę  $\square$ , która liczba odpowiadałaby przeciętnie najniższej liczbie mieszkańców w najmniej urodzajnych prowincjach Chin lub Indyi. Jedynie od moralnej doskonałości najwyższej administracji Kongo zależeć może, żeby w przeciągu lat stu kraje te posiadały ludność pracowitą i rozwijającą się w najpomyślniejszych warunkach miejscowych.

Nie brak tam materyałów handlowych. Dziś już bowiem nie ma przerwy w dostawach oliwy, przeróżnych nasion, gumy, farb, korzeni, kosztownego drzewa i rozlicznych produktów palmowych — prócz kości słoniowej, rogów, piór i t. p. bogactw z świata zwierzęcego; prócz nawet mineraliów, jak miedź, cyna i glina gipsowa. Z postępem oświaty będzie tam można pomyśleć o tworzeniu produktów, ogólnie potrzebnych, na największą skalę; kawa i herbata będą bezwątpienia najwięcej uprawiane. Krajowcy są obdarzeni zręcznością i zamiłowaniem do rzemiosł; dobrzy są z nich cieśle i niezli budownicy; posiadają własnoręcznej roboty rydło, noże, włócznie, niewody i łodzie. Z natury również obdarzeni są zdolnościami handlowymi i zmysłem praktycznym; ponieważ najmniej pokupu mają tu birminghamskie świecideła i paciorki, a najwięcej za to — manchesterskie perkalę i wyroby wełniane, stalowe przedmioty z Sheffieldu i broń palna.

Wielkim traktem handlowym będzie oczywiście sama rzeka Kongo. Od ujścia aż do Wodospadów Livingstone'a, żegluga po niej nie przedstawia najmniejszych trudności. Po tej zaś baryerze, t. j. od Stawu Stanley'a, aż do drugiej przerwy przy Wodospadach Stanley'a, na przestrzeni 1,400 mil, potrzeba jedynie sterników, dokładnie obeznanych z łozyskami i mieliznami „wielkiego kolana.“ Od drugiej wreszcie baryery aż do samego niemal jeziora Bemby, łodzie i średnich rozmiarów statki kupieckie płynąć mogą najswobodniej.

Z dwóch znanych nam zapór na rzece, uważać trzeba pierwszą t. j. Wodospady Livingstone'a, nie tylko za najgroźniejszą pod względem gwałtowności zlewów, lecz i za najdłuższą, bo obejmującą blisko 200 mil ang. Stanley proponuje ułatwić komunikacją przez zbudowanie kolei żelaznej nadbrzeżnej, wzdłuż obu spadów. Ten sam projekt był przedmiotem obrad osobnej podkomisyi, podczas konferencji berlińskiej. Z niemieckiej jednakże strony wyszła propozycja ubicia, ewentualnie wybrukowania traktu szosowego wzdłuż Spadów;



amerykańscy zaś reprezentanci byli zdania, iż inżynieria zdolną będzie rozsadzić tarasy skał i przebić koryto bezpieczne dla wód, dziś rozdzielonych, przytaczając przykład Bramy Piekielnej w porcie nowojorskim, nad którą wiedza i sztuka odniosła następnie zupełne zwycięstwo. Ze wszystkich atoli projektów jeden został już przyjęty, mianowicie, zbudowanie linii kolejowej od samego wybrzeża oceanu aż poza Staw Stanley'a.

### III.

Przedstawwszy w powyższym okresie położenie geograficzne i etnograficzne porzeczka Kongo, przystępujemy do nierównie trudniejszego zadania, mianowicie do wskazania znaczenia politycznego sprawy Kongo w chwili teraźniejszej, kryjącej w sobie w zawiązku przyszłość kwestyi afrykańskiej.

Krajowcy w Afryce środkowej mają swych miejscowych naczelników, lub płacą haracz potężniejszym carzykom; ale organizacyi administracyjnej nie posiadają żadnej, formy rządu między nimi nie ma żadnej. Dla tego też pozostają na łasce mocarstw ucywilizowanych. Gdyby nie pewne środki ochronne, mogliby każdego czasu stać się łatwym łupem samolubnej ambicyi, przebiegłej intrygi, lub odważnej inicjatywy. Produkcyjne zasoby tych krain leżały przez długie wieki w zupełnym prawie uśpieniu: dzisiaj dopiero występują rażno, pod wpływem chciwości wyzysku obcego. Ich przemysł i handel stworzyli i rozwijają ciągle ludzie pojedynczy lub stowarzyszenia, rozumie się ludzi rasy białej. W takich warunkach ukazują się w Afryce środkowej... skarby, o których europejczycy tworzą sobie najwspanialsze marzenia (zamieniając chętnie *ignotum* na *magnificum*...); ztąd też każde z mocarstw bliżej interesowanych nie może ukryć chęci zagrabienia, lub zabezpieczenia sobie jakiegóż jego części. Być może, iż zdumiewające szczęście Anglii w Indjach — na wielką skalę, lub Hollandyi na Jawie — na mniejszą skalę, podało mocarstwom europejskim myśl o możebności podobnych sukcesów w Afryce środkowej. Być może, iż Francya i tu także, jak w Azji, dąży do powetowania strat europejskich. Bardzo też być może, iż Niemcy, doszedłszy nareszcie do posiadania dwóch pierwszorzędnych portów na wodach północnych, urządziwszy nieliczne wprawdzie, lecz doskonałe siły marynarskie, przekonawszy się o szczęśliwych obrotach kolonistów niemieckich w Północnej Ameryce i w Australii (nie wspominając o niemieckiej kolonizacyi krajów europejskich poza vaterlandem), być może, iż Niemcy pożądamy nabytku kolonialnego w Afryce, któryby był iście i czysto niemiecką dependencją. Czemużby i Belgia, szukająca neutralnych jarmarków i targów, któreby mogły przyjąć jej szybko wzrastające rękodzielnictwa, nie miała tym sposobem chcieć pozbyć się potężnej konkurencyi angielskiej; nie miała zwracać niecierpliwie swe-

go oka ku dalekim i rozległym krainom dziewiczej Afryki środkowej?... O interesie W. Brytanii pomówimy niebawem obszerniej.

Jakkolwiek bądź istnieje dziś, i wzrasta się i potężnieje taki zbieg politycznych pierwiastków w Kongo, że kraj ten zwraca na siebie oczy całego świata i uwagę wszystkich dyplomatów.

Z żalem patrzyła Portugalia na ową nagłą i nawet anormalną działalność mocarstw! Portugalia wystąpiła z starożytnymi swymi prawami, datującymi z jej czasów świetnych, z ery jej odkrycia ujścia „Zairy“ w wieku XV-ym. Anglia, zajęta olbrzymimi trudnościami, powstałymi z nadmiernego rozrostu swych zdobyczy zamorskich, pragnęła przedewszystkiem zakłść nowe trudności, otumanić dyplomacją, odwrócić jej uwagę od środkowej Afryki. Lecz w ogólnym ruchu pozostać bezczynną nie mogła. Najcierpliwi mężowie stanu angielscy podnieśli okrzyk, że, jeżeli nowe kraje Afryki mają być rozdzielone pomiędzy mocarstwa Europy, to i lwu brytańskiemu odpowiedni dział powinien być zostawiony. Izby zaś handlowe wraz z ogółem narodu kładły nacisk na konieczność pozostawienia traktu handlowego, rzekę Kongo, wolnym i otwartym dla handlu i przemysłu, od którego zależy dobrobyt Anglii i jej międzynarodowe znaczenie.

Mimo ogólnej jednomyślności mocarstw co do celów, jaką od ostatnich odkryć Stanley'a w r. 1877 spostrzegamy, zaznaczyć trzeba, że panowała między nimi różnica zdań pod względem metody postępowania. Starania mocarstw były po największej części skierowane ku Górnemu Kongo — od Stawu Stanley'a do wypływu Bemby. Okolice poniżej Stawu aż do oceanu, stanowią terytorjum nadmorskie Kongo; to zaś, odkryte i rozpoznane zdawna, było od lat wielu schronieniem kantorów handlowych: portugalskich, angielskich, francuzkich, holenderskich i niemieckich. Pod względem więc handlowym, politycznym i geograficznym, kraje porzeczna z zachodniej strony gór zachodnich (tworzących Spady Livingstone'a), uważano jako Kongo Dolne, a resztę jako Kongo Górne. Wkrótce zapewne przyjdzie podzielić to ostatnie na Kongo Centralne i Górne. W każdym razie, Staw Stanley'a był podczas konferencji i pozostaje dotąd rdzennym punktem całej kwestyi.

W pobliżu tego to punktu, p. de Brazza usiłował rzucić podstawę francuzkich posiadłości, wbijając sztandar rzeczypospolitej i nadając nazwę „Brazzaville“ grupie afrykańskich szafasów i lepianek. I bezwątpienia, ważne względy nakazywałyby Francuji połączyć Staw Stanley'a z zależnościami, które już posiada na północy od ujścia Kongo, a zlanych częściowo rzekami Gabuną i Ogową.

Z tego również punktu, przy Stawie Stanley'a, rozpoczęło swe operacje nowe Stowarzyszenie Międzynarodowe, wchodząc w układy z carzykami i głowami szczepliów, biorąc pod swą opiekę pewne szczyty słabsze, a nawet rozwijając samowolnie sztandar Złotej Gwiazdy w terytoryjach niereklamowanych przez potentatów krajowych. Nakoniec, tu przy Stawie zakładają w tej chwili mocarstwa pierwszorzę-



dne swe kantory i osady, z których powstaną, niezawodnie w rychłym czasie, znaczne miasta, ogniska przemysłu i handlu afrykańskiego.

Jakkolwiek jednak żywym jest interes pewnych mocarstw w Kongo, Portugalia przedewszystkiemi pragnęła przed konferencyą uratować i ustalić, jeżeli nie rozwinąć swe widoki, przynajmniej wzdłuż wybrzeża oceanu, poniżej i powyżej ujścia wielkiej rzeki — między 5-ym i 8-ym stopniem szer. połud. Terytoryum północne od ujścia obejmuje kraik, zwany Kadembe, graniczący z sąsiedniem państwkiem szczepu Loango. Terytoryum południowe sięga od ujścia aż do portu Ambriz, będącego północnym krańcem posiadłości portugalskich w Angoli; tenże zaś obszar stanowił niegdyś niezależne królestwo tuziemcze, Kongo, lecz już od dawna stał się własnością kilku, jeżeli nie kilkunastu drobnych szczepów. Ziemie, ograniczone w ten sposób rzeką Kakongo na północy, a portem i rzeką Ambriz na południu, rozciągają się w kierunku wschodnim aż do wioski Noki, nad lewym brzegiem Kongo, położonej przy pierwszym wodospadzie z katarakt Livingstone'a. Możliwość ztąd wywnioskować, że pretensye Portugalii obejmowałyby terytoryum 300 mil długie, a 100 mil szerokie, stanowiąc posiadłość 30,000 mil  $\square$  angielskich. Nad doniosłością tego obszaru, obejmującego ujście rzeki i pierwszą jej część spławną — nie ma potrzeby rozpisywać się!

Po długiej korespondencji dyplomatycznej z gabinetem londyńskim, Portugalia otrzymała sankcyą W. Brytanii do ustanowienia swjej władzy wyłącznej na całym tém terytoryum (luty 1883). Lord Granville uważał jednak za stosowne dodać do rotty traktatowej, iż Anglia nie wydała tego aktu „z uznaniem praw Portugalii, lecz... as an act of grace and friendship, by dowiesć swjej przychylności i przyjaźni.“ Wszelako, aktu tego nie przyjęły inne mocarstwa i jak wiadomo, traktat został unieważniony.

Z kwestyą pretensyi portugalskich in statu quo, gabinet berliński zaproponował mocarstwom konferencyą, mającą rozstrzygnąć trudności międzynarodowe porzeczka i ujścia Kongo. W dniu 7 czerwca 1884, ksiązę Bismarck pisał do hr. Münsterera, co następuje:

„Nie możemy zezwolić, by poprzednie prawa któregokolwiek mocarstwa, interesowanego w handlu nad Kongo, stanowiły podstawę negocyacji. Handel tamtejszy był dotąd otwarty bezwarunkowo wszystkim zarówno. Nie zezwolimy żadną miarą, by Portugalia miała w ręku administracyą, lub choćby główne kierownictwo onego handlu i przemysłu.

W interesach z atém handlu niemieckiego, nie mogą zgodzić się, iżby wybrzeże tak ogromnej doniosłości zostało poddane portugalskiemu systemowi kolonialnemu.“

Mimo podkreślonego w téj depeszy zdania, możnaby sądzić, iż kanclerzowi chodziło nadewszystko o zachowanie słuszne i rzetelne słusznych i rzetelnych interesów wszystkich mocarstw. Tego zdania

jest Stanley, pełen najgłębszego uwielbienia i podziwu dla osobistego i politycznego charakteru ks. Bismarcka... Czytając ostatnie jego dzieło „The Congo and the Foundation of its Free State,” przekonujemy się, że wielki podróżnik usiłuje statecznie przypisywać kanclerzowi najszlachetniejsze i najmniej jednostronne intencje, plany i dokonania. Ze względu na to, co nam przyjdzie tu napisać ze stanowiska czysto obserwacyjnego, pozwolimy sobie zacytować opinią Stanley'a. Na stronie 386-jej tomu 2-go wspomnianego dzieła czytamy:

„Zdolności polityczne niemieckiego kanclerza, księcia Bismarcka, nie są pospolitego zakroju. Ci, którzy postępują w ślad po utartych ścieżkach i zachowują przepisane reguły sztuki dyplomatycznej, mieszają się, gubią i tracą wszelki wątek (are confused), skutkiem konsekwentnej, mierzącej wprost do celu i zwięzłej szczerości, jaka kieruje jego polityką—gubią się w głębokich spekulacjach nad tém, co może być jego celem... gdy tymczasem cel ów leży, napisany w wyraźnych literach, w czytelnych głoskach—przedstawia się w najjaśniejszym języku...”

Nie piszemy się na ten sąd Stanley'a i w tychże jego przekonaniach znajdujemy odpowiedź na pytanie: Dla czego w Anglii, we Francji i w Portugalii, Stanley utracił w ogromnej części tę popularność i ten głęboki szacunek nawet... jakich używał przed konferencją i przed wygłoszeniem w Niemczech słynnych swoich o Kongo odczytów. Z drugiej strony—dalecy jesteśmy od podzielenia opinii pewnych polityków i pseudodyplomatów angielskich, rzucających podejrzenie na Stanleya i na główne osobistości Stowarzyszenia międzynarodowego (mianowicie na prezydenta jego, pułkownika Strauch'a), podejrzenie o tajemne porozumienie się z kanclerzem co do przyszłości Wolnego stanu! Między obydwojma prądami opinii tego, w którym Stanley przedstawia się nam w charakterze człowieka szczerze wielbiącego „szczerosc” dyplomacyi kanclerza... i tego, w którym Stanley miał uledez „dyplomatycznym pokusom“<sup>1)</sup>, moglibyśmy prawdopodobnie odnaleźć właściwy kierunek zarówno polityki Niemiec, jak i przekonau politycznych zasłużonego amerykanina.

Uprzytomniając sobie pozycje mocarstw europejskich na stałym lądzie Afryki, widzimy od razu cztery potęgi kolonialne, dążące do rozszerzenia swych interesów terytoryalnych i handlowych: Francya, osadzona silnie w Algierji i już nawet w Tunizji, wywiera wpływ cywilizacyjny na cesarstwo marokańskie, utrzymuje z niem korzystne dla siebie układy handlowe i postępuje ze swymi inżynierami i geografami do wnętrza Sahary. Francya posiada Senegambią, a dalej na południe, olbrzymie terytoryum, spławione rzekami Gabuną i Ogową. Dodajmy do tych posiadłości wyspę Madagaskar, na Oceanie indyjskim, której anneksya staje się z każdym rokiem koniecznością, a spostrzeżemy, iż Francya nie może być obojętną na wzrost której-

<sup>1)</sup> Quarterly Review, styczeń 1885.

bądź innej potęgi, ani między swemi własnymi posiadłościami, ani też na ich bezpośredniem pograniczu, a to, pomijając inne, choćby dla samych względów etnograficznych.

Portugalia, prócz rozlicznych wysp na atlantyku i przylądku Verde w Senegambii, posiada bodaj najrozleglejsze terytorya, również na zachodzie, jak i na wschodzie Afryki, stanowiące ogółem obszar 697,365 mil  $\square$  z ludnością 2,410,000. Portugalii to właśnie było i jest interesem połączyć swe prowincye wschodnie z zachodnimi... a połączyć je jedynie możliwym gościńcem, rzeką Kongo.

Anglia, prócz bogatych kolonii na Przylądku Dobrzej Nadziei, posiada Sierra Leone, między Senegambią i Liberyą, i całe ogromne wybrzeże (16,620  $\square$  mil) Gwinei. Ztąd, protekcyja jęj rozciąga się na krajowe państwo Aszantów i Dahomey; ujście rzeki Nigru leży między niezaprzeczenie angielskimi włościami, zaś porzecze Nigru roznosi handel i przemysł brytański do sudańskich sultanatów Tawaregu i Tebu, odbierając w zamian produktu Darfuru i łącząc się nieprzerwanie z włościami Egiptu, wreszcie z samym kedywatem... Jednym słowem, interes brytański między 15-ym i 5-ym stop. szerokości północnej, rozwija się od zachodu do wschodu, jak władza W. Brytanii rozciąga się od zachodu do wschodu, między 27-ym i 36-ym stop. szerokości południowej.

Pozostaje tedy między angielskimi posiadłościami i posiadłościami północy i południa, „ciemny kontynent“ przyrównikowy, ścieśniony wszelako terytoryami portugalskimi na obu wybrzeżach i odczuwający, że tak powiemy, handlową doniosłość Madagaskaru. Otóż nie ulega żadnej wątpliwości, że na ów „ciemny kontynent“ zwrócono baczną uwagę w Niemczech, których kolonialny rozrost w Afryce, powolny, ostrożny, lecz bezpieczny, datuje się od roku 1877-go. Wspominamy tylko o koloniach niemieckich pomiędzy francuzkami krajami Gabuny i Ogowy, a angielską Gwineją, czyli położonych w krainach niezbadanych, przy południowo-zachodnim i wschodnim stoku gór kameruńskich <sup>1)</sup>. Niemniej powolną jest kolonizacya niemiecka między 18-ym i 27-ym stop. szer. południowej, i to na obu wybrzeżach wschodniem i zachodniem: w zatoce św. Łucyi i przy ujściu Angry Pequeny. Kantory niemieckie przy zatoce św. Łucyi są w ciągłych stosunkach z pobratymczymi boerami Transvaalu, ich „operacye handlowe“ sięgają rzeką Limpopo do porzecza Zambezy i... nie spuszczaają z oczu kraju Matabele, w którym towarzysze d-ra Nachtigalla nabyli prawo do kilku kopalni złota. Mniej szczęśliwe są dotychczas „operacye“ niemieckie przy ujściu Angry Pequeny, z powodu wrogiego im usposobienia hotentotów i bechuańczyków, stale przyjaznych władzom angielskim i angielskim kompaniom misyonarskim.

<sup>1)</sup> Oduosnie do kolonizacyi Niemiec w Kamerunach ciekawe będą bezwątpienia i wielce pouczające odczyty, które miał p. Szolo-Rogozicki w Krakowie, na początku lutego r. b.



Lecz najważniejszym punktem, na którym się oparła stanowczo kolonizacyjna potęga Niemiec w ciągu ostatniego roku, jest wybrzeże Zanguebaru, położone naprzeciw wyspy Zanzylaru. Ważność „protekcji“ niemieckiej w Zanguebarze odstąpi nam wyraźnie, gdy rozberzemy prace i rezultaty konferencji berlińskiej, której przebieg podajemy bezwzględnie.

#### IV.

„Powstanie Stanu Kongo, pisze Stanley <sup>1)</sup>, możnaby przyrównać do postępowania przy wznoszeniu wielkiej budowli. My, członkowie wyprawy afrykańskiej, byliśmy robotnikami: oczyściliśmy grunta, zrównaliśmy ziemię, uporządkowaliśmy drogi, wykopaliśmy rowy, założyliśmy fundamenty i zbudowaliśmy w końcu mury do wyznaczonej wysokości, a w ciągu wszystkich tych prac, pułkownik Strauch i kapitan Thys, z zarządu Stowarzyszenia, dostarczyli nam narzędzi i wapna. Lecz gmach wystawiony w takich warunkach, nie ostoi się długo i nie oprze działaniu żywiołów. Robotnicy, murarze i kamieniarze muszą ustąpić, a właściciel powinien przywołać cieśli i dekarzy, którzyby sporządzili dach i wstawili drzwi i okna gdzie potrzeba. Gdy i ci skończą swe zadania, przychodzi kolej na stolarzy i tapicerów, mogących uczynić dom, mieszkalnym. Wyprawa do Górnego Kongo i zarząd stowarzyszenia spełniły swe obowiązki <sup>2)</sup>, ale król Leopold, założyciel Stanu, zmuszony był w celu ubezpieczenia i ustalenia dobrobytu jego, udać się o uznanie i protekcję do różnych rządów Europy i Ameryki, zawrzeć układy z Francją i Portugalią, określić wraz z mocarstwami granice Stanu i zapewnić mu neutralność i niezależność.“

Temu to właśnie zadaniu króla Leopolda i Stowarzyszenia stała na przeszkodzie projektowany traktat anglo-portugalski, uznający władzę Portugalii nad całym ujściem Kongo. Traktat nie był bynajmniej popularnym w samej Anglii, izby handlowe w Liverpoolu, Manchesterze i Glasgowie stanowczo mu się sprzeciwiały. Ale gabinet westminsterski tak dosadnie potrafił przedstawić izbom korzyści układów handlowych z Portugalią, tak umiał żywo i dobitnie określić niebezpieczeństwo czyjéjbądź innej kontroli ujścia... że tą razą większość parlamentarna dała z zaufaniem sankcję, gwoli... the ulterior possibilities of the situation, „następnym możliwosciom sytuacji.“

Do onéj bowiem pory, W. Brytania była mocarstwem o najsmielszych i najdalej sięgających inicjatywach handlowych i eksploracyjnych w Afryce. Wszakżeż w rocznikach badań „ciemnego kon-

<sup>1)</sup> The Congo, t. II, str. 378.

<sup>2)</sup> Założyły stacje stowarzyszenia od ujścia Kongo aż do jeziora Bemby, i nabyły na własność krainy porzecza. Przeszło 450 traktatów zawarło Stowarzyszenie z niezależnymi naczelnikami pokołów. (Stanley).

tymentu“ imię szkota Livingstone'a stoi przed imionami podróżników wszystkich innych narodowości! Szkot Macgregor Laird ustanowił był pierwszy żeglugę na Nigrze (1841); kantory angielskie rozłożone są wzdłuż 2,900 mil na wybrzeżu zachodniem, a agentury ich w głębi kraju zajmują przeszło 16,000 anglików, nie licząc wcale osad misionarskich, baptystów, prezbyteryanów i anglikanów.

Ale skutkiem po części apatyj przedsiębiorców brytańskich w ostatnich latach, po części zaś z winy nieudolnego rządu pp. Granville'a i Gladstone'a, obok tych kantorów angielskich rozmnożyły się, w dziwnie szybkim postępie, kantory niemieckie. Hamburg i Brema prześcignęły w współzawodnictwie Liverpool i Glasgow. Niemiecka firma Woermanów zrujnowała kilkanaście wielkich firm anglo-afrykańskich. Niemcy więc pozyskały prawo zażądania protekcji swych własnych interesów handlowo-przemysłowych. Francya, nie mniej szczęśliwa w północno-zachodniem porzeżu Konga, dzięki zdolnościom i energii p. de Brazza i swych agentów, pragnęła zarówno ochronić nowonabyte terytorya przed pożądlivością czy to Portugalii, czy też (pośrednio) W. Brytanii.

Pomiędzy Francją przeto i Niemcami panowało pod tym względem zupełne porozumienie. Kiedy zaś zjednoczone Stany Ameryki, zaprotestowawszy emfaticznie przeciwko układom lorda Granville'a i senhora Miguela Martius d'Antása, pośpieszyły wlać nowe życie w Stowarzyszenie Międzynarodowe, uznając je za „rządzającą potęgę nad rz. Kongo“ (10-go kwietnia 1884), nie zwłóczył dłużej już i kanclerz niemiecki, lecz zaproponował zebranie się konferencyi w następującym liście do barona de Courcel, ambasadora francuzkiego w Berlinie.

„Panie Baronie.—Wymiana zapatrywań moich z zapatrywaniami W. Ekscelencyi dowodzi, iż obydwaj rządy życzą sobie w równym stopniu, by do żeglugi na rzekach Kongo i Nigrze zastosowano zasady kongresu wiedeńskiego<sup>1)</sup>, ubezpieczające wolność żeglugi na kilku międzynarodowych rzekach, a następnie zastosowane do Dunaju. W celu zabezpieczenia równocześnie regularnego rozwoju handlu europejskiego w Afryce, pożyteczną byłoby rzeczą zgodzić się na pewne formalności, jakieby należało zachowywać przy legalizowaniu możliwych ewentualnie, nowych aneksyi na wybrzeżach Afryki. Proszę tedy W. Ekscelencyą byś zechciał zaproponować rządowi Rzeczypospolitej uznanie swój z nami pod tym względem jednomyślności przez wymianę not gabinetowych i zaproszenie innych gabinetów, mających swe interesa w handlu afrykańskim, do wzięcia udziału w konferencyi, któraby rozpatrzyła i ewentualnie sankcyonowała warunki, przyjęte przez oba mocarstwa. Przyjmij W. E. i t. d.—Podp. von Bismarck. Berlin, 13-go września 1884.“

Gabinet Juliusza Ferry'ego przyjął tę propozycyą skwapliwie, zgadzając się na zasadę, aby Francya zezwoliła na wolność handlową w te-

<sup>1)</sup> Za które przy sposobności proskrypcyi polaków, nie daje ks. Bismarck ani trzech groszy.

rytoryach już posiadanych i w tych, jakieby później nabyła w porzeczcu Kongo, pod warunkiem, aby w razie pozbawienia Stowarzyszenia międzynarodowego terytoriów przez nie nabytych, Francya mogła korzystać ze swego prawa pierwszeństwa (droit de préférence). Przez „wolność handlową“ rozumiał J. Ferry: „wolny przystęp dla wszystkich sztabandarów (à tous les pavillons) i zakaz wszelkiej monopolu lub cła, nie wykluczając atoli pewnej taryfy podatkowej, mającej pokryć koszta użytecznych wydatków, poniesionych w interesie handlu.“ Przychylając się do zastosowania w ten sposób zrozumianej wolności w sferze porzeczcy Kongo i Nigru, Francya nie życzyła sobie rozszerzać jój do innych swych posiadłości zachodniego wybrzeża, Gabuny, Gwinei i Senegalu. (Baron de Courcel do ks. Bismarcka, 2-go paźdz. 1884).

Po tój wstępnej wymianie opinii, gabinety paryzki i berliński wystąpiły zaproszenia na konferencyą do W. Brytanii, Hollandyi, Hiszpanii, Portugalii, Belgii i do Stanów Zjedn. Ameryki. W dniu 15-ym listopada, następujący reprezentanci mocarstw zgrupowali się w pałacu kancelarza przy ulicy Wilhelma w Berlinie:

Ks. Bismarck, hr. Hatzfeldt, dr.		reprezentowali Niemcy i Prusy.
Busch i v. Kusserow		reprezentowali Niemcy i Prusy.
Hr. Széchenyi, de Sárvári, Telo-Videk, ambasador nadzwyczajny	„	Austryą i Węgry.
Hr. van der Straten-Ponthos	„	Belgią.
i br. Lambermont	„	Danią.
E. de Vind	„	Hiszpanią.
Don Francisco Merry y Colom,	„	Stany Zjednoczone [n.c.]
hr. Benomar	„	Francyą.
John A. Kasson i Henry Sanford	„	W. Brytanią.
Br. de Courcelles	„	Włochy.
Sir Edward B. Malet	„	Hollandyą.
Ed. hr. de Launay	„	Portugalią.
Filip Fr. Jonkheer Van der	„	Rosyą. [gią.
Hoeren	„	Szwecyą i Norwe-
Margr. de Penafiel i senhor de	„	Turcyą.
Pimentel	„	
Hr. Kapnist	„	
Gillis br. Bildt	„	
Mehemed Saïd Pacha, Wezyr,	„	

Sekretarzami byli: attaché ambasady francuzkiój, p. Raindze, hr. W. Bismarck i dr. Schmidt. Ks. Bismarck, obrany prezydentem konferencyi, otworzył sesyą krótką przemową, zaznaczając trzy główne kwestye, przedstawione do rozbiur i postanowienia pełnomocników państw konferujących, mianowicie:

- 1) Wolność żeglugi z wolnością handlu na rzece Kongo.
- 2) Wolność żeglugi na rzece Nigrze.
- 3) Zachowywanie pewnych formalności przy zajmowaniu przez



którekolwiek z państw obradujących nowych terytoryów na stałym lądzie afrykańskim.

Pełnomocnik brytyński, sir E. Malet, zgadzając się na zastosowanie zasad wolnego handlu do rz. Nigru, zastrzegł przedewszystkiem kontrolę nad wykonywaniem postanowień odnośnych wyłącznie W. Brytanii, jako mocarstwu mającemu jedyne i niemal wyłączne prawo własności terytoryalnej wzdłuż dolnego Nigru i przy jego ujściu. Sekretarze zaznaczyli ten warunek do protokołu, a tymczasem zgodzono się, by osobna komisya wzięła pod rozwagę granice i obszar terytoryów, wśród których ustanowić zamierzono wolność handlową w Afryce zachodniej.

Zanim opowiemy rezultat prac komisyi, pozwolimy sobie zwrócić uwagę czytelnika na niezmiernie ważną kwestyą geograficznych granic wolnego handlu nad rz. Kongo. Ze strony niemieckiej obstawano z początku za tém, by wolność handlu w Afryce była opasana granicami nie geograficznymi, lecz handlowymi, a obstawano tak i usilnie i stanowczo przy tém, że były obawy zerwania dalszych obrad i udaremnienia konferencyi. Jakaż więc jest różnica między porzeczem Kongo geograficznem a handlowem? Pierwsze jest już samo w sobie niezmiernie, widzieliśmy przecie jak ogromną przestrzeń Afryki zlewa Kongo, a dodać teraz wypada jego dopływy przyboczne. Zdawałoby się więc, iż tak olbrzymi obszar powinien zadowolnić najwięcej chciwe ambicje, iż w tym przynajmniej razie, granice geograficzne są też same, co handlowe. Dziwiłoby się można, coby ks. Bismarckowi zależało na zakreśleniu Międzynarodowej kompanii granichandlowych, a nie geograficznych. „Obszar handlowy Kongo“ ma swe wielkie i groźne nawet znaczenie, już to dla stosunków W. Brytanii, już też dla konstytucyi Wolnego Stanu, jeżeli ta konstytucya ma w Berlinie tak uroczyście w samęj rzeczy uznanie i poszanowanie, jakiego jej nie szczedzono w deklaracyach i protokołach!

Jak widzieliśmy, wody Kongo wypływają z jeziora Bemby. Bemba leży w ogromnej odległości od obydwóch wybrzeży lądu. Z czasem po wielu nakładach i po kosztownych robotach inżynierskich, jezioro to będzie przystępnem z zachodu, tymczasowo zaś jest ono przystępnem tylko ze wschodu, oddalone od wschodniego wybrzeża 700 mil ang. Brytańscy podróżnicy odkryli je w pochodzie ze wschodu. Drugie wielkie jezioro Tanganjika, również od strony wschodniej ma przystęp łatwy, wszyscy podróżnicy (nie wyjmując samego Stanley'a) doszli do niego z Zanybaru. Wschodnie zatem drogi, tak do Bemby, jak i do Tanganiki są dobrze znane, upewnione; znajomość zaś dróg i pewność ich utrzymuje, ułatwia i rozwija handel. I w samęj rzeczy, handlowe domy Zanybaru mają liczne swe stacye na wschodniem wybrzeżu Tanganjiki, pozostające pod naczelną kontrolą zanybarskich kantorów w Udżidzi. Kraje wschodnio-środkowej Afryki, choć po części górzyste i piaszczyste, uśmiechają się znacznemi obietnicami przemysłowemu karawanom; polityczna zaś geografia wschodniej Afryki wykazuje wyraźnie, iż Zanybar jest jeżeli nie największém, to je-

dućm z największych siedlisk handlu w owych stronach. W miarę postępu cywilizacji w głąb stałego lądu, Zanzibar musi być zawsze punktem wyjścia, podstawą operacji między wybrzeżem i jeziorami Tanganiką i Bembą.

Otóż, zbytceźnym byłoby może przypominać, iż Zanzibar choć nie należy do posiadłości brytańskich—jest przecieź pod protekcją i kontrolą Anglii, dla której wyspa ta ma niestłuchanie wielkie znaczenie—jako stacya marynarki wojennej między przyładkiem, morzem Czerwonem i Indyami—jako stacya obserwacyjna w pobliżu Madagaskaru, jako przedewszystkiem zbiornik kolosalnego istotnie handlu brytańskiego—wymiany birminghamskich wyrobów na bogactwa „ciemnego lądu.“ W tych okolicznościach propozycja ustanowienia handlowych granic porzeczka Kongo musiała mieć na celu, kontrolę handlu nad Tanganiką, z której wypływa kilka olbrzymich rzek przybocznych. Ponieważ zaś handel Tanganicki dziś już zależy całkowicie od Zanzibaru, przeto propozycja musiała zmierzać przeciwko Zanzibarowi, inuemi słowy, przeciwko potężnej pozycji handlowej i wojenno-marynarskiej W. Brytanii. Jeżeli to nie było celem propozycji kanclerza, jeżeli książę nie Zanzibar miał na uwadze—to cóż? Niechże na to odpowie kto może; znalezienie inuiej odpowiedzi w referatach komisarzy berlińskich kosztowało nas pracy bezowocnej więceź, niżby się kto spodziewał. *Tantae erat molis!*

Nie ma zapewne niewdzięczniejszego dla polityków zadania nad przesądzenie w obec publiczności o tych drogach dyplomacji, które w polspiecie nazywamy „tajnemi, a które w samej rzeczy są tylko przygotowywacemi. Ogół bowiem bystrych słuchaczów lub czytelników dąży uparcie do rozwiązania problematów międzynarodowych za pomocą wyraźnych danych, jeżeli tylko można; w przeciwnym razie tworzy sobie i buduje systemy, oparte na przypuszczeniach i wnioskach, łatwo rzekomo zrealizować się dających, lub przynajmniej łatwo réalisables. Rrzadko kto przyjmuje albo tworzy sobie takie ukształcenie rzeczy, w którembymy obłuda, podstęp i eksploatacyja sytuacji panowały od początku do końca. A jednakże jak nierównie częstszemi są w dziejach katastrofy i tryumfy, których uskutecznienie powstało, wzrosło i dojrzało pod skrzydłami najrzeczniejszej kabały! Tylko, że tryumfująca dyplomacyja, doszedłszy do celu, ma na zawołanie fakta przekonywujące, które są dla jednych usprawiedliwieniem, dla więkdszości zaś objawieniem. Jeden z najpotężniejszych monarchów współczesnych miał powiedzieć ministrowi, wahającemu się z rozpoczęciem akcji w pewnym państwie południowo-wschodniej Europy: „*Le fait fait... vous lui trouverez des arriere-faits!*“

Powiedziawszy tyle na usprawiedliwienie naszej opinii, która dziś jeszcze może się wydawać zbyt śmiałą, zanim wypowiemy ostatecznie zdanie o charakterze postępu kolonizacyjnego Niemiec w Afryce, przytoczymy tu słowa angielskiego członka parlamentu, pana Stanhope, zasiadającego w gabinecie torysów. Stanhope a z nim pewna poważna grupa torysowskich dyplomatów, nie pokładała widocznie zaufa-

nia w konstytucyi międzynarodowego Stowarzyszenia. Z mowy jego, wypowiedzianej w izbie niższej dnia 24-go lutego 1885, przytaczamy, co następuje:

„Obawy nasze usprawiedliwia ten fakt, że pewne towarzystwo mieszcane, złożone z belgijczyków i niemców, noszące tytuł: „Association Internationale Africaine,“ wysłało w samej rzeczy reprezentantów swych z Zaazybaru w r. 1877 w celu urządzenia stacyi handlowej w miejscowości Karewa na zachodnim wybrzeżu Tanganjiki. Tej „Association“ nie można bynajmniej uznawać za Stowarzyszenie międzynarodowe, którego sława napełnia dziś Europę. Być może, iż „Association“ była jego poprzedniczką, być też może, iż się z niem złąła następnie w jedną korporacyą. W każdym razie Stowarzyszenie międzynarodowe jest jedynem ciałem, z którym politycy mają obecnie do czynienia. Otóż dyskusya niniejsza o „handlowym obszarze Kongo,“ wraz z innemi dyskusyami, jakie mniej lub więcej zajmowały uwagę konferencyi, była wszczętą przez Stowarzyszenie lub przynajmniej z jego wysłaną inicjatywą. Przed ośmiu laty Stowarzyszenie to było tylko wyborowem zgromadzeniem geografów, filantropów i ludzi oddanych naukom przyrodzonym, pod prezydencyą króla belgów, w jego charakterze prywatnym. To samo Stowarzyszenie wystrzeliło dzisiaj z tego pączka jako kwiat bujny, wyłoniło się na świat, jak motyl, roztańczający wesołe swe barwy pod słonecznym blaskiem łaskawości i przychylności Europy. Widzieliśmy i widzimy jeszcze dziś, jak się wygrzewa to w uśmiechu Niemiec... jak inną razą chyli czoło przed gniewem Francyi. Otrzymawszy uznanie Stanów Zjednoczonych i Niemiec, być może i innych mocarstw, zostało teraz uznanem i przez Anglią a to uznanie należy do następstw (sequela e) zachodnio-afrykańskiej konferencyi w Berlinie. Lecz korporacya ta zaczyna okrywać się pewnego rodzaju tajemnicą (słuchajcie! słuchajcie! i oklaski torysów); zawieszona jest poniekąd we mgle polityki; zdolna jest przybierać w oczach Europy większe formy, aniżeli są kształty, które w mgle naturalnej zdają się rosnać w oczach podróżujących. Nie znamy żadnego dokumentu specjalnego, oznaczającego jego cel, jego konstytucyą, jego przeistoczenie (allegiance), jego narodowość, jego administracyą, jego rząd wewnątrz! Jest ono może tylko korporacyą prywatną<sup>1)</sup>, kierowaną przez p. Stanleya, lecz jakżeż w tym razie może ono być sankcyonowanym przez króla belgów, popieranem przez pełnomocnika amerykańskiego podczas konferencyi? Stany Zjednoczone z pewnością nie popierają go w celu założenia posiadłości amerykańskich w Afryce środkowej, czyliż więc mamy je uważać za korporacyą belgijską? A jeżeli nie za belgijską czyż więc mamy je uważać, jako nie należące do żadnej narodowości? Jeżeli nie ma żadnej na-

1) Tak bezwątpienia było przed konwencyą berlińską.

2) Jak się okazuje najwyraźniej z aktów dyplomatycznych, Africa nr. 2, 1884, str. 38.



rodowości (co nazwa „Międzynarodowego“ ma zapewne oznaczać) i jeżeli się składa z osobistości różnego pochodzenia, to jakżeż może ciało złożone z ludzi prywatnych, poddanych albo pewnych królestw istniejących, lub pewnych istniejących rzeczypospolitych, jakżeż może zakładać dla siebie samego terytoryalną jurysdykcją? A jeżeli nadto ciało takie wybierze sobie jakiegobądź szefa—p. Stenley'a, p. Straucha lub nawet księcia spowinowaconego z królom Leopoldem, to jakżeż szef taki może być uznanym za reprezentanta niezależnej potęgi, lub nowego stanu? Uznanie takie może stanowić przykład nadzwyczajny (an extraordinary precedent) [huczne oklaski i „słuchajcie!“]; a przecież usankcjonowała je równie Anglia, jak i inne mocarstwa... Wszelako być może, iż przedwczesną byłoby rzeczą rozbiierać więcej szczegółowo tę nadzwyczaj doniosłą i brzemienną w poważne następstwa konwencją, dopóki ministrowie królów nie przedstawiają nam oficjalnie wszystkich faktów odnośnych.“

Ministrowie faktów nie przedstawili; parlament angielski musiał zwrócić uwagę na Afganistan a równocześnie niemal na niemieckie operacye w Zanzibarze; nastąpiły potem niesnaski gabinetowe względem spraw budżetowych i irlandzkich, aż nakoniec gabinet uchwycił niezręcznie, lecz skwapliwie śmieszną sposobność do ustąpienia od władzy, którą skompromitował, bodaj bezprzykładnie w nowszych dziejach Anglii przez brak energii, przezorności i mężkości.

Z zacytowanych słów Stanhope'a jeden przedewszystkiem wyciągamy pewnik praktyczny, mianowicie ten, że Stowarzyszenia międzynarodowe, nie będąc i nie mogąc być w dalszym swym rozwoju państwem, nie mają prawa zawierać traktatów międzynarodowych; że zgodnie z tą zasadą jest i Kongo w swoim rozwoju handlowo-politycznym, tylko ciałem administracyi prowizorycznej, tymczasowej, tolerowanem dla tego, że jest koniecznym wynikiem współzawodnictwa mocarstw, tolerowanem aż do chwili, w której jedno lub drugie mocarstwo... fera le fait, zajmie w Afryce środkowej jego jurysdykcją terytoryalną, handlową i polityczną. W jaki sposób do tego przyjść może, nie trudno dziś zrozumieć i przewidzieć, jeżeli się tylko obróci plecy moralności politycznej. Do tej „spekulacyi,“ (którą postaramy się oprzeć na faktach dokonanych) wrocimy pod koniec niniejszej pracy. Teraz spieszo nam opowiedzieć główne zarzysy konferencyi i konwencyi.

Dnia 24-go listopada 1884, skutkiem nader stanowczych protestów W. Brytanii i Portugalii a następnie i Francyi, komisya specjalna odrzuciła niemiecką propozycją oznaczenia „obszaru handlowego środkowej Afryki“ i przyjęła definicyą geograficzną p. Andersona, delegata ministerstwa spraw zagranicznych W. Brytanii. Definicya ta ustanawia rozległą deltę handlową, 380 mil angielskich szeroką, od ujścia rzeki Loge (przy portugalskim porcie Ambriz, najdalejszym punkcie północnego wybrzeża w Angoli) do 2° 37' szer. południowej, wolność handlowa ma się rozszerzać, w głąb Afryki, aż do oceanu Indyjskiego, z należnym uznaniem praw zwierzchniczych, istniejących wzdłuż wschodniego wybrzeża.

Dnia 3-go grudnia, inna specjalna komisya obradowała nad drugim wnioskiem pełnomocnika brytańskiego, dotyczącym żeglugi na Kongo i Nigrze a 18 tegoż miesiąca, konwencya przyjęła formalnie i uznała następujący Acte de Navigation: „W. Brytania obowiązuje się opiekować kupcami (marchands) i cudzoziemcami wszelkiej narodowości, oddającymi się handlowi i przemysłowi w tych częściach biegu Nigru, które są, lub będą pod jej zwierzchnictwem lub protektoratem w równy sposób jak gdyby byli jej własnymi poddanymi, z warunkiem zawsze, iż kupcy ci i cudzoziemcy zastosują się do regulaminów, jakie już są lub będą ustanowione zgodnie z deklaracją i t. d.

W ostatnich dniach roku, ustanowiono jeszcze regulamin, dotyczący sprzedaży likworów; 17-go grudnia, Niemcy uznały oficjalnie konstytucyą a raczej istnienie Stowarzyszenia międzynarodowego; Włochy uczyniły to samo 19-go grudnia; Austria d. 24-go uznała sztandar Stowarzyszenia (złota gwiazda w szafirowém polu) jako flagę Stanu przyjaznego.

Z dwumiesięcznych prac konferencji r. 1884 przekonać się łatwo, że najgłówniejsze zarysy jej zadania zostały nie tylko z góry przygotowane między Berlinem i Bruksellą, lecz że i sam akt konwencji niemieckiej z Stowarzyszeniem tak były zredagowany przed konferencją, iż nie było potrzeby niczego w nim zmienić. Akt ten podajemy tu dosłownie z tej przyczyny, że zawiera w zupełności treść wszystkich konwencji z mocarstwami.

## K o n w e n c y a

między Cesarstwem Niemieckim i Międzynarodowem Stowarzyszeniem Kongo.

Art. I Międzynarodowe Stowarzyszenie Kongo obowiązuje się nie pobierać ceł z przedmiotów lub towarów importowanych wprost lub pośrednio do jego posiadłości teraźniejszych i przyszłych, w porzeżu rzek Kongo i Niadi Kwilu (wpadającej do Atlantyku przy porcie Rudolfstadt pomiędzy 4 i 5-ym stop. szer. połud.) albo do posiadłości jego na wybrzeżu oceanu Atlantyckiego. Ta wolność od ceł i podatków ma się mianowicie rozciągać do towarów i przedmiotów handlowych, jakie są transportowane drogami urządzonemi naokoło wodospadów Kongo.

Art. II. Poddani cesarstwa Niemieckiego mają prawo mieszkają lub osiedlać się w terytoryach Stowarzyszenia; będą zaś traktowani w równej mierze z poddanymi narodu, cieszącego się największemi korzyściami w kraju, we wszystkiem, co dotyczy ochrony ich osób i dobytku, wolnego spełniania obowiązków religijnych, obrony ich praw, tak w sprawach żeglugi, jako też w sprawach handlowych i przemysłowych. Mianowicie zaś będą mieli prawo kupna i sprzedaży, dzierżenia gruntów i budowli, położonych na terytoryach Stowarzyszenia, zakładania kantorów i zajmowania się przemysłem i handlem na całym wybrzeżu pod sztandarem Niemiec.

Art. III. Stowarzyszenie obowiązuje się nie przyznawać najmniejszej korzyści poddanym jakiegobądź innego narodu, bez natychmiastowego przyznania takiej samej korzyści poddanym niemieckim.

Art. IV. W razie prędszego lub późniejszego ustąpienia terytoryów albo jakowej ich części przez Stowarzyszenie — zobowiązania przyjęte przez Stowarzyszenie względem cesarstwa Niemieckiego, przejdą na nabywcę lub nabywców. Zobowiązania i prawa, dane przez Stowarzyszenie cesarstwu Niemieckiemu i jego poddanym pozostaną prawomocnymi po każdym ustąpieniu (cession) na rzecz nowego nabywcy.

Art. V. Cesarstwo Niemieckie uznaje sztandar Stowarzyszenia, flagę szafirową z złotą gwiazdą w środku, jako sztandar Stanu przyjaznego.

Art. VI. Cesarstwo Niemieckie uznaje granice terytoryalne Stowarzyszenia i mającego powstać nowego Stanu, według wskazówek na mapie, załączonej przy niniejszém.

Art. VII. Niniejsza konwencya będzie prawomocną natychmiast po wymianie ratyfikacji. W Brukselli 8-go listopada 1884 r.

(Podp.) Comte de Brandenbourg.  
Strauch.

Konwencya z W. Brytanią zawiera osobny artykuł, w którym Stowarzyszenie obowiązuje się „czynić wszelkie starania możliwe, by położyć koniec handlowi niewolnikami i wytepić niewolnictwo.“ Nadto, oddaje konsulom brytańskim i ich agentom bezwarunkową jurysdykcyą cywilną i kryminalną nad poddanymi brytańskimi, zgodnie i stosownie do brytańskiego kodeksu.

Konwencya z Francją określa szczegółowo granice między posiadłościami Rzeczypospolitej a terytoryami Wolnego Stanu. Toż samo ubezpieczenie znajdujemy w konwencyi z Portugalią.

Pomijamy tymczasowo kwestyą granic, ponieważ zamierzamy przedstawić w końcu ogólny obraz geograficzny Afryki środkowej.

Nakoniec, wszystkie poszczególne konwencye z mocarstwami Europy i z Stanami Ameryki składają się na Akt generalny, zawarty w siedmiu rozdziałach z 38-u artykułami, a opisujący deklaracye następujące: I) Deklaracyą o wolności handlowej w porzeczcu Kongo, przy jego ujściu i w obwodach przybrzeżnych, z pewnemi specyalnemi urządzeniami. II) Deklaracyą o handlu niewolnikami i o operacyach na lądzie i na morzu, jakie obecnie handel ten utrzymują i chronią. III) Deklaracyą o neutralności terytoryów porzeczca Kongo. IV) Akt o żegludze na Kongo w warunkach miejscowych rzeki i zgodnie z zasadami art. 108—116 kongresu wiedeńskiego. V) Akt o żegludze na Nigrze w tychże samych warunkach. VI) Deklaracyą, stanowiącą w międzynarodowych stosunkach równe formalności, jakie mają być zachowane przed każdą w przyszłości annekсыą na stałym lądzie Afryki. Ta deklaracya ostatnia w Akcie generalnym konferencyi za-



wiera dwa artykuły, wielce tu dla nas ważne. Pierwszy żąda, by mocarstwo, chcące albo zająć jakie terytorium nowe na stałym lądzie Afryki, lub rozciągnąć nad niem swą protekcją, żeby „wysłało notę uprzedzającą do mocarstw, podpisanych na konwencji niniejszej, tak iżby dało im możność założenia i wniesienia protestu, jeżeli będą do tego powody. Drugi artykuł żąda, by mocarstwa kontraktujące uznały w nowo-nabytych terytorjach prawa handlowe tamże istniejące przed konwencją.

Akt generalny, spisany i przyjęty przez pełnomocników czternastu mocarstw „w Imię Boga Wszchemocnego,“ stał się prawnym w dniu 26-go lutego 1885 r.

## V.

Dwa przedewszystkiem mocarstwa odniosły kolosalne zdobycze kolonialne z konferencyi berlińskiej—Francya i Portugalia.

„Francya — pisze Stanley — jest teraz panią zachodnio-afrykańskiego terytorium, ogromnego obszarem, równającego się w produktach roślinnych najlepszym ziemiom tropikalnym, bogatego w mineralia, wielce obiecującego pod względem handlowym. Powierzchnia tego terytorium rozciąga się na 257,000 mil  $\square$ , równając się rozmiarowi Francyi i Anglii razem wziętych, z przystępem ze wschodu do 5,200 mil żeglugi rzecznej, z wybrzeżem zachodniem długości 800 mil. W granicach swych obejmuje ośm wielkich porzeczy, a z sumy ogólnej dziewięćdziesięciu milionów hektarów  $\square$  ziemi, nie ma ani jednego, któryby był całkowicie bez wartości.

„Portugalia otrzymała terytorium długości wybrzeżnej 995 mil a 351,500  $\square$  mil rozciągłości — czyli większe od ogólnej powierzchni Francyi z Belgią, Hollandyą i z W. Brytanią. Nad dolnem Kongo, 103 mil wybrzeża rzeki należy do Portugalii. Może się więc drobne królestwo europejskie poszczycić posiadaniem zdrowych gruntów pastwnych na południu, lasów oliwnych i gumowych na północy, kopalni mineralnych na północy-wschodzie i doskonałych okolic agronomicznych wzdłuż pogranicza wschodniego. Doliczywszy ludność Portugalii europejskiej do ludności krajowej jej afrykańskich posiadłości, możnaby nadać po  $32\frac{3}{4}$  akra ziemi każdemu portugalskiemu poddanemu, białemu czy murzynowi. Liczba ogólna portugalskich poddanych w świecie wynosi dzisiaj 8,300,000; powierzchnia zaś posiadłości portugalskich w Afryce, w Azji i na oceanach wynosi 741,343 mile  $\square$ , czyli 474,500,000 akrów, a zatem wystarcza na to, aby każdy poddany posiadał 57 akrów. Tymczasem W. Brytania, z ogromną powierzchnią wszystkich swych posiadłości, wynoszącą 5,056 milionów akrów, może nadać każdemu z swych 249,000,000 poddanych tylko po  $20\frac{1}{4}$  akra.“

Granice trzech środkowo-afrykańskich potęg: Francyi, Portugalii i Stowarzyszenia, są następujące:

Portugalia posiada nasamprzód kraik, oddzielony od reszty jej posiadłości, a położony między 5-ym i 6-ym stop. szer. połud., ciągnący się na samém wybrzeżu Antlantyku w długości mil 50 cju, w szerokości mil 12-tu, otoczony ze strony lądu zewsząd posiadłościami francuzkiemi, a więc nie dochodzący do ujścia Kongo. Za to całe południowe wybrzeże dolnego Kongo, aż do Wodospadów Livingstone'a należy do Portugalii; od punktu, na którym znajduje się międzynarodowa stacya Vivi, przy wodospadzie pierwszym, granica portugalska posuwa się w zupełnie prostej linii, wzdłuż kilku tylko prętów nad 6° szer., aż dochodzi do rzeki Kuango; z biegiem tójże rzeki zwraca się na południe aż do 12° szer., zkąd pod kątem ostrym (około 15°) wychodzi na północ aż do 10-go stop. szerokości; tu, równolegle z 10-m stopniem sięga oceanu Atlantyckiego. Francyi granice są zupełnie otwarte na północy, gdzie się rozciągają kraje niezbadane. Omijając kraik portugalski nad północném ujściem Kongo, posiadłości francuzkie nie dochodzą do brzegów Kongo aż dopióro przy ostatnim Wodospadzie Livingstone'a, około 200 mil od ujścia; od tego zaś punktu dążą z biegiem rzeki aż do miejsca, między 1—2° szer. połud., gdzie do koryta Kongo wpada rzeka Likona (Bunga). Dalej, wzdłuż 17-go stop. długości posuwa się aż do 1-go st. szer. połud., wzdłuż tegoż zaś wraca do oceanu.

Wolny Stan Kongo obejmuje 1,600,000 mil □ obszaru, panuje nad północném ujściem rzeki i rozciąga się między 4° półn. i 12° 15" połudn. szerokości. Kształt jego na mapie podobny jest bardzo do profilu hełmu, używanego przez piechotę francuzką, któremu byśmy dodali „ochronę“ przypiętą z tyłu, a spadającą na ramiona. Profil daszku—to najwęższa posiadłość przy ujściu Kongo; „ochrona“ zaś tworzy posiadłości, posunięte najdalej na południe.—Jeziora Alberta, Tanganjiki i Bemby stanowią jego granice wschodnie, oddalone od wybrzeża oceanu Indyjskiego o jedenaście stopni długości geograficznój (30—41). Granice atoli handlowe, obejmujące część posiadłości francuzkich i portugalskich, zachodząc daleko w kraje dotąd niezbadane, pokrywają obszar 2,400,000 mil □ i oddalone są od wschodniego oceanu tylko o jeden stopień geograficzny (38—39), naprzeciw Zanzylbaru.

Jakież więc był cel niezmiernych trudów Międzynarodowego Stowarzyszenia w jego wyprawach afrykańskich, w jego pracach europejskich? Oto—przeszkodzić, aby mocarstwa europejskie nie dokonały powolnego dzieła stopniowego pochłaniania krajów Afryki środkowój, którego skutkiem koniecznym musiałyby być ostateczne zamknięcie tych krajów przed wszelkiem handlowém przedsiębiorstwem<sup>1)</sup>. Cel—ultrafilantropijny. Korzyści jego są na razie również ultra... problematyczne, zależą one od rozwoju cywilizacyjnego w Afryce, to prawda; lecz nadewszystko od rozwoju administracyjnego. W miarę zaś tego rozwoju powstawać muszą pewne poważne trudności. Zbu-

<sup>1)</sup> The Congo, tom II, str. 405.

dowanie kolei żelaznych stanowi jedną z nich: któż ją zbuduje? na jakich warunkach? za jakim kontraktem? Samo owo „ustąpienie“ terytorów, omawiane w każdej konwencji Stowarzyszenia z troskliwą emfazą, tworzy już dzisiaj przedmiot między-gabinetowych ambicji. Którzeby mocarstwo mogło wystąpić w miejsce Stowarzyszenia?

Któreż mocarstwo odniosło najpraktyczniejsze korzyści z rezultatów konferencji? Nie Francya! Francya nie potrzebowała i nie potrzebuje nadal troszczyć się o opinią, ani o uznanie czyjebądź jój pochodu kolonizacyjnego na północ od Gabuny? Czy Portugalia winszuje sobie z uniesieniem zdobycia nowych granic w Afryce? Bynajmniej. Portugalia nie odzyskała praw historycznych do obydwóch wybrzeży ujścia Kongo, o które jój najwięcej chodziło; otrzymała zaś nowe terytoria wschodnie i południowo-środkowe, o które prosić nikogo nie potrzebowała. W. Brytania nie otrzymała najmniejszego przyrostu swych posiadłości w Afryce, a jest obecnie zmuszoną zastosować do żeglugi na Nigrze te prawa międzynarodowej wolności handlowej, których pragną się gorąco pozbyć jój izby handlowe w Europie!

Czy Niemcy zyskały cobądź w całej téj kwestyi? Na to pytanie odpowiedzieć musimy nowém pytaniem, mianowicie: Od kiedy to Niemcy dyplomatyczne pomyślały na seryo o kolonizacyi Afryki, i od jakich to okolic rozpoczęły Niemcy ks. Bismarcka tę kolonizacyą? Warto posłuchać Stanley'a... bijącego czołem przed księciem kanclerzem: „Ks. Bismarck, jako wielki mąż stanu, poczuł to silne tętno współczesnego prądu kolonizacyjnego Niemiec. Przyłożył swój stetoskop i począł słuchać szemrania téj tajemniczój namiętności swj ery, a odnalazłszy ją (admirabile dictu et auditu!...), wysilił geniusz swój ku stworzeniu zdrowego systemu polityki kolonialnej—nie nagle... choć tym, co geniuszu jego objąć nie potrafią, zdawałoby się mogło—ekscentrycznie. Jest on gorliwym we wszystkiém, co przedsięwzięcie; szuka rady kompetentnych. Ta ekscentryczność, żeby mąż stanu zgromadzał ekspertów i od nich żądał porady, nie jest rzeczą zwykłą. Woermani i Meyerowie hamburscy otrzymali zaproszenie do Warcyna i od nich to ks. Bismarck w uprzejmości swojej nabył tak obszernój znajomości terytorjów Afryki zachodniej, jakiej nie posiada wielu ministrów spraw zagranicznych.“

Prawdopodobnie, skutkiem takich to „uprzejmości“ rozpoczęły się zatargi z Anglią przy podgórzu Kamerunów. Zwracamy uwagę, że kameruńska kolonia niemiecka może z czasem otworzyć pierwsze niemieckie stacye morskie w zatoce gwinejskiej; a w każdym razie musi położyć koniec postępowi Francyi zbyt daleko na północ od Ogowy. Informacye kanclerza sprowadziły równocześnie nagły wzrost kantorów niemieckich nad Angrą Pequena, zamykających postęp W. Brytanii z południa i postęp Portugalii z północy. Następnie, infima initia rerum!... das arme Reisen der thum rozsiało się nad zatoką św. Łucyi, na wybrzeżu wschodniém, wbijając się i tu klinem między posiadłości brytańskie na Przylądku a brytańskie wpływy w Tran-



swaalu. Nakoniec, a to już są dzieje, zasze po konferencyi, w czasie najgroźniejszych wypadków w Azji i w Europie, niemiecki konsul w Zanzibarze, na wyspie prawie brytańskiej, rozpoczął bezpośrednio układy z holdownikami sultana zanzybarskiego na wschodniem wybrzeżu stałego lądu. Rezultaty układów konsula Krügera stanowią dziś najpoważniejszy materiał nieporozumienia anglo-niemieckiego, którego wybuchowi stają na przeszkodzie jedynie bliższe w Europie niebezpieczeństwo i groźniejsza w możliwe następstwa kombinacja między-gabinetowa. Krüger rozciągnął protektorat niemiecki nad pewnymi sultanatami afrykańskimi, zależnymi od Zanzybaru, i wbrew najwyraźniejszym protestom konsula brytańskiego, zatknął sztandar cesarski aż na 225 mil odległości od granic politycznych Wolnego Stanu Kongo, a na 157 mil odległości od granic jego handlowych. Bezładny i tracący głowę gabinet Gladstone'a i Grauville'a zaprotestował również, ale było to w tym samym czasie, kiedy oredzie królowej powoływało rezerwy, a pierwszy minister co dopiero był wygłosił słynną swą „mowę poniedziałkową“ i otrzymał 11,000,000 kredytu!

Czy obruszy się na nas taskawy czytelnik, że w tém miejscu zakończymy przegląd sprawy Wolnego Stanu? Jesteśmy zdania, że o założeniu jego, o warunkach jego handlowych, etnograficznych i geograficznych powiedzieliśmy wszystko, co na razie było potrzebnem: położenie polityczne, „nabrzmiwa“ w chwili obecnej. W tym zaś peeryodzie niepodobną jest rzeczą zapuszczać się w głębsze spekulacye. Jeżeli echo ogólnej opinii angielskiej i francuskiej rozgłasza od półtora roku, jakoby Afryka środkowa stać się miała zdobyczą cierpliwój dyplomacyi berlińsko-hamburskiej, my jemu wierzymy i w Akcie Generalnym konferencyi berlińskiej spostrzegamy przyszły instrument akcyi. Jeżeli zaś na sprawę Wolnego Stanu Kongo zapatrywać się mamy ze stanowiska czysto filantropijnego, natenczas kwestya kolonizacyi niemieckich w Australii i w Afryce nie ma tu miejsca. W niepewności długo pozostawać nie będziemy: najpierwszy paroksyzm pokojowy w Europie sprowadzić musi i sprowadzi najczelniej na pierwszy plan stosunek międzynarodowy Wolnego Stanu Kongo, i sprawę kolonii i protektoratów niemieckich ustanowionych na wschodniem wybrzeżu Afryki, i to bez odniesienia się do sankcyi mocarstw, bez uprzedzenia ich o tém, chociaż ostatnia deklaracya Aktu Generalnego konferencyi berlińskiej, najwyraźniej i najświęciej to zastrzegła „w imię Boga wszechmocnego;“ bo tego rodzaju zobowiązania traktatowe nie warte — mówiąc językiem ks. Bismarcka — fajki tabaki!

# OBRAZ STATYSTYCZNY SZKÓŁ

W GUBERNIACH ZACHODNICH CESARSTWA

w latach 1825—1826,

na podstawie raportu urzędowego \*).

PRZEZ

*Zygmunta Glogera.*

W dalszym ciągu źródeł które mamy przed sobą, następują obszerne i ciekawe raporta wizytatorskie profesora Podczaszyńskiego z r. 1826-go o 18-tu gimnazyach i szkołach powiatowych w ówczesnej gubernii Wileńskiej czyli na przestrzeni dzisiejszych dwóch gubernii: Wileńskiej i Kowieńskiej. Każdy z tych raportów składa się z 7-miu drukowanych i zapisanych przez wizytatora szematów, obejmujących mnóstwo szczegółowych rubryk, przeznaczonych na statystykę, wiadomości pedagogiczne i opinie wizytującego.

A więc najprzód w pierwszym szemacie o „urzędnikach szkolnych i osobach nauczających,” mamy ich nazwiska, urząd lub stopień naukowy, miejsce urodzenia, lata wieku, miejsce odbywanych nauk, lata służby i po ile lat w jakich szkołach, czy są żonaci, jak liczną mają rodzinę i służących, ilu mają przy sobie mieszkających uczniów, niepłatnych lub ile im płacących, czy nauczyciele mają mieszkania własne, najęte lub skarbowe, z ilu złożone pokoi i w jakim stanie, jak każdy nauczyciel wypełnia swoje obowiązki, jakie ma zdolności i obyczaje. Nie ma wcale rubryki, i bardzo słusznie, na oznaczenie stanu urodzenia nauczycieli. Drugi szemat w raportach wizytatora obejmuje „uczniów szkoły,” t. j. ich liczbę, wyznanie religijne, pochodzenie, wiek, miejsce urodzenia, sposób utrzymania się

\*) Dokończenie. Zob. zesz. za m. Grudzień 1885.

i zamieszkania, liczbę ubytych ze szkoły i z jakiego powodu, śmiertelność, wykazanie celujących w nauce i sprawowaniu się. W trzeciej części raportu następują wiadomości o „dozorcach domowych i powtarzających lekcye szkolne“. W czwartej idą dawane w klasach „nauki i talenta.“ Tutaj przy każdym przedmiocie jest wyszczególniona liczba godzin, ilość uczących się, z jakiej książki, rękopisu, wzorów, kto nauczał, od czego wykład był zaczerpnięty i na czém ukończony w tym roku, osobiste zdanie każdego nauczyciela o książce do tego przedmiotu przez Rząd uniwersytetu wileńskiego przepisanej, lub którą za lepszą być sądzi, wiele ćwiczeń uczniowie składają w tygodniu, ilu miało w naukach postępy opieszale, mierne, dobre i wielkie. Piąty szemat p. n. „pomoc naukowa“, zawiera opis budowli szkolnych, biblioteki i gabinetów. Szósty dotyczy kasy i archiwum szkolnego a siódmy szemat i ostatni „rządu wewnętrznego i polityki szkolnej.“

Z raportu o gimnazjum wileńskim i o istniejącej przy niem szkole powiatowej widzimy, że gimnazjum to miało klas 4, nauczycieli 12 i uczniów 261, szkoła zaś klas 3, nauczycieli 5 i uczniów 326. Z ogólnej liczby 17 nauczycieli, 13 posiadało naukowe stopnie uniwersyteckie, a nie mieli żadnych stopni naukowych nauczyciele obcych nowożytnych języków, przeważnie cudzoziemcy. Wśród nauczycieli znajdowali się znani literaci jak Ignacy Szydłowski, Zygmunt Bartoszewicz, Piotr Ostrowski i inni. Z ogólnej liczby 587 uczniów w obu zakładach, katolików było 519, prawosławnych 22, ewangelików 42, machometan 3, starozakonny 1, szlachty było 567, mieszczan i włościan 20, urodzonych w powiecie wileńskim 280, w innych powiatach tejże gubernii 211, w innych guberniach 96, w zakładach dobroczynnych mieszkało uczniów 37, u rodziców, krewnych i znajomych 530, z własnego zarobku utrzymywało się 20, chorowało obłożnie w ciągu roku 13, ale nie umarł żaden. Dozorców domowych, których obowiązkiem było czuwanie nad prowadzeniem się uczniów poza murami szkoły i powtarzanie lekcyj czyli korepetycy, obydwaj zakłady liczyły 97, wszyscy zaś byli pochodzenia krajowego. Razem z nimi mieszkało uczniów 312, a przychodziło do nich na powtarzanie lekcyj 275, nie nie płaciło za korepetycy 33 uczniów, a 30 usługiwało za tę pomoc naukową. Co do wieku najstarszy nadzorca liczył lat 52, najmłodszy 16; władza szkolna zwracała na nich baczną uwagę a wizytator znalazł 14-tu, zalecających się szczególném upodobaniem w pedagogice.

Nie mamy tu miejsca na wyszczególnienie całej treści nauk, wykładanych w gimnazjum i szkole powiatowej wileńskiej. Powiemy tylko ogólnie, że szkoły ówczesne nie dzieliły się jak dzisiejsze na klasyczne i realne, i nie nosiły specjalnego charakteru jednych lub drugich, cała bowiem usilność ówczesnych władz edukacyjnych skierowaną była ku temu, żeby szkoła dała gruntowne elementarne wiadomości z dziedziny wszystkich nauk, które w życiu każdego człowieka są konieczne. W równej więc mierze uczono języków nowożytnych



i łaciny, historii, matematyki i nauk przyrodniczych. W trzech klasach szkoły powiatowej i gimnazjum znajdujemy już trygonometrią, algebrę, geometryą praktyczną i analityczną, rysunki topograficzne, geografją astronomiczną (z dzieła prof. Drzewińskiego), fizykę (podług tegoż autora), zoologią i botanikę (podług dzieł księdza Jundziłła), mineralogią (z dzieła Jakowickiego). O ile nacisk kładziony był na łacinę, o tyle greckiego nie uczono wcale.

W bibliotece gimnazjum wileńskiego znajdowało się dzieł naukowych 396, w téj liczbie fizycznych i matematycznych 102. Sale klasowe były obszerne, sześć ich obejmowało razem 1287 łokci kwadratowych litewskich przestrzeni posadzki, co wynosiło mniej więcej 3 łokcie kwadratowe warszawskie na jednego ucznia, a że izby tak duże nie mogły być niskie, więc śmiało przypuścić można, że każdy człowiek miał do oddychania 15—18 łokci kubicznych powietrza. W gabinecie fizycznym znajdowało się 35 narzędzi, z których jedno było zepsute. Gabinet mineralogiczny przeniesiony został do uniwersytetu.

Ogólny fundusz pobierany rocznie tak przez gimnazjum wileńskie, jako też przez szkołę powiatową i seminaryum nauczycieli parafialnych i organistów, wynosił rs. 12,390. W téj sumie procenta od zapisów osób prywatnych stanowiły rs. 1790. Kasa gimnazjalna, na skutek zalecenia rektora wszechnicy z d. 14 maja 1823 r., przeniesioną została do kasy uniwersyteckiej i dyrektor szkoły w każdej potrzebie pisze przedstawienie do rządu uniwersyteckiego. Przez dyrekcją przechodzą także pieniądze na utrzymanie szkoły gimnazjalnej w Krożach, niektórych jej konwiktów, szkoły powiatowej kowieńskiej i parafialnej jahanniszkielskiej.

Dzienniki szkolne, od trzech lat zaprowadzone, były dwojakie: utrzymywane w klasach i domowe w ręku guwernerów i dozorców zostające. Zalecono, aby guwernerowie i dozorczy, zrobiwszy rozkład czasu (poza lekcyami), przedstawili go prefektowi i po aprobacie w swych stancyach na drzwiach przybijali.

W Wilnie oprócz szkoły powiatowej przy gimnazjum istniała druga szkoła powiatowa trzyklasowa księży Bazylianów. Liczyła ona 123 uczniów i 9 nauczycieli, wśród których było 7 zakonników i 2 nauczycieli świeckich (do języka francuzkiego i niemieckiego). Szkołę powyższą urządził i na dobrej stopie postawił ksiądz Wiktor Bosiacki; fizyki i historii naturalnej nauczał ksiądz Kudrzycki, większa część Bazylianów była rodem z gubernii Grodzieńskiej. Wśród uczniów było katolików 121 i ewangelików 2, szlachty 105 a mieszczan 18, w powiecie wileńskim urodzonych 79, w innych powiatach gubernii 32, a w innych guberniach 11, najmłodszy uczeń miał lat 8, najstarszy 18, nie umarł w ciągu roku żaden, w zakładach dobroczynnych mieszkało 36, a 11 utrzymywało się z tego, że byli na usługach u majątniejszych. Dozorców domowych było 26, ale pomiędzy nimi nie było żadnego ucznia téjże szkoły. Od dozorców w ogóle wymagano, aby

uczniów sobie powierzonych, idących na naukę, z domu zawsze odprowadzali do klas. Jak również byli obowiązani zbierać się u prefekta na posiedzenia. Na posiedzeniach tych zwierzchność szkolna wskazywała dozorcóm domowym różne instrukcye, co zapisywano do księgi posiedzeń. Były to zwyczajnie godne uwagi i dowodzące rozumnej troskliwości władz szkolnych o młodzież. Notuje jednak wizytator, że tylko kilku dozorców wypełnia należycie obowiązki. Sale szkolne i mieszkania nauczycieli mieściły się w klasztorze księży Bazylianów. Szkoła ta nowo utworzona nie miała jeszcze żadnej biblioteki ani zbiorów naukowych, a tylko wizytator wyraził nadzieję, że Rząd uniwersytetu zechce jęj ofiarować jedną z przygotowanych dla szkół kolekcji minerałów. Nagród dla uczniów wzorowych nie było innych prócz publicznej pochwały i pierwszego miejsca w klasie. Na wykraczających używane były kary następane: upomnienie prywatne i publiczne, klęczenie, siedzenie na stołku lub na ziemi i wreszcie kara cielesna. Mówiąc o pomocach sanitarnych, notuje Podczaszyński, iż młodzież szkolna w Wilnie miała „niewypowiedzaną łatwość“ w otrzymywaniu pomocy lekarskiej.

Szkoła powiatowa Kowieńska (czteroklasowa) miała nauczycieli 9-ju i uczniów 128, a w tój liczbie pięciu ze stanu włościańskiego. „Dozorcą“ jęj czyli dyrektorem był gorliwy pedagog Stanisław Dobrowolski, a wśród grona nauczycielskiego spotykamy Tomasza Kurhanowicza, znanego autora gramatyki polskiej i rozprawy p. u. Porównanie języka polskiego z innymi słowiańskimi. Dozorców domowych było 11, z których jeden był opieszaty, reszta wypełniała swe obowiązki dobrze, a dwóch nawet zasłużyło na szczególne odznaczenie. Zwierzchność szkoły kowieńskiej uznała „Naukę obyczajową,“ w Wilnie wydaną za niedostateczną do uczenia, tylko przydatną do czytania. Uczniowie na krótkie pytania odpowiadali w języku łacińskim, którego nauczyciel używał i do wykładu. We francuzkim okazali mały postęp, w naukach matematycznych dobry, dla wielości nauk fizycznych nie na wszystkie pytania odpowiadali dobrze, w kaligrafii zostawiali wiele do życzenia, rysunki głów krędą były nieźle a tuszowe, sepią i topograficzne mierne. Biblioteka szkoły obejmowała dzieł 1013, w gabinecie historii naturalnej było zwierząt wypchanych 13, a w fizycznym znajdowało się narzędzi mierniczych 6, do robienia doświadczeń z elektrycznością 14, ze światłem 2, z ciepłikiem 3, z powietrzem 11, z wodą 4. Szkoła otrzymywała rocznie od rządu na opłatę nauczycieli, pomoce naukowe i wydatki ekonomiczne rs. 1772. Wśród kar wymierzanych uczniom nie ma cielesnej, tylko wymieniona jest „pogróżka plagi.“ Trzy razy w tygodniu uczniowie w towarzystwie dozorców domowych i niektórych nauczycieli wychodzili na przechadzkę i zabawę z piłką. Doktor med. Kowalski od siedmiu lat udzielał młodzieży szkolnej rad bezpłatnych.

Utrzymywana przez OO. Dominikanów szkoła powiatowa w Merczu nad Niemnem, obejmowała klas 3, nauczycieli 5-ciu (za-



konników) i uczniów 41. Pozostawiała ona nader wiele do życzenia. Po pożarze kolegium pojezuickiego w r. 1822, pomieszczenie dwóch klas wyższych było ciasne. Księgozbioru szkolnego i żadnych gabinetów nie było, był tylko stolik i narzędzia miernicze a mapy geograficzne miano w szkole z biblioteki klasztornej. Zabawy w czasie wolnym od nauk skierowane były w celu rozwinięcia „mocy, szykowności i zręczności ciała“ u młodzieży.

Z raportu o szkole powiatowej w Borunach, utrzymanej przez księży Bazylianów, widzimy, że szkoła ta oprócz zwyczajnych klas czterech, miała wstępną i rodzaj piątą. Nauczało w niej sześciu zakonników, uczniów było 152, z których najmłodszy liczył lat 6, najstarszy 29, urodzonych w powiecie Oszmiańskim było 106, dozorców domowych było 15. Między innymi przedmiotami znajdujemy naukę zoologii i botaniki podług Jundziłła, fizykę podług Drzewińskiego, mineralogią Jakowickiego, ogrodnictwo podług Krassowskiego, gnomonikę Drzewińskiego i rolnictwo Oczapowskiego. Biblioteki szkolnej nie było, tylko klasztorna, narzędzi fizycznych i mierniczych było 9, gramatyka Kopczyńskiego była tu, jak i we wszystkich innych szkołach, przez zwierzchność zabroniona, opieczętowana i pod kluczem dozorecy szkoły zamknięta. Jak wiele uwagi rząd uniwersytetu wileńskiego polecił zwracać wizytatorowi na dozorców domowych, dowodzi dołączona do raportu kwalifikacya wszystkich tych dozorców, w Borunach obejmująca przebieg życia każdego poszczegółe.

Szkoła powiatowa Wiłkomierska miała klas 4, nauczycieli 6 i uczniów 79. Wśród nauczycieli było 4 księży i 2 ludzi świeckich; dozorców domowych i korepetytorów było 11, których kwalifikacye przedstawiono wizytatorowi. Znalazł on także pewną liczbę młodzieży przygotowującej się w domu i konwicie celem wstąpienia do szkoły. Uczniowie w ogóle okazali postępy dobre a znakomite w łacinie, trygonometrii i algebrze. Dom na pomieszczenie konwiktu obejmował pokoi 12, które razem miały łokci kwadratowych 1200; kościół zaś łokci kwadrat. 1152. Wymiary kościołów, do których uczęszczali szkoły, znajdujemy we wszystkich prawie raportach Podczaszyńskiego, rząd bowiem uniwersytetu wileńskiego chciał się przekonać, czy nie ma świątyń zbyt ciasnych, w których zgromadzanie się młodzieży mogłoby szkodzić jej zdrowiu. W czasie wolnym od nauk uczniowie pod okiem nauczycieli i dozorców domowych zajmowali się grą w piłkę, ubieganiem do mety i gimnastycznymi ćwiczeniami. Utrzymywane były dzienniki szkolne przez nauczycieli i po stacjach przez dozorców domowych, którzy prowadzili także rejestra rzeczy i wydatków pieniężnych powierzonej sobie młodzieży. Pomocy lekarskiej udzielał bezpłatnie dr. Sawicki.

OO. Bernardyni utrzymywali szkołę powiatową w Traskunach, w której było klas 4, nauczycieli 7 i uczniów 179, a ci mieli 27 dozorców i korepetytorów domowych. Wśród uczniów znaj-



dowało się aż 45 ze stanu włościańskiego, co przedstawia niezwykle w owych czasach stosunek. Wizytator znalazł nauczycieli téj szkoły niedostatecznie uzdolnionych i młodzież krnąbrną. Oprócz 31 narzędzi fizycznych i mierniczych, szkoła nie posiadała innych pomocy naukowych. Gramatyka Kopczyńskiego była jak wszędzie opieczętowana. Szkoła nie otrzymywała żadnego funduszu od władzy wyższej na swoje utrzymanie, tak jak prawie wszystkie szkoły przy zakonach istniejące, a uczniowie składali się tylko na utrzymanie jednego służącego i kupno narzędzi fizycznych i mierniczych.

W drugiej połowie XVIII-go wieku Pijarzy otworzyli w Poniewieżu szkołę podwydziałową, którą w raporcie Podczaszyńskiego z r. 1826, znajdujemy pod nazwą powiatowej. Liczyła wtedy klas 4, nauczycieli 6 (w téj liczbie 4 księży), uczniów 102 i dozorców domowych 9. Dom szkolny był murowany i w dobrym stanie, ale klasy ciasne. Każdy dozorca domowy utrzymywał dziennik, przeglądany przez zwierzchność szkolną.

Przechodzimy teraz do szkół żmudzkich, których w tym stosunkowo niewielkim kraju było 7 powiatowych i 2 gimnazyja: w Krożach i Chwałojniach. Gimnazyum w Krożach liczyło wówczas otwartych klas 3 i szkoła powiatowa przy gimnazyum krozkiem istniejąca miała również klas 3, nie licząc wstępnej i kółka uczniów po ukończeniu przy szkole będących. Nauczycieli w gimnazyum było 11 i uczniów 119, a w szkole powiatowej nauczycieli 9 i uczniów 237. Razem podana w raporcie liczba wszystkij młodzieży uczącej się w Krożach wynosi 360, dozorowanój w domach przez 47 dozorców. Biblioteka szkolna składała się z 4506 dzieł, pomieszczonych w wielkiej sali i posiadała swój katalog, ale gramatyka Kopczyńskiego była zawsze zapieczętowana. Gabinet mineralogiczny, pochodzący z daru obywatela Chlewińskiego (który był dozorcą honorowym szkół krozkich), zawierał okazów 773, oprócz tego w zbiorach szkoły było 10 ptaków wypchanych, 175 owadów, zielnik botaniczny, 49 medali, 252 monet starożytnych i nowszych, 8 narzędzi osobliwych (zapewne starożytnych), 25 narzędzi do doświadczeń fizycznych i 10 narzędzi mierniczych. Każdą lekcją sam nauczyciel najprzód tłumaczył, po nim powtarzali uczniowie, a po takiem przygotowaniu słuchaną była lekcya przeszła. Gramatykę niemiecką Kamińskiego uważał nauczyciel miejscowy za niedostateczną dla uczniów gimnazyalnych. Utrzymywany jest przy szkołach medyk, zakrystyan, stróż, kominiarz i pocztarz. Dozorcy domowi prowadzą rejestra rzeczy i wydatków młodzieży, dozwolona jest do zabawy piłka, kregle i przechadzki pod okiem dozorców. Przy zamknięciu roku rozdają się wzorowym uczniom książki i medale, a imiona ich zapisują się do księgi złotój i podają do wiadomości publicznej.

Trzyklasowe gimnazyum ze szkołą powiatową w Chwałojniach, utrzymywane przez księży Karmelitów, liczyło w czasie wizyty prof. Podczaszyńskiego 181 uczniów. Siedmiu zakon-

ników nauczało w szkole powiatowej, pięciu w gimnazjum, a raport wizytatorski oddaje im wiele pochwał. Biblioteka szkolna liczyła dzieł 703, obok niej było w gabinecie potrosze zwierząt, owadów, minerałów i kilkadziesiąt narzędzi do doświadczeń mierniczych. Kary cielesnej używano tylko dla tych uczniów, o których przekonano się, że inna nie skutkowałą.

Szkoła w Datnowie, utrzymywana przez OO. Bernardynów, liczyła uczniów w czterech klasach i wstępnej 224, a w tej liczbie 45 synów włościan. Nauczycieli było 8, dozorców z kwalifikacją 15. Sposób nauczania w kilku przedmiotach grzeszył zbyt czynnem przeladowaniem pamięci uczniów suchemi regułami. Fizyki uczoneo z Drzewińskiego a rolnictwa z Oczapowskiego. Przy bibliotece szkolnej był gabinet fizyczny i 120 starożytnych monet.

Czteroklasowa szkoła powiatowa w Rosieniach miała nauczycieli 8, dozorców domowych 12 i uczniów 130, a oprócz nich 25-ciu sposobiących się do klas pod różnymi dozorcami. Wizytator niezbyt pochlebne zdania zapisał o nauczycielach tutejszych, z których grona wyróżniał się tylko Ignacy Pietraszewski, nauczający języka francuzkiego, późniejszy rozgłośny orientalista. W kwalifikacyi tego nauczyciela znajdującój się w raporcie wizytatora, wymieniono tylko, że urodzony był w pow. Grodzieńskim, odbył nauki w szkole OO. Dominikanów grodzieńskich, miał (w r. 1826-tym) lat 25 i nauczycielem był rok pierwszy, a przedtém był adwokatem powiatu Kowieńskiego. W zyciorysie zaś Pietraszewskiego w Encyklopedyi Orgelbranda (dużej) pominięty jest ten szczegół, że w r. 1826 nauczał języka francuzkiego w Rosieniach a tylko zanotowano, iż bawił rok na wsi w kowieńskiem i powrócił do Wilna, zkąd w r. 1826 wyjechał do Petersburga na wydział języków wschodnich. W raporcie Podczaszyńskiego czytamy jeszcze, że Pietraszewski ze znacznym postępem uczniów nauczał z gramatyki Kamińskiego i wypisów przez uniwersytet zaleconych, uważając te książki za dobre, ale przy obszerném tłumaczeniu. W gabinecie historii naturalnej znajdowało się minerałów 178. Biblioteka obejmowała 347 dzieł, darowanych w znacznej części przez p. Chlewińskiego, który był dozorcą honorowym tej szkoły. W gabinecie fizycznym było dużo aparatów do doświadczeń i narzędzi mierniczych. Przybór cały i piękny maszyny elektrycznej miała szkoła ze składowki obywateli żmudzkich, którą zbierał Chlewiński i w znacznej części sam dopełnił. Była także w gabinecie tablica marmurowa, do której należą dwie kule z kości słoniowej, tygle do topienia i t. d. W czasie półrocznego egzaminu uczniowie odznaczający się pilnością nagradzani byli pochwałą publiczną i zapisaniem do księgi celujących. Grube wady ani nałogi nie okazały się wśród młodzieży. Lekarskiej pomocy udzielał wszystkim bezpłatnie doktor powiatowy Stawiński.

Szkoła Podubiska księży Bazylianów liczyła w 4-ch klasach 159 uczniów. Nauczało w niej pięciu miejscowych księży. Było 10 dozorców domowych z kwalifikacją odpowiednią. Biblioteka szkol-

na składała się z 674 dzieł, uporządkowanych, a przy niej znajdowało się nieco minerałów, dawnych monet, aparaty fizyczne, narzędzia miernicze i rysunkowe. Uczniów ze stanu włościańskiego było 20. Lekarz i lekarstwa opłacano z ogólnej składki uczniów.

Istniejąca w Telszach i utrzymywana przez księży Bernardynów szkoła powiatowa liczyła klas 4 oprócz wstępnej i uczniów 171, a nauczało w niej sześciu miejscowych zakonników. Dozorców po domach było 14-tu, dzieł w bibliotece 169, w gabinecie nieco ptaków, ryb, zielnik botaniczny, 166 minerałów, 961 monet i kilkanaście aparatów i narzędzi. Machina elektryczna taflowa kosztem klasztoru kupiona. Uczniowie wychodzili na zbiorową przechadzkę i grę w piłkę trzy razy tygodniowo, dozorczy domowi utrzymywali rejestra ich rzeczy, wydatków i pilnowali, aby przepisy zatrudnień dziennych w domu były wypełniane. Lekarz powiatowy p. Taratuta udzielał pomocy bezpłatnej.

Po szkołach kroskich najliczniejsza na Żmudzi była dominikańska szkoła powiatowa w Kalwaryi. W r. 1826-tym liczyła ona w sześciu klasach i wstępnej 303 uczniów a nauczało w niej 8-iu miejscowych księży. Dozorcą tej szkoły był ksiądz Winc. Pietraszkiewicz, nauczyciel religii i języka francuzkiego, ksiądz Dominik Judycki nauczał literatury. Dozorców domowych z kwalifikacją było w Kalwaryi 20-tu. W liczkie 303 uczniów było 302 katolików, 1 prawosławny, 116 synów włościan. Widzimy więc, że przeszło trzecia część młodzieży w szkole pochodziła z ludu. To też pomiędzy uczniami celującymi, których raporta wizytatorskie w każdej szkole wymieniają, znajdujemy tu nazwiska niesłyszane nigdy przedtem w kraju, a témbardziej w herbarzach szlacheckich.

Dwa domy szkolne w Kalwaryi żmudzkiej zawierały w sobie sal lekcyjnych większych 5 i mniejszych 3. Gabinet i biblioteka pomieszczone były w klasztorze, w gabinecie historii naturalnej było zwierząt rozmaitych 73 i 1 zielnik. Nagrody uczniom w pochwałach publicznych i książkach rozdawane były przy egzaminach kwartalnych. Uczniowie mieli tygodniowo 3 rekreacje, przeznaczone na przechadzki, zabawę i rozmowy naukowe z nauczycielami. Instrukcja dla dozorców domowych obejmowała paragrafów 24, tudzież 8 o obyczajności uczniów a oddzielny rozkład czynności uczniów w domu miał punktów 25. Nie umarł w ciągu roku żaden uczeń.

Szkoła powiatowa Iłuksztańska znajdowała się w Kurlandyi, ale jako szkoła polska zostawała pod patronatem uniwersytetu wileńskiego. W okolicach Iłukszty, miasta powiatowego w Kurlandyi, lud łotyski przeważnie jest katolickim, obywateli dużo było Polaków, a w samym mieście znajdował się dawniej klasztor Jezuitów, po którym objęli go wraz ze szkołą księża Misyjonarze. Z raportu wizytatorskiego o tej szkole dowiadujemy się, że była czteroklasową a istniejąca przy niej szkoła parafialna stanowiła klasę wstępną. W tej ostat-



nię było uczniów 26, w powiatowej 68, a jeszcze 8 innych chłopców uczyło się po domach. Nauczało tę młodzież 7 księży Misyjonarzy, jeden nauczyciel świecki, a powtarzało lekcye z młodzieżą osób 17. Ksiądz Woliński nauczał języka polskiego. W budynku szkolnym muryowanym było 7 dużych sal klasowych. W gabinecie historii naturalnej znajdowało się owadów 193, roślin w zielniku 886 i pewna liczba minerałów. Były także narzędzia miernicze i biblioteka klasztorna do użytku szkoły służąca.

W konserwatywniej i rządzącej się oddzielnymi prawami Kurlandyi, szkoła iłukszańska zachowując swoje cztery klasy dotrwała aż dotąd.

Wielką pomoc i opiekę dla uczącej się młodzieży, zwłaszcza osieroconej i ubogiej, stanowiły od wieków tak zwane bursy czyli konwikty, w których uczniowie uczęszczający do szkół rozmaitych znajdowali mieszkanie, życie, nadzór naukowy, moralny, pieczę w chorobie a często i odzież. Akta wizytatorskie profesora Podczaszyńskiego podają następującą wiadomość o „konwiktach funduszowych w Wilnie,“ wykazującą wielką ofiarność przodków naszych na cele pomocy naukowych.

1) Konwikt Bejnartowski pod zarządem kapituły wileńskiej zostający, na liczbę uczniów nie oznaczoną posiadał trzy kamienice w Wilnie i kapitału żelaznego złp. 19886.

2) Bursę Korsakowską na 20 uczniów fundował w r. 1618 Jan Mikołaj Korsak, zapisując na jej utrzymanie majątek Jasiew, kapitał 800 kóp groszy litewskich i dom na mieszkanie dla konwiktorów. Bursą tą opiekowała się także kapituła wileńska, która utrzymywała guwernera, pomocnika, płaciła za stół, opał, światło i opranie dla uczniów (wśród których znajdowało się w r. 1826-tym sześciu Korsaków). Fundusz tego konwiktu znalazł wizytator źle administrowany.

3) Konwikt Sapieżyński u księży Pijarów na 5-ciu uczniów, fundowany był w r. 1729 przez Antoniego Kazimierza Sapiechę, który na ten cel przeznaczył kapitał 2000 talarów bitych.

4) Konwikt Sawaniewskiego u księży Bazylianów na 4-ch uczniów fundował w r. 1750 Gabryel Dominik Sawauiewski, zapisując na ten cel Bazylianom wileńskim kamienicę w Wilnie i majątek Szankossole czyli Wojczany. Oprócz tych 4-ch konwiktorów Bazylianie utrzymywali zawsze biednych pod nazwą pauperów, dając im stół, mieszkanie, dozorcę, używając do posług klasztoru i pozwalając im chodzić do gimnazjum.

5) Biskup Pilichowski w r. 1803 zapisał kamienicę w Wilnie, oraz 6450 dukatów i 5222 złp. na utrzymanie 12 sierot i opatrzenie ich we wszystkie potrzeby, a opiekę Misyjonarzom wileńskim powierzył, wybór zaś młodzieży Uniwersytetowi zostawił, tylko żeby było zawsze 6-ciu ze szlachty a 6-ciu z mieszczan.

6) Ignacy Ślepść r. 1806 zapisał 2140 dukatów na utrzymanie i edukacją 3-ch ubogich sierot i oddał pod zawiadywanie Misyjonarzów wileńskich.

7) Tymże Misyjonarzom oddał pod zarząd utrzymanie 4-ch uczniów ksiądz Ga n, na co w r. 1812 zapisał 9000 rubli sr. opartych na Burbiszkach, od której to sumy 6 % pobierano. Księża Misyjonarze wszystkie 3 powyższe fundusze razem połączyli, na których utrzymują 19 uczniów, dając im mieszkanie, stół, odzież i dozorców. Z tych starsi chodzą do gimnazjum wileńskiego a mali i poczynający do ichże szkoły parafialnej. Dołączona lista uczniów konwiktury misyjonarskiego obejmuje dwudziestu czterech wszystkich konwiktorów.

8) Michał Walicki w r. 1808 z dóbr swych Jeziory (pow. Grodzieński), zapewnił na wieczne czasy po rs. 1800 rocznie na utrzymanie 8-miu uczniów. W r. 1818 kupił dom na pomieszczenie konwiktury, zleconego pod nadzór uniwersytetu wileńskiego. Uczniowie w tym konwikcie opatrzeni są we wszystkie potrzeby, lekarstwa i pomoc doktora, a po skończeniu gimnazjum przy wyjściu z konwiktury, wspierani bywają małą kwotą na pierwsze potrzeby. Rachunki z administracji konwiktury przeglądane przez wizytatorów, najporządniej były utrzymywane. Konwikturę posiadał 339 książek elementarnych i naukowych.

9) Ksiądz Jan Wichert r. 1790 darował uniwersytetowi wileńskiemu znaczny zbiór minerałów z warunkiem, aby w konwikcie ubogiej szlachty były dwa miejsca dla Wichertów. Na skutek czego od r. 1820 Izba skarbową wileńską co rok wydaje na utrzymanie dwóch Wichertów rs. 320.

10) Jakób Szymkiewicz w r. 1818 zapisał 1500 dukatów na utrzymanie i edukacją trzech uczniów ubogich, z których jeden ma być ze szlachty, drugi z klasy rzemieślniczej a trzeci z włościan. W r. 1826 z funduszu tego korzystało dwóch Szymkiewiczów, krewnych zmarłego fundatora i włościanin Tankiel ze wsi dawniej do niego należący.

11) Ksiądz Jundziłł, profesor emeryt Uniw. wileń. w r. 1824 oddał księżom Pijarom sto tysięcy złp. na utrzymanie i edukacją dwóch uczniów, z których każdy po ukończeniu 6-ciu leciech otrzyma złp. 2000.

12) Ksiądz Jan Piłsucki dwoma zapisami z r. 1784 i 1790 przeznaczył sumę, która z zaległymi procentami wynosiła 5489 dukatów na utrzymanie 20 ubogiej szlachty przy szkole w Krozach. Z procentów opłacano także korepetytorów i dozorcę, a reszta zostawała w kasie na nieprzewidziane potrzeby.

13) Zacharyasz Niemczewski prof. Uniw. wil. w r. 1820 zapisał rubli sr. 5349 na utrzymanie 4-ch uczniów przy szkole w Krozach.

14) Przy tychże szkołach w r. 1826 otwarty został konwikt na 3-ch uczniów z zapisu K o n t r y m a.

Nie były zaś w egzekucyi fundusze Ancuty w Wilnie na dwóch uczniów i Radziwiłowicza w Krożach także na dwóch uczniów.

Wizytator w opinii swojej o konwiktach zwraca uwagę na nieochędnostwo postrzegać się w nich dające. „Co się tycze pościeli — powiada — należałoby przepisać zamiast łózek tapczany, zamiast piernatów i poduszek puchowych sienniki i poduszki skórzane z włosiem, zamiast kołder watowanych, które pospolicie długo służąc przejęte są transpiracją, a nie mogą być przez mycie oczyszczanemi, przepisać kołdry flanelowe a nawet dla oszczędności z prostej białej lub sukna prześcieradłami pokryte. Zabronione powinno być także chowanie w łózkach lub pod łózkami brudnej bielizny.“

Wiele dobrego pisze Podczaszyński o żeńskiej pensyi państwa Łabowskich w Wilnie. Zakład ten wyższy kwalifikował się na szkołę guwernantek, posiadał mieszkanie obszerne, zdrowe, wygodne. Wzorowy porządek i czystość zachowane były nawet w najdrobniejszych sprzętach panien, których mistrzyni w całym obejściu się z nimi nie ostrą surowością, ale cierpliwym i roztropnym postępowaniem umiała łagodzić umysły i do ślepego sobie posłuszeństwa i uległości zniewolić. (Mówiąc nawiasem, był to system pedagogiczny, za pomocą którego utrzymujące w Wilnie słynną w swoim czasie pensyą panny Wizytki, do świetnych rezultatów dochodziły w formowaniu charakteru wielu pokoleń niewiast litewskich). Państwa Łabowskich wizytator przedstawił Rządowi Uniwersytetu do soleńnej pochwały, zapisując także wysokie uznanie dla samego Łabowskiego, który gruntowną nauką i doświadczeniem już 31 lat wychowaniu panien wraz ze swoją żoną poświęca się i 17 ubogich panienek zupełnie na swoim koszcie pomimo szczupłego własnego majątku utrzymuje. W wykładzie religii i stylu polskiego znalazł Podczaszyński pewne niedostatki, w arytmetyce i geografii postępy wyborne, w rysunkach ciała ludzkiego słabe i brak zapału do nauki języka niemieckiego w porównaniu z francuzkim, co bardzo gani wizytator.

Na oddzielnym arkuszu w aktach wizytatorskich znajdujemy ogólną statystykę szkół gimnazyalnych i powiatowych w ówczesnej gub. Wileńskiej. Z cyfr tutaj zestawionych widzimy, iż w szkołach wyższych, (nie włączając parafialnych) znajdowało się uczących młodzieży 2953, a w tej liczbie katolików 2828, ewangelików 91, grecko-wschodniego obrządku 33, włościan 266, cudzoziemców 24; chorowało w ciągu ostatniego roku 306, umarło 8 <sup>1)</sup>.

Ponieważ we wszystkich prawie szkołach, utrzymywanych przez zgromadzenia duchowne, znajdowali się i nauczyciele świeccy, w ogóle mało płatni, wizytator przeto w uwagach swoich radzi postanowić, ażeby przyjmowano na nauczycieli tylko tych ludzi, których zwierzchność

<sup>1)</sup> Wo wszystkich szkołach wyższych i parafialnych na całej Litwie i Rusi było uczących się 19,485.



uniwersytetu wileńskiego uzna za odpowiednich lub sama wybierze z pomiędzy uczniów uniwersytetu lub lepszych nauczycieli. Ażeby tak kwalifikowani nauczyciele nie mogli być wydalani bez wiedzy i zezwolenia rządu uniwersytetu, a w razie przenoszenia ich do szkół etatowych, żeby zaliczone im były lata służby w szkołach przez duchowieństwo utrzymywanych, i żeby nosili mundury w czasie pełnienia obowiązków. Zaleca także prosić OO. Prowincyałów, aby obok młodzieży, wysyłanej do uniwersytetu dla douczenia się na profesorów, wysyłali także i samych nauczycieli świeckich, którzy odznaczają się zdolnością i zamiłowaniem zawodu przy niedostatecznym wykształceniu.

Dla dozorców domowych zaleca wprowadzenie najlepszych dzienników, używanych przez p. Suchodolskiego, dyrektora szkół w obwodzie Białostockim lub p. Kowalewskiego w Międzyborzu. Dla uczniów doradza ogólne wprowadzenie mundurów, które były już wprowadzone używane, ale dowolnie i np. w szkole Traskuńskiej prawie nie noszone zupełnie. Dla dostarczenia nauczycielom wygodnych mieszkań, projektuje w Krożach przebudować zamienioną na składy starą bursę, a w Kownie całe kolegium. Szkoła podobiska księży Bazyljanów doświadczała wielkiej niewygody z powodu postoju wojska w szczupłym miasteczku.

Wizytator projektował także, aby klasy wstępne przy wszystkich szkołach powiatowych i gimnazyalnych przemienione zostały na szkółki parafialne, pod kierunkiem téjże zwierzchności szkolnej zostające. Uważał także za niestosowne, aby prowincyałowie zakonni zapisywali swoje wizyty do ksiąg wizytatorskich w szkołach, utrzymywanych przez ich zakony, ale oddanych pod zwierzchnictwo uniwersytetu wileńskiego. Wreszcie przedstawił rządowi uniwersetu do udzielenia dziękczynnych pism: zasłużonego pijara Bruszewicza, dozorcę szkoły Rosieńskiej, ks. bernardyna Olszewskiego, nauczyciela języka polskiego w Datnowie, tudzież karmelitów: Jacuńskiego, nauczyciela matematyki w Chwałojniach i Wysockiego.

Gdy Podczaszyński wyjeżdżał wizytować szkoły gimnazyalne i powiatowe żmudzkie, rektor uniwersytetu reskryptem z d. 3 maja 1826 r. polecił mu zwiedzić także szkółki parafialne w zachodniej części gub. Wileńskiej, a że szkółki te miały także swoich „honorowych dozorców“ czyli opiekunów w każdym powiecie z grona obywateli wybieranych, więc do reskryptu powyższego dołączono z kilku lat ostatnich ich raporta o tych szkółkach a mianowicie: z powiatu Witkomierskiego raport p. Sicsickiego, z Rosieńskiego raporta pp. Chlewińskiego i Białozora, z Telszewskiego p. Gadona i wiadomość o szkółkach w pow. Kowieńskim, podaną przez dozorcę szkoły kowieńskiej. Wszystkie te papiery zachowane w aktach wizytatorskich, pozwalają nam podać tu niektóre szczegóły o szkółkach elementarnych głębokiej Żmujdzi i Litwy.

Raport za r. 1823 wymienia w pow. Witkomierskim 7 szkółek parafialnych, a mianowicie: w Oniksztach, Dusiatkach, Kupiszkach,

Wizunach, Wiszyntach, Hanuszyszkach i Abelach. Z tych pierwsze dwie były trzyklasowe, trzecia miała dwie klasy a cztery ostatnie nie miały żadnych oddziałów. We wszystkich razem uczyło się dzieci 126, w téj liczbie ze stanu włościańskiego 90, ze szlachty 23 i z mieszczan 13, a w ogóle chłopców 117 i dziewcząt 9. W szkółkach tych uczono czytać, pisać, rachować, katechizmu, początków gramatyki polskiej i łacińskiej. Nauczycielami i dozorcami szkótek byli prawie wszędzie miejscowi plebani, z których odznaczał się ksiądz Staniewicz, proboszcz w Dusiatach.

Dozorca honorowy szkół powiatu Wiłkomierskiego, zamożny i światły obywatel Feliks Siesicki, podał uniwersytetowi pod d. 12 marca 1824 r. dość obszerny projekt urządzenia szkótek parafialnych i raport zarazem. Skarży się w nim na Długoborskiego, nauczyciela w Oniksztach, który nie nauczywszy dzieci dobrze czytać po polsku, mozoli ich pijarską gramatyką łacińską. Mówi o nowo otwartéj szkółce w Kałwelach, która nie ma jeszcze własnego budynku, więc nauczyciel z dziećmi prznosi się co tydzień do innego gospodarza. Siesicki gorąco popiera metodę „wzajemnego nauczania“ w szkółkach ludowych, o której mówi że pierwój tu nieznaną „ale dla nas litwinów więcéj jest potrzebną niż gdiendziej,“ charakter bowiem włościan litewskich nieśmiały a ponury i krnąbrny, przy tego rodzaju metodzie, zapala się w dzieciach szlachetną emulacją, w żywych i częstych obrotach, ożywia, pozbywa ponurości; uczeń, odbywając z kolei funkcją monitora, ośmiela się, nabiera karności wojskowej i łatwo się wyucza, prawie nie wiedząc sam o tém.

Uniwersytet zakładał szkółki ludowe także we włościach swoich własnych. Do szkótek tych chodzili chłopcy i dziewczęta. Siesicki nawiedzał szkółki, egzaminował dzieci, znalazłszy w Sypelach nauczanie tylko w języku litewskim, polecił uczyć obowiązkowo po polsku, zaś także i po litewsku te dzieci, których rodzice będą sobie tego życzyli. Komunikuje wreszcie Uniwersytetowi obszerny swój projekt reformy i urządzenia szkół ludowych, w którym oświadcza się za przymusowem uczeniem dzieci wiejskich. Nauka przymusowa każdego dziecka powinna trwać przez lat dwa, gdy chłopiec skończy lat 10 a dziewczyna 8. Pierwszoletnich radzi uczyć tylko czytania i pisania na piasku i tablicy. Oświadcza się stanowczo za wykluczeniem gramatyki łacińskiej z zakresu nauk elementarnych, natomiast kładzie nacisk na arytmetykę, przemawia za taniością książek dla ludu, radzi więc Uniwersytetowi przedrukować tablice Lankastra w mały format odpowiedni podziałowi szkółki na 2 części (pierwszoroczni i drugoletni). Powiada, że z wielkim pożytkiem zaprowadził w szkółkach książkę „Jan ze Świsłoczy.“ Życzy z wielu względów moralnych, praktycznych i fizycznych zakładać przy szkółkach ogrody, w których same dzieci pod okiem swego dyrektora pielęgnowałyby szczepy owocowe i warzywo, a zwłaszcza chmiel i małe rozpowszechnione wówczas kartofle. W dni dżdżyste chłopcy powinni robić z drzewa małe pługi,

sochy, grabie, brony, wozy i wszelkie używane w rolnictwie sprzęty i narzędzia, a dziewczęta pod okiem pani dyrektorowej powinny uczyć się szycia koszul, robienia pończoch, cyrowania i t. p. Ogród szkoły wiejskiej powinien przynieść dochód na zasilenie potrzeb szkoły i skromnego utrzymania nauczyciela, który powinien być koniecznie żonatym. Siesickiemu chodzi przedewszystkiēm o zaszczepienie w młodzieży wiejskiej zamiłowania do zawodu rolniczego i poszanowania stanu kmiecego, powiada bowiem, że dotąd umiejętność pisania tylko odrywała na zawsze synów włościan od roli. Nauczywszy się pisać porzucali rodziców, wieś i ziemię, bawili się w panów, pogardzając pracą rolniczą. I to było powodem, dla którego wielu dziedziców musiało się wstrzymać od zakładania szkółek wiejskich, a włościanie od posyłania dzieci na naukę. Znacny obywatel, podawszy wiele zdrowych i praktycznych myśli i wniosków tak zakończy swoje pismo: „Doświadczenie, wsparte obszerną nauką pedagogiki szanownych mężów, składających rząd cesarskiego wileńskiego uniwersytetu, poda zapewne jeszcze więcej trafniejszych sposobów do osiągnięcia tego celu. Co do mnie, chociaż jestem przekonany o niedostateczności uwag, które przedstawiam, z obowiązku winien jestem je przełożyć i szczęśliwym będę, jeżeli choć jedna uznanie, a wszystkie przez wzgląd na czyistość zamiaru, łaskawe pobłażanie zyskać potrafią.“

Powiat Rosieński, stanowiący serce Żmujdzi i część jej najludniejszą a zarazem najwięcej kościołów i parafii posiadającą, miał w latach 1822—1826 (z których posiadamy raporta dozorców honorowych), przeszło 40 szkółek parafialnych, w których uczyło się około 700 dzieci wiejskich wyznania katolickiego i 152 ewangelickiego. Szkółki te przy kościołach, pod opieką plebanów zostające, miały także po większej części swoich nauczycieli, a najliczniejsze były w Szytelach, Retowie, Wielonie, Czekiszkach, Betygole i Datnowie. Szkoła ewangelicka w Taurogach, także pod opieką dozorczy honorowego zostająca liczyła 31 uczniów. Na pensyi żeńskiej, utrzymywanej przez państwa Kamińskich w Rosieniach, uczyło się panien 6. Jako dozorczy honorowi wszystkich zakładów naukowych w pow. Rosieńskim podpisani są na raportach wyżej wzmiankowani obywatele: Chlewiński i Józef Białożor.

Przeglądającemu papiery i raporta wizytatorskie Podczaszyńskiego, powiat Telszowski robi prawdziwie miłą niespodziankę. Wyobraź sobie czytelniku północno-zachodni kąt Żmujdzi o smutne piaszczyste brzegi Bałtyku i granicę kurlandzką oparty. Sądziś oczywiście, że to kraj na pół dziki i zacofany, do którego promienie oświaty nie przedarły jeszcze gęstwiny dziewiczych borów. Ale jakież twoje zdumienie, gdy spojrzysz na spory wolumen zatytułowany: Rok 1826. Zakłady naukowe w powiecie Telszewskim. A otworzywszy rękopis przekonasz się, że zakładów tych t. j. szkół gimnazjalnych, powiatowych i parafialnych znajdowało się w pow. Telszewskim 21, do których uczęszczało dzieci 1760. Szkółka np. w mia-



steczku Worniach, zostająca pod zawiadywaniem kapituły Żmudzkiej, miała uczących się 142, a w miasteczku Siadach 114. Popęd do oświaty tak wśród włościan jak zaściankowej szlachty był w ogóle na Żmudzi większym niż gdzieindziej.

Ciekawym jest raport Włodzimierza Gado na, byłego marszałka szlachty powiatu Telszewskiego, a wówczas dozorca honorowego szkół w tymże powiecie. Marszałek podczas wizytowania szkół, wiele doświadczył trudności z powodu ciągłych rewizji na trzech liniach kordonowych celnych, które zajmując paralelnie mil kilka rozciągnięte były ponad granicą pruską. Ubolewa także, że lud wiejski tylko w czasie Wielkiego postu posyła regularnie dziatwę do szkótek parafialnych, ale za to z uczuciem chluby mówi o swoim powiecie, w którym jest aż 1760 uczących się, co stanowi prawie jedną szóstą część ogólnej liczby 19,485 uczniów, zostających roku 1825 we wszystkich zakładach naukowych pod zawiadywaniem Uniwersytetu Wileńskiego na Litwie i Rusi. (Cyfrę ostatnią zacytował Gadon z mowy rektora Pelikana mianej w d. 30 czerwca 1825 r.). W raporcie swoim równie jak Siesicki, podaje rządowi uniwersytetu projekta i uwagi pedagogiczne w kwestyi urządzenia szkótek parafialnych, co dowodzi, że oświata ludu leżała marszałkowi telszewskiemu na sercu. O młodzieży szkolnej powiatu Telszewskiego, powiada, że „zachowuje ona karność, dobry porządek, uległość ustawom i jest najlepszego ducha,“ w czem wiele mają na to wpływu duchowni dozorca szkół pojedynczych. Wielkie w tym względzie miał zasługi, spiesząc z usilną zachętą i pomocą książę Józef Giedrońc biskup żmudzki, tudzież zakony Bernardynów i Dominikanów, które same żyjąc z kwesty, najliczniejsze szkoły, własnym kosztem i staraniem, bez pomocy i funduszów edukacyjnych a pod nadzorem wileńskiego uniwersytetu utrzymywały.

Mniej pocieszający obraz przedstawia się w pow. Kowieńskim, w którym podług raportu Stanisława Dobrowolskiego, dozorca szkół powiatowej kowieńskiej, z d. 14 czerwca 1825 r., istniało pod kontrolą uniwersytetu szkótek parafialnych 6, a w nich było uczących się chłopców 77 i dziewcząt 50, razem 127.

# SPRAWA BUŁGARSKA.

(Od 18 września do 26 grudnia 1885 r.) \*).

PRZEZ

*Eugeniusza Lipnickiego.*

## III. Wojna bułgarsko-serbska.

Że pokrewieństwo szczepowe, rzecz bardzo ważna dla lingwistów i antropologów, na politykę praktyczną nie wywiera żadnego, albo chyba tylko ujemny wpływ, o tém świadczy silna nienawiść pomiędzy serbami i bułgarami, która w końcu wybuchła w wojnie „bratobójczej.“ Właściwie nowe to stwierdzenie wypowiedzianej właśnie co zasady było zbyteczne, bo dzieje Europy są nieprzerwanym szeregiem wojen „bratobójczych.“ Krwawe walki toczyły się pomiędzy francuzami, włochami i hiszpanami, — narodami szczepu romańskiego, jako téż pomiędzy anghkami, niemcami, szwedami, duńczykami. Ponieważ zaś pokrewieństwo narodów romańskich tudzież germańskich jest tak pod względem historycznym, jako téż pod względem oświaty, piśmiennictwa, obyczajów i t. d. daleko bliższe, aniżeli pomiędzy narodami pochodzenia słowiańskiego, przeto jako słowianie nie mamy żadnego powodu wstydić się zbytecznie najnowszéj wojny bratobójczej, nad którą tak czule deklamowali fantaści tego gatunku, co luwcński profesor Laveleye.

Sprowadzając rzecz na poziom realny i nie wspominając ani nawet o tém, że od czasu osiedlenia się słowian na półwyspie Bałkańskim aż do zajęcia go przez osmanów, trwała tam nieustająca wojna pomiędzy bułgarami, serbami, hercegowińcami i t. d. — istne bellum omnium contra omnes, — zaznaczymy po prostu, że od chwili powsta-

\*) Dokończenie — patrz zeszyt za m. luty r. b.

nia nowego księstwa bułgarskiego, ciągłe zatargi z Serbią stały na porządku dziennym. Jakkolwiek bułgarzy swe oswobodzenie w znacznej części zawdzięczają serbom, którzy w r. 1876 pierwsi odważyli się wystąpić sami do boju z Turcyą, zamiast wdzięczności, Serbia od swych sąsiadów odbierała ciągłe dowody nieprzyjaźni. Z początku usiłowano ją wciągnąć w plany awanturnicze. W sierpniu r. 1880 p. Karawelow zawarł układ, właściwie spisek z p. Risticzem, zakrawającym również na warchoła, choć się już nieco ustatkował. Na mocy tego układu, Bułgaria miała zabrać Rumelię, Serbia (artykuł 7) Bośnię! Zamierzano więc równocześnie wyzwać do walki i Turcyą i Austryą! Wtedy władcy wdali się w sprawę. Książę Aleksander 6 października pojechał do Białogrodu i zbliżył się do króla Milana. Ten zaś, wskutek groźnej noty rządu wiedeńskiego, odesłał p. Risticza do wielce zasłużonego spoczynku, a 1 listopada zamianował nowe ministeryum, którego prezesem został p. Piroczanacz, ministrem spraw wewnętrznych Garaszanin, ministrem spraw zagranicznych Mijatowicz, teraźniejszy poseł serbski w Londynie. Potém król pojechał do Wiednia, aby osobiście przywieść do skutku zbliżenie się Serbii do Austrii.

Gdy tym sposobem awanturnicze zamysły pp. Karawelowa i Risticza rozbiły się o ostrożność władców, wypadało zmienić taktykę. Trzeba było tym władcom stawić kategoryczną alternatywę „ou se soumettre, ou se demettre.“ Wiemy już, że p. Karawelow nie wahał się grozić księciu Aleksandrowi złożeniem z tronu i wiemy, że książę Aleksander poddał się, może nawet bardzo chętnie, zwłaszcza, gdy dzięki zabiegom brata swego miał sobie zapewnioną opiekę Anglii. Dodajmy zaraz, że ludzie, jak Karawelow, w danej chwili i w odpowiednich okolicznościach, mogą się stać dla swego narodu wielce pożytecznymi. Jeżeli teraz bułgarzy dostąpią zjednoczenia, będą to zawdzięczać śmiałej inicjatywie Karawelowa. Wprawdzie, gdyby W. Porta dnia 19 września była posłała swe wojska do Rumelii, gdyby król Milan był pod Śliwnicą zwyciężył i t. d. — bułgarzy byłiby drógo odpokutowali rzutkość Karawelowa. Pomyślny skutek awanturę zamienia w wielki czyn polityczny.

Serbia jednak znajdowała się w odmiennem położeniu. Najprzód nie jest wcale rzeczą pewną, aby w Serajewie tak łatwo było dokonać przewrotu à la Płowdiw. Rządy austriackie w Bośni i Hercegowinie są wzorowe a nadto przeważna część mieszkańców tych prowincyj składa się z katolików i mahometan, nie pragnących wcale złączenia z Serbią. Gdyby jednak w Bośni wydarzył się przewrót, rząd wiedeński, nie czekając na pozwolenie niczyje i nie rozsyłając żadnych depesz i okólników, stojące tam załogi wzmocniłyby w odpowiedni sposób. Gdyby wreszcie w Białogrodzie p. Risticz lub tym podobny mąż stanu chciał odegrać tę samą rolę, co Karawelow, to według wszelkiego prawdopodobieństwa w trzy dni po obwołaniu „unii serbskiej“ Białogród byłby zajęty przez korpus wojsk austriackich. Dawniej w wojskowych kołach wiedeńskich obliczano, że na zajęcie Biało-



grodu będzie potrzeba dwóch korpusów, ale po przebiegu ostatniej wojny można przypuszczać, że wystarczy jeden.

Dla tego król Milan nie mógł się poddać awanturnikom, lecz musiał im się stanowczo oprzeć, i to nie z powodów osobistych, nie z jakiejś sentymentalnej przyjaźni dla Austrii, nie przez jakąś zemstę za doznaną z innej strony zniewagę, lecz po prostu w interesie swego kraju. Awanturnicy nie chcieli tego zrozumieć i dla tego od 4 lat prowadzą namiętną walkę przeciwko królowi, pamfletami, spiskami, zamachami, wreszcie powstaniem (w listopadzie r. 1883). W tych wszystkich ruchach miał udział p. Karawelow z swym tajnym komitetem. Nad granicą bułgarską zbierali się powstańcy serbscy, rozproszeni przez wojsko serbskie chronili się do Bułgarii. W kawiarniach Zofii przywódca radykałów serbskich, Pasicz, pisał odezwy rewolucyjne i przygotowywał nowe zaburzenia w Serbii. Wreszcie w czerwcu r. 1884 bandy radykałów serbskich, wzmocnione Bułgarami, wtargnęły przez rzekę graniczną Timok do Serbii; wprawdzie zostały odparte, ale Bułgarzy usadowili się w granicznej wioszczynie Bregowie, twierdząc, że należy do Bułgarii, przez co Karawelow dowiódł, że obok celów „idealnych“ nie zapomina też o zapewnieniu sobie choć drobnych korzyści dotykalnych. Utile dulci!

W skutek owego zajścia dyplomatyczne stosunki pomiędzy Białogrodem a Zofią zostały zerwane. W roku bieżącym spór coraz więcej się zaostrzył. W mowie od tronu, dnia 19 kwietnia, król Milan oświadczał, że rozwiązanie sporu z Bułgarią nie zależy niestety od niego i jego rządu. Skupczyzna dnia 23 kwietnia w adresie zaznaczyła ten zatarg, wyrażając nadzieję, że rząd i na przyszłość będzie bronił honoru Serbii. Lada chwilę mogła wybuchnąć wojna „bratobójcza.“ Później poseł serbski w Londynie, Mijatowicz, odpowiadając na nedorzeczone piśmiǳo Gladstona, dnia 29 paźǳ. w dziennikach londyńskich ogłosił list otwarty, w którym czytamy: „Bułgaria nie była nigdy uczciwym sąsiadem Serbii. Stosunki w ostatnich dwóch latach tak się pogorszyły, że prawdopodobnie i bez obwołania unii bułgarskiej wojsko serbskie w tej chwili zajmowałoby pozycyą nad granicą bułgarską.“

W takich to okolicznościach nadeszła do Białogrodu wieść o dokonanym w Płowdiwie przewrocie i obwołaniu unii bułgarskiej! Sąsiad i tak już niewygodny i drażniący miał nagle powiększyć się o milion ludności! Łatwo pojąć, że wypadki płowdiwskie wywarły w stolicy serbskiej ogromne wrażenie. Wszystkie dzienniki natychmiast występują z teorią, że unia bułgarska nie powinna przyjść do skutku bez odpowiednich kompensat dla Serbii. Pórzrzedowe „Videlo“ oświadcza, że skoro Turcyja układa się z Bułgarią a pod naciskiem Europy niezawodnie się ułoży, uznając fakt spełniony, to nie istnieje żaden zgoda powód, dla któregoby nie miała ułożyć się i z Serbią, aby jej oddać to, co jest serbskiego w Macedonii. „Musimy się liczyć z przyszłością! Bułgaria będzie dla nas zbyt silną, jeśli się sami w si-

ły nie wzmożemy.“ Organ Risticza „Ustawność,“ przewrót płowdiwski nazywa „awanturczym dziełem problematycznych osobistości, które w celach samolubnych wyzyskały niedoświadczenie kół rządowych, wyraża nadzieję, że Austria i Rosya przywrócą status quo ante i wywa wszystkich synów ojczyzny bez względu na przekonania polityczne, aby stanęli pod sztandarem narodowym, na którym wypisane jest hasło przywrócenia naruszonej przez unię bułgarską równowagi narodowej. Organ stronnictwa radykalnego „Nowy beogradski dziennik“ powiada: „Jeżeli Bułgarzy nie biorą względu na sąsiadów, lecz przywłaszczają sobie cudzą własność, Serbia zapomni o pokrewieństwie szczepowóm i w razie potrzeby z bronią w ręku wystąpi w obronie swych praw i interesów.“ Słowem, prasa serbska wszystkich odcieni jednomyślnie domagała się — kompensat. Niepewność zachodziła tylko, gdzie ich szukać? Jedni pragnęli aneksyi tak zwanéj Staréj Serbii, gdzie się znajduje sławne Kossowe pole; ale byli i tacy, co według wzoru bułgarskiego zamysłali o zabranii Bośni, jakoż dnia 22 września studenci zamierzali urządzić demonstracyą w tym duchu, której jednak rząd zapobiegł. Później dopiero z tych sprzecznych dążności wyłoniła się teoria, że Bułgarya, aby otrzymać Rumelią, powinna Serbią wynagrodzić odstąpieniem zaludnionego przez Serbów (i Rumuńczyków) okręgu widdyńskiego.

Król Milan z żoną i królewiczem Aleksandrem bawił od początku września u wód w Gleichenbergu w Styrii południowéj. Dnia 20 września przybył do Wiednia, gdzie miał długie rozmowy z królem greckim, z hr. Kalnokim, ambasadorami angielskim Pagetem i rosyjskim księciem Łobanowem. Z cesarzem Franciszkiem Józefem, który dopiero dnia 22 z Węgier przyjechał do Wiednia, król serbski nie widział się wtedy. Dnia 22 września król Milan przybył do Białogrodu, witany na dworcu okrzykami: Naprzód Serbia! — Tegoż dnia wydał rozkaz uruchomienia wojska i zwołał parlament na 1 października. Dnia 25 rezydent austriacko węgierski, br. Khevenhüller, wyjechał do Wiednia, gdzie, jak wspomnieliśmy powyżej, cesarzowi wręczył pamiętnik, dowodzący, iż wojna stanie się nieuniknioną, jeżeli status quo ante w Rumelii nie będzie spiesźnie przywrócony.

Wzburzenie w Serbii stawało się powszechniejszém i groźniejszém w miarę, jak poznawano, że zebranie ambasadorów w Carogrodzie nie wyda żadnych praktycznych owoców. Wszystkie stronnictwa unię bułgarską bez odpowiedniego powiększenia Serbii uznawały jako niemożliwą. I tak dnia 28 września p. Risticz korespondentowi „Neue Freie Presse“ oświadczył: „Awantura bułgarska tém boleśniej zaskoczyła kraj nasz, ponieważ właśnie miał dokonać przemiany z patryarchalnego na konstytucyjne państwo w rzeczywistém znaczeniu wyrazu. Zmiana ta została wstrzymana, skoro Serbia zmuszona teraz wystąpić w obronie swych interesów. Jestem przekonany, że Bułgarzy działali na własną rękę. Jako dzieci szczęścia, którym bez przelewu kropli własnej krwi dostało się w udziale to wszystko, o co naród serbski

walczył przez lat 70, najważniejsze rzeczy traktują lekko, a jeżeli się im uda terażniejsza awantura, natenczas nie nie zdoła powściągnąć zapędów ich bujnej wyobraźni. Ostateczne połączenie Rumelii z Bułgarią musiałoby niechybnie pociągnąć za sobą akcyą Serbii. Jako kompensaty domagamy się „starój Serbii.“ Gdyby się Bułgaria więcej jeszcze rozszerzyła, będziemy żądać północnej Macedonii. Jak w Europie, tak też na półwyspie bałkańskim powinna istnieć pewna równowaga. To oznacza uruchomienie wojska serbskiego. W tej sprawie ustaje wszelka różnica stronnictw. To też skupczyzna niezawodnie jednomyślnie przystanie na wszystkie wnioski rządu.“ Niemal w tych samych słowach przemawiał w obec tegoż korespondenta były minister Piroczanacz, jeden z najwybitniejszych naczelników stronnictwa postępowego, t. j. rządowego. Urzędownie zaś stanowisko to minister spraw zagranicznych p. Garaszanin zaznaczył już w depeszy z 22 września, w której stawiał alternatywę: albo przywrócenie status quo ante, albo kompensaty dla Serbii.

Dnia 30 września król Milan wyjeżdża do Niszu na otwarcie skupczyzny. Na dworcu w Białogrodzie pewien radca miejski żegna go szumną przemową i życzeniem, aby król, twórca nowego królestwa serbskiego, wskrzesił także dawne carstwo Duszana W-go! Król uśmiecha się, nie odpowiadając nic. Tak samo na dworcu w Niszu król Milan przyjmowany z zapalem. Dnia 2 paźdz. otwiera nadzwyczajną sesyą skupczyzny mową: „Traktat berliński, mający zabezpieczyć porządek na półwyspie bałkańskim, został pogwałcony. Równowaga interesów pojedynczych państw na półwyspie bałkańskim zachwiana. Ów zamach naraża na szwank wszystkie okupione wielkimi ofiarami rękojmie samoistnego bytu Serbii. Uczciwie spełniłmy ciężkie obowiązki, jakie traktat na nas nałożył. Mniemaliśmy, że w równej mierze obowiązuje wszystkie narody półwyspu. Jako król i stróż państwowej idei serbskiej muszę uczynić wszystko ku zabezpieczeniu interesów kraju. Pragnąłem was zebrać około siebie i ostrzedz, że musimy mieć się na baczności. Ponieważ potrzebny nam pokój, staramy się usilnie, aby albo status quo ante był utrzymany, albo równowaga przywrócona.“ Stosownie do wniosków rządu skupczyzna jednomyślnie przyjęła projekt zaciągnięcia pożyczki 25 milionów franków (u wiedeńskiego Laenderbanku i comptoir d'Escompt) i wprowadzenia monopolu tabacznego (jako zastaw dla pożyczki). Zważywszy te jednomyślne uchwały skupczyzny, odpowiednie wywoły całej prasy serbskiej, oświadczenia różnych mężów stanu serbskich, demonstracye uliczne i t. d., trzeba przypuszczać, że w tej kwestyi cały naród serbski stał na tém samym stanowisku, co król Milan, i że zatem w tym razie nie może być mowy o jakiejś dynastycznej polityce w przeciwstawieniu do rzekomo odmiennych dążeń narodu.

Kiedy w Niszu zapadły owe ważne postanowienia, zebranie dyplomatów w Carogrodzie (5 paźdz.) uchwaliło deklaracyą, wzywającą obie strony, Turcyą i Bułgarią, do wstrzymania się od rozlewu krwi!



W dwa dni później W. Porta w nowym okólniku wzywa mocarstwa do załatwienia sporu. Na to potrzeba było tylko, aby wielkie mocarstwa były wysłały wspólne ultimatum do Zofii. P. Karawelow byłby się poddał, albo ustąpił. Jednakże wielkie mocarstwa nie mogły się zgodzić na krok stanowczy. Trzy sprzymierzone rządy cesarskie wprawdzie nieustannie podnosiły potrzebę przywrócenia status quo ante, ale nie chciały uczynić żadnego kroku, choćby tylko dyplomatycznego, aby ten program urzeczywistnić. Natomiast Francya i Anglia wyraźnie opierały się prostemu przywróceniu dawniejszego stanu rzeczy i wygłaszały potrzebę uszanowania woli ludu.

Tymczasem stosunki pomiędzy Zofią a Białogrodem stawały się coraz drażliwszemi. Dnia 8 paźdź. Garaszanin oświadcza korespondentowi dziennika „Matin:“ „Jeżeli unia bułgarska stanie się faktem, Serbia w 48 godzin wyruszy w pole.“ Dnia 10 paźdź. radykalny dziennik zagrzebski „Stoboda,“ organ osławionego warchoła Starcewicza, ogłasza rozmowę swego korespondenta z Karawelowem, który rzekł: „Serbia znajduje się w stanie delirium.“ Równocześnie anarchiści serbscy zbierają się pod opieką rządu bułgarskiego w powiecie widdyńskim, aby ztamtąd wtargnąć do Serbii. Nieco później znany agitator angielski Evans w osławionej „Pall Mall Gazette,“ której wydawca J.W. Stead obecnie przesiaduje w więzieniu za zbyt realistyczne przygotowania materiału do znanych artykułów o „haraczu dziewic w Londynie“ ogłasza nikiemny pamflet o królu Milanie, a Karawelow w liście do redakcyi publicznie składa podziękowanie za ten cyniczny napad na króla serbskiego!

W tych dniach (2 listop.) poseł serbski przy dworze wiedeńskim p. Bogiczewicz, w rozmowie z korespondentem „Narodnich listow“ wypowiedział następujące zdanie godne uwagi: „Serbia nie dopuściła się żadnego naruszenia traktatów, aczkolwiek wkroczenie do ogołoconej z wojsk tureckich Macedonii było bardzo łatwe. Do uruchomienia wojska nie zostaliśmy zachęcani przez rząd wiedeński, który jednak nie odradzał nam tego. Gdyby status quo ante nie był przywrócony, okaże się, czy nasze nadzieje, pokładane w Austryi będą spełnione, bo gdyby obrady konferencyi stambulskiej okazały się bezskutecznymi, będziemy mieli wolne ręce. Ufamy w Austryą, przyjazne oświadczenia delegacyi węgierskiej wywołają w Serbii najprzyjemniejsze wrażenie... Zaraz po dokonanym w Płowdiwie przewrocie, Rosya zyczła sobie unii bułgarskiej, Austrya kompensaty i na tej podstawie porozumienie się mogło przyjść łatwo do skutku. Ale rząd niemiecki, jako „uczciwy mekler“ oświadczył: ani unii, ani kompensaty.“ Na uwagę korespondenta, że w „świecie słowiańskim“ (?) wytyka się Serbii brak poczucia słowiańskiego, p. Bogiczewicz odpowiedział: „Na takie pytanie nie mogę odpowiedzieć jako dyplomata, lecz tylko jako prosty członek narodu mego. Otóż każdy Serb wam powie, że jesteśmy wprawdzie szczerymi Słowianami, ale na pierwszym miejscu kładziemy swą narodowość, i nie myślimy jęj poświęcić uczuciom

szczepowym, czego od nas żądają; poczucie narodowe jest silniejsze od każdego innego i musi być uwzględnione przez tych, co kierują losami narodów."

Dnia 29 paźdź. rozpoczęły się w Carogrodzie narady konferencyi. Na posiedzeniu 12 listopada delegat otomański postawił wniosek, aby W. Porta spólnie z mocarstwami wezwała księcia Aleksandra do cofnięcia wojsk swych z Rumelii, poczem komisarz sułtana uda się do Płowdiwa. Posłowie angielski i francuzki żądali, aby owe wezwanie było wysłane do księcia Aleksandra tylko w imieniu W. Porty. Nadto poseł angielski, White, proponował wysłanie Komisji międzynarodowej celem zbadania skarg i życzeń Rumeliotów. Przez to samo cel konferencyi, o ile ona miała przywrócić status quo ante, okazał się chybionym, a skoro depeze o tém doszły do rządu serbskiego, ten nie mógł na czas nieokreślony utrzymać wojska na stopie wojennej i uchwilił rozpocząć wojnę.

Nie będziemy się rozwodzić nad znaną i traktowaną szeroko w każdym dziele o prawie międzynarodowem zasadą, że nie zawsze strona rozpoczynająca kroki wojenne, jest rzeczywiście stroną zaczepną. Często polityka zaczepna sąsiada zmusza nas w obronie własnej rozpocząć walkę. I tak np. Napoleon III w r. 1870 polityką pruską od r. 1864, wreszcie podstępami agitacyjami pruskimi w Hiszpanii, był zmuszony celem obrony uprawnionych interesów Francji rozpocząć wojnę. Podobnie zamach płowdiwski, zagrażający Serbii największymi niebezpieczeństwami na przyszłość, zmuszał rząd serbski chwycić za broń. Pozornie król Milan wystąpił w roli zaczepnej; w rzeczywistości stroną zaczepną był rząd bułgarski. O tém po wyjaśnieniu stosunków bułgarsko-serbskich od r. 1881 nie można wątpić.

W piątek 13 listopada rezydent grecki w Zofii, p. Rangabe, w imieniu rządu serbskiego wręczył księciu Aleksandrowi deklarację wojny. W nocy na sobotę wojska serbskie przekroczyły granicę bułgarską. Równocześnie król Milan ogłosił odezwę do narodu. Król oświadczał, iż w skutek złamania traktatów przez Bułgaryą tudzież jej wyzywającego postępowania, musiał dobyć oręża; Serbia w obec naruszenia równowagi żywiołów narodowych na półwyspie, nie może zachować się obojętnie, zwłaszcza jeżeli to wychodzi na wyłączną korzyść państwa, które okazywało się dla Serbii zawsze złym sąsiadem. Dalej odezwa wyliczała krzywdy celne, których Serbia doznawała od rządu bułgarskiego, nieprawne zajęcie Bregowy, jawne podleganie skazanych przez sądy serbskie zdrajców kraju do przedsięwzięć zgubnych dla Serbii. „Wszystko to znosiłiśmy cierpliwie powodowani chęcią złożenia dowodów wytrwałej cierpliwości, jak przystoi państwu, które wolność swą okupiła krwią własną, sympatją Europy wzrosło na siłach i w każdej fazie swojego rozwoju szanowało cudze prawa, jak swoje własne. Rozmyślnie wszelako znieważanie obywateli serbskich przez Bułgarów, zamknięcie granicy, nagromadzenie przeciwko niój wyuzdanych i z praw karności wojennych urągających band ochotniczych,

a wreszcie zbrojne napady na spokojną ludność pograniczną, wszystko to stanowi szereg przewrotnych prowokacyi, których, jako obrońca najżywniejszych interesów kraju i godności ludu, dłużej ścierpieć nie mogłem. Oto są powody, dla których otwartą wojnę, wywołaną przez rząd bułgarski, przenosimy nad hańbiący pokój. Wydano przeto rozkaz do dzielnej i wiernej armii serbskiej, aby wkroczyła do Bułgarii. Stuszna sprawa narodu serbskiego zawisła teraz na ostrzu miecza, na waleczności armii i pomocy Wszechmocnego. Ogłaszając to drogiemu swemu ludowi, w chwili poważnej i ciężkiej liczę na jego miłość ojczyzny i poświęcenie dla świętej sprawy Serbii!“

Dnia 14-go listopada książę Aleksander wydał następujący rozkaz dzienny: „Oficerowie, podoficerowie, żołnierze! Król serbski wypowiedział nam wojnę. Rozkazał wojsku swemu najść naszą ziemię. Nasi bracia Serbowie, zamiast nam pomóc, chcą zniszczyć (?) naszą ojczyznę. Żołnierze, okażcie waszą odwagę! Brońcie waszych matek, żon i ognisk domowych, ścigajcie wroga, który nas napada nikczemnie i zdradziecko, a ż go zniszczycie do szczętu. Bracia naprzód! Niech nam Bóg dopomoże i nam da zwycięstwo!“

Ten rozkaz dzienny rozpoczyna szereg równie szumnych proklamacyj i depesz, które wprawdzie zostały ex post poniekąd usprawiedliwione powrotem wojska bułgarskiego, ale ze strony księcia Aleksandra zdradzają pewne przymioty teatralne i deklamatorskie. Zagrzewał on żołnierzy do obrony ognisk domowych i niewiast, i przypisywał Serbom zamiar zniszczenia Bułgarii! Nikt tymczasem ani w Białogrodzie, ani w Niszu, ani też w armii serbskiej nie myślał o podpalaniu domów lub wyrządzeniu krzywd kobietom. Przesada, jakiej się dopuścił książę Aleksander, mniéjby razita w obec najścia Hunnów lub Baszyboszuków, ale była wręcz niesmaczną w obec „braci serbskich“<sup>1)</sup>. W każdym razie ks. Aleksander był zdecydowanym walczyć mężnie, stawać na czele i zwyciężyć i dla tego nikt mu dziś nie zarzuci fanfaronady. Tymczasem rząd bułgarski nie umiał zachować równie śmiałej i dzielnej postawy, co książę. Pau Zankow, minister spraw zagranicznych, wysyła natychmiast okólnik do wielkich mocarstw, błagając o opiekę. „Zapobiegając rozlewowi krwi w Rumelii, zabezpieczywszy pokój i prawa jednostek, dotrzyaliśmy obietnicy, danéj rządowi zwierzchniczemu i wielkim mocarstwom. Teraz rząd książęcy widzi nagle niebezpieczeństwo, grożące ze strony sąsiedniego, udzielnego państwa, którego wojsko wkroczyło do ziemi książęcej, nie zakomunikowawszy nam za pośrednictwem W. Porty, jedynego kompetentnego kanału w tak ważnej sprawie, ultimatum, od-

1) To też nawet książę Mikołaj czarnogórski, pozujący na przyszłego protektora federacyi bałkańskiej a nadto teść księcia Karageorgiewicza, rywała króla Milana, oburzył się z powodu odezwy księcia Aleksandra, zwołał swych „wojwodów“ i oświadczył uroczyście, że nigdy nie zezwoli na zniszczenie narodu serbskiego.



powiadającego przyjętym formom... Europa i Turcja, tak troskliwa (1) o utrzymanie integralności swych granic, pozwalają na ich naruszenie przez państwo udzielne“ i t. d.

P. Zankow atoli nie tylko udawał się do wielkich mocarstw, lecz do tego samego rządu tureckiego, któremu przed miesiącem odebrano całą prowincją, szturmując błagalnymi depepszami. Dnia 14-go telegrafuje do Carogrodu: „W obec czynu niestychanej napaści, jakiej dopuścił się rząd serbski z pogardą prawa międzynarodowego (?), w obec klęsk wojny, którą Serbia sama rozpoczęła i której skutków dozna na sobie, rząd książęcy sądzi, że jeżeli integralność państwa otomańskiego została dotknięta i naruszona, nie stało się to przez interwencyą Bułgarii w Rumelii, gdyż oba te kraje stanowią część państwa otomańskiego, lecz przez tę niecną napaść państwa udzielnego, którego jedynym celem jest powiększyć się kosztem sąsiadów. Rząd książęcy oświadcza, iż odwołuje się do sprawiedliwych uczuć wielkich mocarstw, do których należy ostatnie słowo w tej kwestyi.“ W Carogrodzie jednak nie spieszą z odpowiedzią. P. Zankow więc 16-go lutego, wysyła drugą depezę: „Korzystając z okoliczności, że Bułgaria jako kraj lenny nie ma prawa wypowiedzieć wojny a zatem też nie rozporządzała żadnymi środkami do zaczepki (?), najeźdźcy zbliżyli się już do wrót Zofii. Książę, odjeżdżając dziś na spotkanie nieprzyjaciela, rozkazał mi, udać się do W. Ekscelencyi z prośbą o odpowiedź na depezę, które przesłał Sułtanowi i W. Wezyrowi. Wysyłając niniejszą wprost do W. Ekscelencyi, proszę o odpowiedź, bo podług artykułu I-go traktatu berlińskiego, rząd książęcy nie może traktować bezpośrednio z nieprzyjacielem.“ W końcu 18-go nadchodzi z Carogrodu odpowiedź, że wojnę serbsko-bułgarską zawinił sam ks. Aleksander; że wypowiedzenie wojny przez Serbią było konsekwencyą zamachu unionistycznego; i że książę przedewszystkiém powinien wojsko swe ściągnąć do Bułgarii (z Rumelii), po czém W. Porta zastanowi się, co dalej uczynić. Nazajutrz p. Zankow wysyła nową depezę i otrzymuje tę samą odpowiedź z Carogrodu. Wreszcie tegoż dnia — był to pierwszy dzień bitew pod Sliwnicą — książę Aleksander telegrafuje sułtanowi, że cofnął swe wojska z Rumelii (w pośpiechu zabrał ze sobą milicyą rumelijską), tudzież zapytywał, co teraz W. Porta zamierza uczynić, celem ocalenia Bułgarii przed napaścią serbską? W Carogrodzie depezę tę uważano jako formalne poddanie się księcia Aleksandra i odpowiednie zdania odzywały się też na konferencyi. Miało się jednak stwierdzić i w tym razie przysłowie włoskie: „Passato il pericolo, gubbato il santo,“ — gdy minie niebezpieczeństwo, święty, do którego się modlono w trwodze, bywa wyśmiany!

Rzadko kiedy wojna, trwająca nie pełna 2 tygodnie, tak była obfitą w niespodzianki dramatyczne, jak ostatnia „wojna bratobójcza“ na półwyspie bałkańskim (14 do 27-go listopada). W sobotę 14-go o 1-szej godzinie z rana równocześnie armia Niszawy i armia Timoku przekroczyły granicę bułgarską. Armia Niszawy, u której znajdował

się król Milan, tegoż dnia zajęła Carybrod i Tyrn. Następnego dnia w południe rozpoczął się bój o wąwóz Dragomanu, z którego w nocy Bułgarzy cofnęli się. Wtedy to p. Zanow telegrafował do Carogrodu, że nieprzyjaciel stoi przed bramami Zofii, jakoż powszechnie przypuszczano, że po zdobyciu Dragomanu wojsko serbskie nie napotka już na opór poważny. Dnia 17-go środkowa dywizya armii Niszawy rozpoczyna atak na obwarowane pozycye Sliwnicy; dwie drugie dywizye zdobywają na skrzydłach Bresnik i Izwor. Książę Aleksander poprzedniego dnia przybył do obozu w Sliwnicy. Pierwszy atak wojska serbskiego odparty. Dnia 18-go walka ponowiona, książę Aleksander wysyła wymienioną już depeszę do sułtana, z Zofii wywożą archiwa rządowe, tymczasem przybywają nowe pułki z Bułgaryi i Rumelii. Dnia 19-go wojsko serbskie z rana rozpoczyna atak, ale zostaje odparte. Główna kwatera króla Milana z Carybrodu wraca do Pirotu (w Serbii).

Później (16-go grudnia) król Milan przed korespondentem „Wiener Allgemeine Zeitung“ w następujący sposób spowiadał się: „Popełniliśmy kilka grubych błędów. Właściwie ja sam je popełniłem i w obec dziejów biorę za nie na siebie odpowiedzialność. Największym błędem było, że wyruszyliśmy w pole o niedostatecznych siłach. Gdybyśmy od samego początku byli użyli wszystkich sił naszych, byłibyśmy sobie oszczędzili kłeski. Błąd ten wynikł z fałszywego przypuszczenia, że będziemy mieli do walczenia jedynie z wojskiem bułgarskiem. Któż mógł przewidzieć, że przeciwnik użyje cudzych wojsk? Milicya rumelijska przecież stanowi część wojska tureckiego. Czyż można było przewidzieć, że W. Porta pozwoli części swego wojska stanąć pod obcą komendą? Jest to taką nowością pod względem prawa międzynarodowego, że nie mogliśmy tego przewidzieć (?). Skoro drugiego dnia walki pod Sliwnicą (18-go listop.), widziałem, że nie zdobędziemy obozu nieprzyjacielskiego, powinienem był się cofnąć, aby przywrócić równowagę sił wojskowych. Tymczasem, podjęty dnia 19-go o niedostatecznych siłach atak sprowadził potem ciągłe potyczki w odwrocie, które dezorganizowały wojska nasze”... Natomiast pewien dyplomata bułgarski tak tłómaczył zwycięstwo Bułgarów: „Serbowie nas nie znali, a więc lekceważyli. U nich Bułgar był zawsze tylko skrzętnym ogrodnikiem, umiejącym tylko chodować i sprzedawać kapustę; nie chcieli zrozumieć, że u nas oświata w ostatnich latach wielce się rozszerzyła, co musiało oddziaływać także na polu bitwy. Ta duma Serbów była jedną z przyczyn ich porażki.“ Dodajmy jeszcze, według półurzędowej wiedeńskiej „Politische Correspondenz“, że w szeregach bułgarskich i rumelijskich walczyło mnóstwo byłych oficerów i podoficerów wojsk tureckich, którzy w tych prowincjach osiedli jako rolnicy, ale po oddaleniu się oficerów rosyjskich zostali wezwani do służby. Ci doświadczeni w rzemiośle wojenném byli oficerowie tureccy podobno najwięcej przyczynili się do natchnienia drużyn bułgarskich niespodziewanym duchem wojannym. Wreszcie książę Aleksander w krwawych bitwach pod Sliwnicą złożył dowody niepospoli-

tego meztwa, niejako tradycyjnego w jego rodzinie, której tylu członków poległo na polach bitwy!

Dnia 20-go wojsko serbskie cofnęło się do Dragomanu. Tam król Milan powstrzymał zapęd zwyciężkiej armii bułgarskiej aż do 22 i tym sposobem umożliwił odwrót dwom dywizjom, które po obu bokach środkowej armii były zaszyty daleko naprzód w kierunku Zofii. Dnia 23 bitwa pod Carybrodem i dalszy odwrót wojska serbskiego. Dnia 24 listopada rezydenci wielkich mocarstw w Białogrodzie: Persiani rosyjski, Bray niemiecki, hr. Khevenhüller austriacko-węgierski, Windham angielski, Millet włoski i de la Tour francuzki wysyłają do bawiącego w Niszu Garaszana depezę tej treści: „Podpisani mają zaszczyt oznajmić W. Ekscelencyi, że rząd petersburski proponował wielkim mocarstwom (oczywiście przed zwycięstwem Bułgarów) porozumieć się celem powstrzymania co do spólnego kroku dalszego rozlewu krwi pomiędzy Serbami a Bułgarami. Rządy zgodziły się, aby spełnić ten obowiązek ludzkości“ i t. d. Garaszanin natychmiast odpowiada, że król Milan stosownie do życzeń wielkich mocarstw, wydał rozkaz, aby zaniechano dalszej walki. Na odpowiednie doniesienie serbskiego szefa sztabu, gen. Popowicza, dowódzca bułgarski Nikołajew 25-go odpowiada: „Nie otrzymawszy żądanych odnośnych rozkazów, nie mogę zawiesić kroków wojennych.“

Dnia 23-go o 5-tój popołudniu książe Aleksander z panem Karawelowem stanęli w Carybrodzie i — dramatycznie jak zawsze — zamieszkali w tym samym pokoju, który poprzednio był główną kwaterą króla Milana. Nazajutrz książe Aleksander odbywa przegląd swych wojsk bułgarsko-rumelijskich, liczących około 70,000 żołnierzy, gdy armia serbska liczy ich tylko około 50,000. Tegoż dnia do ojca swego, księcia Aleksandra heskiego, mieszkającego w Darmstadzie, wysłała depezę: „Stoję nad granicą serbską; obaj (młodszy brat Franciszek Józef) znajdujemy się w najlepszym zdrowiu.“ Pod pozorem, że depeze szyfrowane w czasie wojny nie są dozwolone, minister bułgarski Zanow odmawia przyjęcia przedstawień rezydentów wielkich mocarstw co do zawieszenia broni. Dnia 26-go o 1-szej w południe wojska bułgarskie przestąpiły granicę serbską, o 4-tój rozpoczęła się bitwa pod Pirotem, która trwała aż do nocy. Dnia 27-go po całodziennej bitwie Bułgarzy zdobywają Pirota. W sobotę 28-go listopada, właśnie w dwa tygodnie po rozpoczęciu wojny, rezydent austriacko-węgierski hr. Khevenhüller, przyjmowany u przednich straży bułgarskiej przez marszałka książęcego barona Riedesela, o 10-tój z rana przybywa do głównej kwatery księcia Aleksandra i po krótkiej rozmowie skłania go do zaniechania dalszych kroków wojennych.

Książę Aleksander obwieścił to światu w następującej znów bardzo efektownie stylizowanej depezy: „Ze względu na uotę zbiorową reprezentantów wielkich mocarstw tudzież na deklaracją hrabiego



Khevenhüllera <sup>1)</sup>, który w imieniu swego monarchy przybył i oświadczył, że gdybyśmy szli naprzód, wojska austriackie przyjdą w pomoc serbskim; dalej ze względu na to, że zwycięzkie zajęcie Pirotu ocala nasz honor wojskowy i zabezpiecza naszą sławę (więc gdyby ten honor nie był zapewniony, książę Aleksander nie byłby zważał ani na notę zbiorową, ani na deklaracją hrabiego Khevenhüllera!), przystałem na to, aby dać rozkaz do powstrzymania kroków wojennych i rozpoczęcia układów co do warunków zawieszenia broni.“

Warunki te układano bardzo długo, a to głównie dla tego, że książę Aleksander rościł sobie pretensye do całkowitego zwycięstwa, zapominając, że jeżeli udało mu się odeprzeć południową armią serbską do Pirotu (kilka kilometrów od granicy), to północna armia serbska stała pod Widdyniem i byłaby go zajęła, gdyby nie było nastąpiło zawieszenie broni. Przekroczywszy dnia 14-go granicę bułgarską, generał Leszjanin dnia 16-go rozproszył wojsko bułgarskie pod Adlje-Kulą, w następnych dniach, staczając zwycięzkie potyczki z oddziałami bułgarskimi zbliżał się do Widdynia, 23 rozpoczął bombardowanie, 25-go przypuścił szturm i właśnie przez nadejście depešy o zawieszeniu broni został wstrzymany od zdobycia Widdynia.

Po długich, zmuśnych układach, którym towarzyszyły ciągłe skargi to Serbów, to Bułgarów na naruszenie zawieszenia broni przez drugą stronę, wreszcie za interwencją wojskowych pełnomocników wielkich mocarstw, dnia 21 grudnia przyszedł do skutku rozejm, który ma trwać do 1 marca r. 1886. Wojska serbskie opuściły Bułgarię 25-go, wojska bułgarskie Serbię 27-go. Pas neutralny, trzy kilometry szeroki po obu stronach granicy ma oddzielać od siebie wrogich „braci.“ Obie strony mianują pełnomocników do zawarcia pokoju.

Dnia 26 grudnia książę Aleksander odprawił wjazd tryumfalny do Zofii, obsypywany okrzykami, kwiatami i tysiącami biletów wizi-

<sup>1)</sup> Hrabia Khevenhüller już dawniej odegrał rolę w sprawach bułgarskich. Zanim został przeniesiony do Białogrodu, był on austriacko-węgierskim rezydentem w Zofii. Wówczas, w r. 1880 na porządku dziennym stała sprawa komisji mieszanej dla ujść Dunaju. Minister bułgarski spraw zagranicznych Zankow pod słowem honoru przyrzekł rezydentowi austriacko-węgierskiemu, że będzie stanowczo popierał w Komisji dla ujść Dunaju propozycje austriacko-węgierskie, tak zwany „Avant-projet.“ Równocześnie jednak rządowi rumuńskiemu, który się głównie opierał owym propozycjom wiedeńskim, obiecał stanowczo popierać stanowisko rumuńskie. Istotnie delegat bułgarski w Komisji p. Zankow, synowiec ministra, głosował w Galaczu konsekwentnie z delegatem rumuńskim. Hr. Khevenhüller udał się wprost do księcia i odsłonił mu postępek nieuczciwy i niehonorowy p. Zankowa. Książę Aleksander natychmiast (30 grudnia 1880 r.) przesłał p. Zankowowi dymisy a równocześnie w liście do prezesa gabinetu Karawelowa, ogłoszonym w urzędowym dzienniku, wyłuszczył powody tej—odprawy.

towych, nadesłanych przez czułe panie i panny z—Anglii. Najzabawniejszą rolę przy tryumfalnym wjeździe księcia odgrywali generał turecki Szakir basza oraz „Komisarz“ sultański Madszyd basza. Na wymienioną powyżej depezę księcia Aleksandra z 18-go listopada (zwaną w Carogrodzie „depêche de soumission du prince de Bulgarie“) wielki wezyr Kjamil dnia 21 listopada odpowiedział, że W. Porta nie pozwoli na uszczuplenie Bułgarii, że trzeba przywrócić status quo ante i że w tym celu będzie wysłany komisarz turecki do Płowdiwa. Odniośszy tymczasem zwycięztwo pod Sliwnicą, książę Aleksander odpowiada, że rząd turecki powinien był zapobiedz inwazji serbskiej i że wysłanie komisarza tureckiego do Płowdiwa przed zupełnym wyparciem Serbów z Bułgarii „mogłoby zakłócić porządek i spokój w Rumelii,“ sądzi przeto, że W. Porta „zechce raczej odłożyć tę sprawę aż do zawarcia pokoju pomiędzy Serbią a Bułgaryą.“ Odpowiednią notę wysyła p. Zanów do Carogrodu. Wprawdzie dnia 30 listopada effendowie Lebib i Gadban, jako kwatermistrzowie komisarza otomańskiego, wyjechali do Płowdiwa, ale tam naturalnie wszystkie drzwi znaleźli przed sobą zamknięte. Konferencya carogrodzka już 28 listopada rozeszła się bez oznaczenia przyszłego posiedzenia, a wystąnczy tureccy, którzy nibyto mają interweniować przy zawarciu pokoju, będąc obecni przy tryumfalnym wjeździe księcia Aleksandra do Zofii, niezawodnie odnieśli tylko to wrażenie, że sprawa w Rumelii dla nich — przegrana. *Gabbato il santo!*

Czy na tém koniec? Czy rząd wiedeński przystanie teraz na zjednoczenie Bułgarów bez wynagrodzenia Serbii? W takim razie z dnia na dzień mogą się wywiązać najpoważniejsze zawikłania, już nie ze strony Bułgarii, lecz w Białogrodzie. Tam od 6 lat rządzi stronnictwo, przyjazne Austrii. Jeden z przywódców tego stronnictwa, minister Garaszanin, mąż stanu niepospolitej inteligencji, niedawno temu w następujący sposób rozwodził się nad sytuacją:

„Od czasu oswobodzenia Serbii ścigał ją los przykry. Przez pół wieku byliśmy uważani za przednią straż Rosyi na półwyspie bałkańskim. Od czasu traktatu berlińskiego widzą w nas znów przednią straż Austrii. W rzeczywistości nie byliśmy nigdy niczyją przednią strażą, lecz narodem, dążącym do rozwoju samoistnego swego bytu. Spełniliśmy uczciwie obowiązki, jakie na nas nałożył traktat berliński (ugoda handlowa z Austryą, wybudowanie kolei żelaznych). Spełniając obowiązki nasze nie stoimy do Austrii w stosunku lenniczym; ale także monarchia austryacka nie czyni dla nas niczego z miłości. Przyjazny stosunek nasz opiera się na obopólnych interesach politycznych i ekonomicznych. Przeciwnie Bułgaria nigdy nie będzie państwem zupełnie samodzielném... Że Austriya nie myśli o wynarodowieniu, o tém świadczy najlepiej stan rzeczy w Bośni. Rząd wiedeński wystrzega się tam wszystkiego, coby zakrawało na ucisk narodowości, serbskiej. Pod rządem austryackim Serbowie pozostaną Serbami

przeciwnie Bułgaria gorączkowym sposobem powiatom serbskim narzuca charakter bułgarski. Następnie minister serbski wyłuszczył systematyczną nieprzyjaźń, okazywaną Serbii przez rząd bułgarski, wypowiedział zdanie, że dyplomacya angielska rozdmuchała spór bułgarski, aby odwrócić uwagę od spraw afgańskich i oświadczył, że może kongres, do któregooby byli przypuszczeni reprezentanci państw półwyspu bałkańskiego, zdołałby załatwić kwestyą w sposób zadawalający.

Dwa pierwiastki, dodał, walczące ze sobą o przewagę na półwyspie bałkańskim, zmuszają swych reprezentantów do walki na zabój: pierwiastek zaboru i federacyi. Drugi reprezentuje Austrya. Nie może być rzeczą wątpliwą, który w końcu zwycięży. Zabór, sprawozdający za sobą gwałtowną asymiliacyą narodów i krajów podbi-tych, tam tylko jest poniekąd uprawnionym, gdzie się dokonywa w imię wyższej oświaty. Dla pierwiastku zaborczego otwiera się więc państwow europejskim szerokie pole w Azji. Na półwyspie bałkańskim jest tylko miejsce dla federacyi, która szanując indywidualność każdego narodu, zespala je ku spólnej obronie i pracy około oświaty i postępu. Austrya może doznać nie raz porażki w walce, ale jako reprezentant zdrowej idei federacyi w końcu zwycięży, bo reprezentuje wzajemną asekuracyą państw i narodów małych przeciwko wielkim... Cała Europa w końcu będzie musiała stanąć po stronie pierwiastku federacyjnego.

Nieco później (16 grudnia) tenże minister Garaszanin oświadczył pewnemu korespondentowi: „Niechaj nikt nie przypuszcza, aby Serbii można narzucić pokój hańbiący. Co do mnie, ustąpię z urzędu, skoro kwestya obecna będzie załatwiona. Ale ktokolwiek obejmie po mnie rząd, będzie zmuszony w głównej rzeczy działać według tych samych zasad, co ja. Mogą one chwilowo być przyćmione; ale w stanowczej chwili zawsze zwycięzko wystąpią na wierzch. Trwały porządek na półwyspie bałkańskim jest niemożliwy bez pewnego pierwszeństwa Serbii, opartej o Europę. Nasz kraj jest do tego powołany nie tylko przez swą przeszłość i swój wyższy stan oświaty, lecz przede-wszystkiem przez swe położenie geograficzne. Serbia dla Europy tworzy jedyny pomost do Wschodu. Z tym faktem Europa musi się liczyć. Chwilowo wypadki mogą Serbią odwrócić od jęj misyi, ale rychlej czy później w porozumieniu z Europą uzyskamy pierwszorzędne stanowisko na półwyspie bałkańskim. Mamy tylko jednego naturalnego przeciwnika, który nie chce ścierpieć na półwyspie samodzielnej Serbii, a potrzebuje poddanego sobie państwa bułgarskiego. Ztąd wywiązują się wszelkie spory na półwyspie, ztąd też powstała wojna serbsko-bułgarska. Nasze interesa są równoległe z interesami Austrii, ale dla tego też wszelki antagonizm pomiędzy Austryą a jęj sąsiadami oddziaływa stanowczo na nasze położenie.“

Tak mówią naczelnicy stronnictwa przyjaznego Austrii, tak sądzi inteligencya serbska, obeznana dokładniej z dziejami i z obecnymi



stosunkami międzynarodowemi. Dopóki się w Białogrodzie to stronnictwo utrzyma u steru rządu, stosunki serbsko-austriackie pozostaną przyjaznemi.

Ale obok stoi drugie, wręcz nieprzyjazne Austrii stronnictwo. Składa się ono po części z ludzi o gorącej wyobraźni, którzy nie liczą się z rzeczywistą potęgą monarchii austriacko-węgierskiej, marzą tylko o tém, aby jęj odebrać najprzód Bośnię i Hercegowinę, potem banat serbsko-węgierski, a w dalszej konsekwencji ile możności także Chorwacyą i Dalmacyą i tym sposobem utworzyć wielkie „carstwo serbskie.“ Ludzie tego kierunku nedorzecznym deklamacyom takich warchołów, jak bracia Starcewiczowie, znani z swych skandalicznych występów w sejmie zagrzebskim, przypisują większą doniosłość, aniżeli milionowej armii i tysiącletnim dziejom Austrii. Naturalnie każdy wrogi Austrii wpływ zagraniczny łatwo znajduje przystęp do tych fanatyków wielko-serbskich. Głównie zaś agitują pomiędzy nimi emigranci austriacko-węgierscy, przepełnieni namiętną nienawiścią do monarchii habsburskiej. W obec nieoświeconych mas ludu serbskiego oczywiście największe powodzenie mieć będzie ten, kto będzie najbrudniej oczerniał a najwięcej obiecywał. To téż nie ma nedorzecznosci, przed którąby się wzdrygali białogrodzcy fanatycy, byle lud podburzyć przeciwko Austrii. I tak w Białogrodzie z ust Serbów niższych warstw słyszałem zapewnienia np. takie, że rząd serbski został zmuszony przez Austryą nałożyć podatki, które natychmiast ustaną, byle się Serbia zwróciła przeciwko Austrii. Rozumie się, że w tychże kołach wybudowanie pierwszej kolei żelaznej, nieodzowny warunek wszelkiego dalszego rozwoju na polu ekonomiczném, uważają jako dokonane jedynie w interesie Austrii, że każdy stronnik budowy drogi żelaznej bywa bez ogródki wystawiany jako przekupiony z Wiednia i t. d. Takiemi środkami dąży do władzy stronnictwo radykalne, na którego czele stoją Pasiecz i Teodorowicz. Już w sierpniu r. 1883 przy wyborach do skucepiny uzyskało ono znaczną większość, tudzież tak zwane stronnictwo liberalne (*lucus a non lucendo*), na którego czele stoi Risticz, ten sam „mąż stanu“ liberalny, co to jako minister zawsze zawieszał wszystkie swobody konstytucyjne i dopuszczał się największych gwałtów.

Dwa te stronnictwa do swych dawniejszych nedorzeczných argumentów, któremi walczyły z stronnictwem postępowém, dodadzą teraz nowy, poważniejszy: że Serbia nie może się niczego spodziewać po przyjaźni austriackiej! I rzeczywiście, jeżeli rząd wiedeński nie weźmie się nieco energiczniej do dzieła, aby pokazać, że bez jego przyzwolenia nie mogą zajść żadne ważniejsze zmiany na półwyspie bałkańskim, i jeżeli nie wystara się o odpowiednie wynagrodzenie dla Serbii, nateczas niewątpliwie w Białogrodzie opanują rząd osoby, fanatycznie nienawidzące Austryą i gotowe do najgwałtowniejszych zapędów

i wtedy pewnego dnia, a nawet bardzo wczesnie, rząd wiedeński ujrzy się zmuszonym, wysłać swe pułki do Serbii, co stałoby się hasłem do zakwieciań wielkich i bardzo groźnych.

Kończąc zatem powyższy zarys zatargu bułgarskiego na tryumfalnym wjeździe księcia Aleksandra do Zofii, musimy się przygotować na drugą, może o wiele poważniejszą fazę przesilenia na półwyspie bałkańskim, które stanie niebawem na porządku dziennym na półwyspie bałkańskim.

30 grudnia 1885 r.

# ALFRED TENNYSON.

PRZEZ

Juliana Adolfa Świącickiego \*).

W tym samym roku wydał Tennyson poemat większych rozmiarów p. t. „Maud a Monodrama.“ Jeżeli w „In Memoriam“ poeta złożył hołd przyjaźni, w „Maud“ na oktarzu miłości składa poraz pierwszy daninę swego talentu. Oba te utwory, zbliżone do siebie budową, są konglomeratami epizodów krótkich, po większej części rymowanych i rytmicznych, a stanowiących całość harmonijną, chociaż nie jednolitą. Tylko jeżeli w pierwszym z tych poematów nie ma nawet opowiadania, lecz jedynie wrażenia przelotne, z powiązaniem tak lekkim jak w sonetach Petrarcki; w drugim jest nawet coś podobnego do akcji, jakkolwiek bohater utworu sam opowiada dzieje swojego serca.

Ponieważ w chwili tworzenia poematu wybuchła wojna krymska; poeta przeto, wierny stanowisku swemu laureata, we wstępie usiłował paradoksalnie obudzić entuzjazm narodowy, rzucając pociski przeciwko zmateryalizowaniu ogólnemu, przeciw pogoni za zyskiem i namiętnościom nędznym, poziomym, które w narodach rozbudza... pokój. Dopiero po takim epizodzie bohater swoją opowieść rozpoczyna.

On był biedny, ona—bogata; spędzili z sobą wiele chwil słodkich na zabawie, będąc dziećmi, a potem drogi ich rozstrzeliły się na bardzo długo.

Maud z figlów różnych setkami—niby wesołość wcielona,  
Maud, rozkosz wioski najmiłsza, z owym buziakiem księżycu,  
Z ustami w pół otwartemi, gdy grona zbierał mój ojciec;  
Maud, matki mojej kochanie, dzieciństwa mego siostrzyca,

\*) Dokończenie—patrz zeszyt za m. luty r. b.



Gdzie jest dziś?... Mam sny złowrogie, że ona klątwą mi będzie.  
Niel... dość ma zwierzyny lepszéj... mnie pozostawi w spokoju <sup>1)</sup>.

Młodzieniec ujrzał nareszcie poczwarękę w motyla przedzierzgniętą i zapewnia, że lubo spokój jego jest zakłócony, nie przez Maud wszakże, która wydaje mu się obojętną. My jednak nie możemy wierzyć zapewnieniu z uwagi, że bohater ustawicznie wraca do analizowania urody dziewczęcia, która w pozornym chłodzie swoim jeden więcéj urok posiada:

O! ty postaci zimna, wyrzeźbiona...  
Niech cię już więcéj me oko nie spotka!...  
Po toż przybyłaś tak okrutnie słodka,  
Aby szaleństwo wrzucić mi do łona?!... <sup>2)</sup>.

Niby obojętny, a przecież tak boleśnie przyjął do serca obrazę, której doświadczył!.. Maud przechodziła z bratem, on się jéj skłonił, ona nie odpowiedziała ukłonem. Mimo pogardy, którą mu okazała, kocha ją z każdym dniem bardziej; z torturą straszną a ponętną zarazem wsłuchuje się w dźwięki jéj głosu, rozbrzmiewające często w ogrodzie zamku, w ów głos niebiański, który, wychodząc z ciała bezdusznego sprawia mu rozkosz i zgryzotę. Słuchając zdala tych koncertów sielskich, zniecierpliwiony miota się i woła:

Zamilknij, bo wzniecasz trwogę,  
Czego mi duszę drażni ten głos  
Radością, której wierzyło nie mogę,  
Nadzieją, której zaprzeczy los!...  
Zamilknij, nie chcę już słuchać dłużej,  
Twój czar na zgubną wpycha mnie drogę  
I niebezpieczny gotuje cios!...  
U nóg jéj klęcząc, na listkach róży,  
Uwielbiać będę... krew mi się burzy...  
Nie ją—bo zimna—jéj głos!... <sup>3)</sup>.

A jednak mylił się sądząc, że Maud była dumną i martwą. Nie odając ukłonu za ukłon musiała mieć chyba ważne pobudki, bo od chęci obrażenia towarzysza lat dziecinnych była daleką. Przekonany o błędzie swoim, młodzieniec nie może uwierzyć w ogrom szczęścia:

Czy to ja wczoraj Maud spotkałem,  
Kiedy ostatni raz już słońce,  
Rzucalo blaski mdłe, gasnące...  
Spojrzeniem odrętwiałem...

<sup>1)</sup> Tennyson loc. cit 332.

<sup>2)</sup> loc. cit 333.

<sup>3)</sup> loc. cit 335.

Czy to ja wczoraj Maud spotkałem?!...  
 Wszak mi ścisnęła dłoń z zapalem,  
 Tłómacząc w prostocie boskiej  
 Mniemany powód mój troski!... <sup>1)</sup>.

Alc jak tu wierzyć niewiastom, które kameleonami być umieją. Czy podobna, żeby taka Maud, z wdzięków i bogactw słynąca, mogła entuzyaście biednemu oddać serce. W jej ściśnieniu ręki, w jej uśmiechu musiała być zdrada.

Wątpienia mego nie nie zatrzo,  
 Czyż uśmiech jój prawdziwy był?...  
 O wiem!... podobna Kleopatrze,  
 Doświadcza na mnie własnych sił!...

Uśmiechem wiary mój nie wznieci,  
 Przymiła się, jak zręczny wróg,  
 Bo chce utrzymać w zradnej sieci  
 Pełzającego lwa u nóg!... <sup>2)</sup>.

Na szczęście, gdy kochamy gorąco argumentów nam nie brak na pokonanie głosu wątpienia, a nasz bohater miał i dowody. Spozstrzega np. ukochaną w kościołku wiejskim. Podniosła oczy i... szkarłat oblał jój lica, bo właśnie z jego się wzrokiem spotkała. Możnaż wątpić, że nie jest dumną?... Innym razem, jadąc konno, zdaleka przesłała mu ukłon chusteczką... Na nieszczęście jechała w towarzystwie młodych ludzi... Nic dziwnego. Maud jest piękna i bogata, musi ją otaczać rój konkurentów, a to napełnia pierś bohatera jadem zazdrości. O! gdyby na jedno mgnienie pokochać go mogła, na jedną przed skonaniem chwilę a potem...

O! niech tak długo twarde zagony  
 Nie giną z pod moich nóg;  
 Póki nie wstąpię na upragnionój  
 Rozkoszy serca próg!...  
 Mniejsza, czy będzie świat dłużej trwał,  
 Niechaj się potem co chce stanie,  
 Byłoby dzień swój miał!...

Niech się trzymają nieba filary  
 Niech krążą z nocami dnie,  
 Póki nie będę miał słodkiej wiary,  
 Że ktoś ukochał mnie...  
 Mniejsza, czy będzie świat dłużej trwał,  
 Niech się zapada potem w otchłanie,  
 Byłoby dzień swój miał!... <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> loc. cit. 336.

<sup>2)</sup> loc. cit. 336.

<sup>3)</sup> loc. cit. 339.

I upragniony dzień przybył nareszcie. Maud odpłaciła miłość wzajemnością. Natura cała bierze udział w tém szczęściu dwojga kochanków:

W ogrodzie zamku ptaki,  
Gdy konał dzionek biały,  
O! Maud, O! Maud, O! Maud!...  
Chórem śpiewały.  
Gdzież była Maud?... W ogrodzie  
A ja?... Z nią... gdzieżbym miał być?!...  
Lilije tam zrywała,  
By wianki wió!...

Śpiewają w lasku ptaki  
I płynie głos falami:  
Maud jest tu, Maud jest tu, Maud jest tu...  
Między liliami...  
Gdy niosłem do ust rączkę,  
Patrzyła wciąż miłośnicie:  
Królowej postać miała  
W szesnastój wiosni!... 1).

Ale dumny z bogactw brat bohaterki stara się nakłonić siostrę do zaślubienia lorda. Maud uprzedza kochanka, że brat wydaje ucztę wystawną, na której ona okazać się musi we wszystkich klejnotach swoich. Wszyscy tedy zachwycać się będą jęj pięknnością, prócz tego, któremu oddała serce, bo on tylko jeden w okolicy nie otrzymał na ucztę zaproszenia. Ale to go nie martwi, bo Maud przyrzekła wyjść do ogrodu pod koniec balu, żeby powitać lubego. W gorączce oczekiwania młodzieniec szepcze do siebie: „Przybywa gołąbka moja, skarb, życie moje... Róża czerwona woła: idzie już idzie... a biała jęczy: spóźnia się... Skowronek śpiewa słyszę... słyszę... a lilia powtarza: czekam. Nareszcie oddalony szelest sukni balowej odbija się echem rozkoszném w piersiach młodzieńca:

Pochłaniam kwiatów oddech świeży,  
Szmer słyhać u zamkowych wrot;  
Choćby najlżejszy miała chód,  
Serce usłyszy i uderzy...  
Proch by mój zadrżał, nieba córo,  
Choćby go wieki dzierzył grób;  
O! pod dotknięciem twoich stóp  
Drgnąłby i okrył się purpurą... 2).

1) loc. cit. 339.

2) loc. cit. 347.



Z części drugiej poematu dowiadujemy się, że brat bohaterki spotkawszy ją w ogrodzie z kochankiem, dał mu policzek i że znieważony młodzieniec położył trupem brata ukochanej. Mimowoli przychodzi na myśl Szekspirowski Romeo lub Busto z „Gwiazdy sewilskiej“ Lope de Vegil...“ Na drodze kochanków do szczęścia stanęła tedy przepaść nie do przebycia. Bohater, pod wpływem rozpaczy, wpada w melancholię, graniczącą z obłąkaniem, które pozwala poecie wypowiedzieć parę interesujących monologów:

„Śmierć... długa śmierć... a serce moje garścią prochów... koła przechodzą po głowie mojej, a kości udreżeń pełne, bo je wrzucono siłą do ciasnego dołu na jeden tylko metr pod ulicą, a kopyta końskie uderzają... uderzają w czaszkę, w mózg mój!... Nie ma końca fali nóg, przechodzących po mnie... zgiełk... tentent... krzyk... dzwony... Więc i pod ziemią źle także... a ja myślałem że umarli mają spokój... myliłem się. Nie mieć spokoju w grobie... czy to nie smutne?... W górze i na dole... tu i tam... w około mnie wszędzie umarli... słyszeć szelest umarłych, to wystarcza, żeby oszaleć... Dla czego nie pogrzebano mnie głębiej?... Mnie dano grób tak niewygodny... mnie, który nigdy nie byłem łatwy do zaśnięcia... Ja chyba jestem na pół umarły?!... Nie mogę pozostać w milczeniu zupełnym... będę wołał do tych, którzy chodzą po głowie mojej, z pewnością jakie serce dobre przyjdzie mnie pogrzebać... pogrzebać głębiej... trochę głębiej...“<sup>1)</sup>

Obłąkanie jednak nie zapuściło korzeni w mózgu młodzieńca, więc też powoli zaczął odzyskiwać świadomość siebie. Oswajac się zwolna z rzeczywistością, a miejsce dawnego wstrętu do ludzi zajęła miłość współbraci. W tém miejscu poeta znów zaznacza stanowisko swoje urzędowe, i jak na wstępie umieścił satyrę przeciw pokojowi,— tak tutaj wystąpił z apologią wojny, którą też entuzjastycznie kończy poemat.

„Maud“ jest fantasmatem, dziwadłem poetycznym, które silniejszych oddźwięków nie zostawia w sercu czytelnika, gdyż jakkolwiek wszystko jest tam subtelne, delikatne, artystyczne, ale zimne i często nienaturalne. Jestto raczej poemat psychologiczny niż dramatyczny. Ciekawi śledzimy postęp namiętności w piersiach szaleńca, ale z nią sympatyzować nie możemy, gdyż bohater to maniak *sui generis*, istota o umyśle halucynacyi pełnym, człowiek, nie mający ze światem żyjących nic wspólnego. Forma poematu prześliczna. Z dziwną barwnością słowa i muzyką rytmów nieczrównaną Tennyson wyśpiewał tę opowieść swoją, która zresztą u współrodaków nawet, stanowi liściek bardzo skromny w bogatym wieńcu sławy tego wieszca. A popularność poety już w tej dobie jego życia była ogromna, jak to widać z wielu świadectw społecznych, czy to z dedykacyi F. D. Maurice'a na poświęconém Tennysonowi dziele „Theological Essays“, czy z opisu Nathauieła Hawthorne, głośnego pisarza amerykańskiego,

<sup>1)</sup> loc. cit 350.

w którym tenże opowiada spotkanie swoje z wieszczem podczas zwiedzania wystawy w Manchester, czy z opowieści Dobell'a, czy ze sprawozdania Bayarda Taylora w jego „At Home and Abroad“ o wizycie u poety w Farringford... Z tych wszystkich relacji łatwo zrozumieć, że już przed 30 laty Tennyson był otoczony nimbem sławy i uważany za największego wówczas poetę Anglii, pomimo że w téj dobie nie wyszły jeszcze najpopularniejsze z poezyi tego pisarza... „Idylls of the King.“ (1859).

Umysł Tennysona w latach późniejszych szedł za bodźcem najpierwszych wrażeń młodości, więc téż poza pewne szranki twórczości przejść nie zdołał. Fatymy, Klarybele, Liliany, Eleonory z poematów dawniejszych są podobne bliźnięco do swych towarzyszek z „Maud,“ i „Księżniczki,“ a bohaterowie św. Gralu z Ginewrą i Arturem opiewani niegdyś w „Lady of Shalot,“ „Morte d'Arthur,“ i innych, zamartwychwstali w „Idyllach królewskich,“ oświetlonych promieniem smutku, bo uosabiających zawody życia i gorycze. „Enid“ jest podejrzeniem niesłusznym, „Vivien“ ufnością skaraną, „Elaine“ namiętnością śmiertelną „Guinevre“ wyrzutem sumienia. Przypatrzmy się bliżej tym sielankom.

W jednej z nich p. t.: „Geraint and Enid“ <sup>1)</sup> dzielny Geraint rycerz dworu Artura i księżę lenny Dewonu, zaślubił Enidę, córkę je dyną Imola

On ją kochał, kochał niby słońce  
A jak światło niebieskie się zmienia,  
W dobie świtu, żarów i półcienia,  
Gdy już gwiazdy migotają drżące...

tak Geraint lubił, żeby piękność żony jego z pomocą purpury, klejnotów i innych ozdób przedstawiała mu się w postaci coraz odmienniejszej i Enida wymaganiami jego zadość czyniła. Lecz upojony towarzyszką małżonek przestał myśleć o obowiązkach rycerza, o polowaniu, turniejach, walkach i zaczęto szydzić z jego miękkości. Enida wyrzucała sobie tę zniewieściałość męża i pewnego razu, w czasie snu jego, kończyła monolog temi słowy: „O ja nie jestem wierną małżonką.“ Geraint usłyszał tylko te słowa, bez towarzyszącego im wyjaśnienia i uwierzył w niewierność Enidy. Dysząc gniewem postanawia udać się do lasu wraz z żoną, której w milczeniu za sobą iść rozkazuje.

Śród drogi, Enida spostrzegłszy trzech bandytów czyhających na męża uprzedza go, lecz Geraint rozgniewany nieposłuszeństwem woła:

— Com ci rozkazał?.. milczeć czy radzić?.. Czy tak mi jesteś posłuszną? Patrz! przekonam cię, że nie straciłem swój siły... Po tych słowach Geraint zabija trzech bandytów, obdziera ze zbroi, objucza nie-

<sup>1)</sup> Treść do tej idylli wziął poeta żywcem z książki p. t.: „Mabinogion,“ tłómaczoną ze starych rękopisów przez Lady Charlotte Guest.

mi swe rumaki i każe Enidzie pędzić je przez las. W dalszej drodze nowe spotkanie, nowa uwaga Enidy, również źle przyjęta jak poprzednia i zwycięstwo męża, który drugie trzy konie objuczone zbroją kazał pędzić przed sobą młodej żonie. Wreszcie lekceważąc niebezpieczeństwa, Gerent otrzymał ciężką ranę i spadł z konia. Enida obwiązała ranę, lecz nie zdołała przywrócić omdlałego do przytomności. Na szczęście przejeżdża z orszakiem hrabia Doorm, a spostrzegłszy płaczącą nad martwym niewiastę, rozkazuje zanieść ich do zamku. Tu, olśniony wdziękami Enidy, hrabia chce ją zaślubić i prosi aby z nim zjadła wieczerzę, lecz ona nie do ust wiać nie chce dopóki pan jej ukochany nie powstanie. Hrabia chce ją nakłonić przynajmniej do zamiany sukni wyblakłej na świeżą i wspaniałą, lecz niewiasta odpowiada mu na to:

— W tej sukni biednej mój pan najmilszy poznał mnie i pokochał; w tej sukni jam mu towarzyszyła na dwor królowej, więc jęj nie zdejmę dopóki mąż mój nie wstanie. Przez Boga dość mam zgryzoty, więc zostaw mnie pan w spokoju. Nikogo nie kochałam nigdy prócz niego i nikogo kochać nie będę...

Rozniewany hrabia uderzył ją i wówczas Gerent, udający tylko bezwładność dla obserwacyi nad żoną, porwał się z łoża i pod jedném uderzeniem jego miecza spadła na ziemię głowa hrabiego. Poczém rycerz błaga Enidę o przebaczenie, przekonany o jęj wierności niepokalanęj.

Równa poprzednięj pod względem nieprawdopodobieństwa, ale bogatsza w efekty jest inna idyla p. t.: „Lancelot and Elaine.“ Bohaterka tęj sielanki jest ofiarą miłości. Pokochała pięknego Lancelota, nie wiedząc że rycerz oddał już serce Ginevrze. Oto jak dziewczęca otwiera duszę panu swych myśli:

— Szalona jestem.—Kocham.—Pozwól mi umrzeć..

— Czego pragniesz, siostró?..—pyta Lancelot.

— Posiadać serce, i być twą żoną woła dziewczę, wyciągając niewinnie ku rycerzowi ramiona białe.

— Gdybym był miał zamiar pojąć żonę, słodka Eleno, byłbym to zrobił już dawnięj—dziś mnie żadna kobieta nie posiędzie.

— A więc już nie chcę być twą żoną, lecz zostać przy tobie, patrzeć na lica twoje, służyć ci i w świat iść za tobą.

— A cóżby na to świat powiedział?.. twój brat, twój ojciec, których życzliwości doświadczyłem?..

— Nie być z tobą, nie patrzeć na ciebie ukochany — to śmierć!

— O! nie, szlachetna dziewico! To nie jest miłość, lecz pierwszy jęj promyk w młodości... wiem z doświadczenia. Późnięj śmiać się będziesz z siebie, gdy kwiat swojego życia powierzysz odpowiedzialniejszemu wiekiem rycerzowi. Gdyby zaś przypadkiem ten, którego wybierzesz był biedny, dam ci posiadłości obszerne aż do połowy królestwa mego za morzami, jeżeli to cię ma uszczęśliwić. Prócz tego, aż do śmierci, jak gdybys krwią moją była, we wszystkich kolejach życia bę-



dę rycerzem twoim. Oto co przez miłość dla ciebie uczynić mogę—nic więcej. Lancelot odjechał a dziewica poszła do wieży samotnej, ułożywszy piosnkę „miłości i śmierci“ i wymogłszy na ojcu przyrzeczenie, że gdy umrze, ubraną w strój najbogatszy, z listem w ręku, przygotowanym do kochanka, zanieść ją każe na dwór Artura wraz z łożem, na którym skona z miłości do Lancelota. I umarła, a ojciec spełnił jej wolę.

Bezbarwniejszą od dwu poprzednich jest idylla „Merlin and Vivien.“ Gdy bohaterce nie udawały się przedsiębrane na dworze Artura uwodzenia postanowiła doświadczyć potęgi swych wdzięków na czarowniku Merlinie. Ofiara długi stawiała opór, lecz wreszcie uwierzyła w miłość uwodzicielki, która będąc już pewną swego tryumfu, zapłaciła starcowi za łatwowierność szyderstwem.

Najpodnioślejszą treścią jest „Guinevere.“ Już tu nie mamy królowej, którą poeta w inném odtworzył miejscu jako obraz wiosny uśmiechniętej, lecz pokutnicę w klasztorze Almesbury. Słynna dawniej z wdzięków i cnoty jest dziś niewiastą pogardzoną i zniesławioną. Występna miłość do Lancelota, ujawniona przez podstępного Mordreda, zmusiła Ginewrę do porzucenia dworu Artura, tego dworu, który był kiedyś wzorem, siedliskiem prawości, mężstwa i honoru. Artur wydał wojnę Lanceletowi a królowa schroniła się do Almesbury. Rzewna jest scena, gdy królowa, której nazwiska nikt w klasztorze nie domyśla się nawet, rozmawia z młodą nowicjuszką: przytoczymy kilka wyjątków w przekładzie Pajgerta <sup>1)</sup>.

„Tak późno!“—rzecze „która też godzina?..  
 Miłoty królowa—ta spojrzy ukosem,  
 „Tak późno!“ nuci „tak późno“ pół głosem.  
 I póty nutą téj piosenki dzwoni,  
 Aż się królowa tak odezwie do niej:  
 „Jeśli doprawdy chcesz śpiewać, dziewczyno  
 Śpiewaj! a może nuta piosenki gminnej  
 Ulży mi sercu, może lzy me spłyną“  
 Więc taką piosnką zabrzmiał głos dziecinny.

Ale śpiew jeszcze bardziej zasępił królową, i dziewczyna na próżno stara się ją pocieszyć opowiadaniem o miłostkach Ginewry i Lancelota. Każde słowo wyrzeczone przez nią jest torturą dla występnej. Ginewra usiłuje usprawiedliwić winnych, ale dziewczyna z surowością dusz czystych odpiera każde usprawiedliwienie. Więc królowa jej rzecze:

O! ty zamknięta w tych murach klasztoru,  
 Cóż możesz wiedzieć o zwyczajach dworu?..

<sup>1)</sup> Przekłady z poetów obcych Lwów 1876, str. 157—179.

Co wiesz o świata światłach albo cieniach,  
 Jego radościach i jego cierpieniach?..  
 Jeśli Lancelot szlachetny i dzielny  
 Ubliżył enocie swój na chwilę jedną,  
 Módl się, by uszedł otchłani piekielnej,  
 Wiecznego ognia i płacz nad tą biedną,  
 Która go z sobą wciągnęła do zguby.

Tymczasem „Szmer po klasztorze przebiegi“ a potem okrzyk:  
 „Król!“... Ginewra...

. . . . . Jak wryta  
 Siedzi i słucha, lecz gdy zbrojna noga  
 Już po krążgankach zbliża się do proga  
 Pada na ziemię, parą białych dłoni  
 I gęstym włosom oblicze zastoni.  
 Tak twarz przed królem całą kryjąc w cieniu  
 Słyszy jak zbroją szcękające kroki  
 Stały przy niej, a potem milczenie.  
 Potem głos jakiś bezdźwięczny, głęboki  
 Jak ducha, ooby głosił sąd niebieski.  
 Jednak poznała, że to głos królewski.  
 — Także to ległaś w prochu, córko świetna  
 Zacnego ojca! Dobrze, że nie dożył  
 On do tej hańby, dobrze, żeś bezdzietna!  
 Twojém potomstwem bój co się rozaróżył  
 Ogniem i mieczem; bezprawia pożogi  
 Zdrada wasali i bezbożne wrogi  
 Hurmem płynące przez morze północne!...

Tu przypomina Artur z boleścią jak chciał świat zreformować  
 i rozpocząć epokę cnoty i bezinteresowności, w którejby kochano tylko  
 sławę i prawdę a jak występek Ginewry wszystko zniszczył, jak ona  
 z tego dworu, mającego być wzorem dla ludów, zrobiła siedlisko ze-  
 psucia. A jednak pomimo tego on jęj przebacza

Lecz jakże z wazyatkim, com kochał, się rozstań?...

Nie dotknę ust twych! nie moje ich wdzięki

Lecz Lancelota! . . . .

. . . . Nie dotknę twój ręki

I na niej złożył grzech ciała twe piętno!...

Ciału mojemu, Ginowro, tyś wstrętna!...

Jednak wiedz o tém, ja w mém życiu całym,

Innój prócz ciebie miłości nic znałem.

Z nią tak się cały zrosłem jak najściślej,  
 Że dotad jeszcze ja kochać cię muszę.  
 Niechaj nikt o mnie inaczéj nie myśli:  
 Jak, że cię kocham. I niech tak twą duszę  
 Oczyści Chrystus najmiłosierniejszy  
 By tam, gdzie kaźden czysty i bez winy,  
 Kiedy w obliczu się spotkamy Boga,  
 Tyś ku mnie z niebios poskoczyła proga  
 Bom ja twym mężem!...  
 Ty tę ostatnią zostaw mi nadzieję!...

\* \* \* \* \*

Już nie zobacze cię nigdy... Bądź zdrowa!...  
 I zdało jéj się, gdy jéj zwiśla głowa,  
 Bliżéj mu do nóg przypelza, że czuje,  
 Jak się po nad nią oddech króla snuje,  
 I że dostrzegła, wzrok w ciemności pławiąc,  
 Jak nad nią rękę wznosił błogosławiąc.

Po odjeździe króla Ginewra upokarza się w obec wszystkich zakonnic i błaga, aby jéj pozwoliły w najcichszej celi klasztoru spędzić resztę dni życia.

Do tych idylli królewskich, które w ciągu sześciu tygodni rozeszły się w dziesięciu tysiącach egzemplarzów, autor dodał jeszcze późniéj: „The Coming of Arthur“, „The Holy Grail“, „Pelleas and Ettarre“ i „The Passing of Arthur“ a wreszcie „The Last Tournament“ oraz „Gareth and Lynette.“

Nadzwyczajne powodzenie „Idylli królewskich“ przypisać należy przedewszystkiéj téj okoliczności, że Tennyson przeszczepił moralne pojęcia wieku na bohaterów tych poezyi. Artur — to ideał cywilizowanego gentlemana, którego cnoty nie pozwalają mu nawet zwrócić uwagi bacniejszej na swą żonę, w skutek czego pada téż ofiarą swéj galanteryi. Pelleas przedstawia inny charakter idealny naszych czasów, a mianowicie człowieka, który, straciwszy majątek dla niewiasty bezmyślnéj i uwierzywszy zapewnieniom przyjaciela, że otrzyma jéj względy, był kokietowany tylko przez damę a oszukiwany przez przyjaciela. Lancelot, zwolennik miłości nieprawéj a dotrzymujący ślubu jednéj kobiecie, ma także popularność a nawet sympatją nowszych czasów, zwłaszcza że w charakterze jego występki ubarwił poeta mnóstwem przymiotów. I Gerent — stara znajomość!... Któż nie zna mężów, którzy uwielbiając piękność żon swoich, radziby jednak ukryć je przed blaskiem słońca i kinkietów, a zazdrośni o wietrzyk, igrający z promieniami ich włosów, torturują siebie i związane z nimi istoty. Merlinów także nie mało!... Owych staruszków łatwowiernych a pożądanliwych, którzy zapominając o prawach natury i powadze wieku, śmiesznością okrywać się zwykli.

Bohaterki są również fotografiami XIX wieku. Ginewra, żona



niewierna, typ zwyczajny. Enida, prostoduszna wierność małżeńska, wzór, wskazywany córkom przez matki jako ideał żony; Wiwiana kokietka bezwstydna; Elena, czysta ofiara miłości bezwzajemnej, wszystkie te postacie są blizkie nam i pokrewne, ale zbyt mało mają związku z wiekiem, w którym kobieta była za mebel uważana a względy jej zdobywano handlem lub przemocą. Wszystkie te charaktery mają nie tylko te same instynkty, ale nawet pruderyą konwenencyonalną, sentymentalność i wiarę pierwszej połowy tego wieku.

Od „Legend stołu okrągłego,” od romantyzmu i sfery królów, książąt i rycerzów umiał poeta zniżać się niekiedy dość szczęśliwie ku niższym klasom i w granicach życia codziennego szukać wątku dla swjej twórczości. Spotykamy więc wśród postaci przez niego skreślonych to marynarza, to fermera, wypowiadającego na łożu śmierci we właściwym mu języku szorstkim, opinie swoje o ludziach i rzeczach („Northern Farmer” Old style). Jest to — jak trafnie charakteryzuje Montegut — jeden z tych gburów energicznych, którzy na barczystych ramionach swoich dźwigali budowę wielkości angielskiej i w którego słowach trzeba szukać klucza do zrozumienia tego społeczeństwa konserwatywnego i liberalnego zarazem. Bezwzględna niepodległość charakteru, opartego na podstawie przesądów niedorzecznych, bezwzględna wolność, umiejąca poruszać się z całą swobodą wśród uprzedzeń opinii twardych jak skała; potęga pracy niez mordowanej w przymierzu z duchem rutyny uporczywej, — oto wizerunek tej postaci oryginalnej, wydartej z życia. Jest on radykalny we wszystkiem co się odnosi wyłącznie do życia intelektualnego i moralnego, torysem — gdy chodzi o kwestye polityczne i o interesy pozytywne. Jest sceptykiem na punkcie medycyny i uważa przepisy lekarskie za mistyfikacye, których człowiek jego doświadczenia na seryo brać nie może:

— Gdzie byłaś tak długo — mówi do kobiety, która go w chorobie doglądała. — Licha z ciebie opiekuńka... zostawiłaś mnie samego, gdy właśnie był tu doktor. Mówi, że piwa pić nie powinien, ale ja nie waryat! Daj mi piwa! nie myślę zmieniać trybu życia... Ci doktorzy nic nie wiedzą i mówią tylko same fałszy... wszak wypijałem codziennie swoją miarę od lat czterdziestu!...

Był także u niego i kapłan, żeby go nakłonić do rachunku sumienia i pojednania się z Bogiem. Kapłana szanuje bardzo, ale czyż nie płacił zawsze swoich czynszów? czyż nie głosował za kościołem i państwem?... Czyż w którąkolwiek niedzielę nie był w świątyni?... Właściwie tedy nie pojmował, czegoby od niego kapłan mógł żądać. Alboż i nie pracował przez całe życie?... Kapłan miewa kazania raz na tydzień — prawda; ależ on wykarczał tyle ziemi!... Trzeba było widzieć jak ona dawniej wyglądała... nie było na niej trawki dla krów... same ciernie... a dziś najmniejszy kawałek gruntu pokryty zielonością i wzniesia podziw przechodniów. Jedną go tylko rzecz trapi, że po jego śmierci te przekłete drogi żelazne swoim wozem dyabelskim i kotłem parowym zniszczą zupełnie owoc tych trudów. Życie jest słod-

kie, ale on woli umrzeć raczej niż to widzieć... Po takięj z sobą gawędzie zniecierpliwiony woła nakoniec:

— I dokądże jeszcze będę czekał?... Mówię ci daj mi piwa, jeśli mam umrzeć i tak umrę!...

Podobnie przy kreśleniu wizerunków niewiast Tennyson zstępuje niekiedy z wyżyn idealizmu na grunt powszedniej rzeczywistości, podchwytuje naturę w jej rysach znamiennych i z realizmem szlachetnym przedstawia postacie tętniące prawdą i życiem. Co to np. za wyborny typ babki staruszczyki („The Grandmother“), której wrażliwość na smutki i radości życia tak już dalece stępieła, że nie ma łez wcale na oblanie świeżej mogiły syna pierworodnego.

„Więc mówisz, Anusiu, że umarł Wilhelm; mój pierworodny?... Ten to miał postać mężczyzny... różowo biały a silny w nogach!... I od żony jego jest pismo?... Ona nigdy nie miała tęgiej głowy... to nie była żona dla Wilhelma... ale cóż, nie chciał mnie słuchać!... Bo widzisz, Anusiu, jęj ojciec nie był człowiekiem oszczędnym, nie miał głowy do interesów i póty popijał, aż się zapił!... Ładnie?! Prawda?... O bardzo ładnie!... Ja też byłam przeciwna temu małżeństwu... tak... tak... ale nie chciał mnie słuchać... Więc mówisz, że umarł mój Wilhelmek?... Moja piękność, mój pierworodny... kwiat mój gromadki!... Żaden mężczyzna nie mógł go obalić — silny był jak skała!... „Otóż to noga ósmiodniowego dziecka“ — mówił mi doktor i przysięgał, że w owym roku nie było podobnego w dwudziestu parafiach okolicznych. Miał pięci silne... nogi mocne... a język spokojny!... Powinam była wyprzedzić go, dziwię się, że zszedł tak młodo... nie mogę płakać po nim... nie wiele mi już pozostaje... może nawet zobaczę go prędzej niż gdyby był nie umarł... boć przecie mieszkał tak daleko... Czego ty tak na mnie patrzysz, Anusiu, myślisz, że m twarda i zimna, toć wszystkie dzieci moje poszły przedemną, a jam już taka stara!... W twoim wieku płakałam bardzo. Przypominam sobie co to za kłótnią miałam z twym ojcem — ta historia nie mało mnie łez kosztowała, chciałam powiedzieć z twym dziadkiem, Anusiu!... siedemdziesiąt lat temu... mój klejnocie, siedemdziesiąt... Bo widzisz, moja kuzynka Jenny przybyła tu właśnie a ja wiedziałam, że ona kiedyś zrobiła krok fałszywy... wiedziałam, alem nie nie mówiła!... Tymczasem ona zaczęła mnie szkalować... potwarczyni... bo język to ogień, wiedz moje kochanie, język — to ogień... I proboszcz owego tygodnia wziął to sobie za tekst do kazania“...

Po czém staruszczyka, przebiegłszy na skrzydłach kojarzenia się pojęć całą historią swego życia, jak odniosła tryumf nad Jenny, jak zaślubiła Wilhelma, jak opłakiwała stratę dzieci i t. p. kończy opowiadanie temi słowy:

— Więc tedy odszedł Wilhelmek... moja piękność... mój pierworodny... mój kwiat... Jakżeby mogła płakać po nim, toć on się oddalił na godzinę, na minutę, jak gdyby przeszedł z jednego pokoju do drugiego... Wszak i ja za chwilę tam pójde. Czyż mam dość czasu

na smutek?... Więc żona Wilhelmka pisała?... Ona nigdy nie miała tęgięj głowy... Daj-no mi okulary, Bogu niech będą dzięki żem zachowała oczy... Nie wiele stracisz skoro odejdę z tego świata, lecz pozostań tutaj ze staruszką... to już nie długo potrwa"... Nie można odmówić wielkiej naturalności temu obrazkowi starości z właściwą jej gadatliwością i egoizmem, który tu poeta tak szlachetnie tłómaczyć umie.

W r. 1864 wydał Tennyson zdaniem naszym najpiękniejszy swój poemat p. t. „Enoch Arden,“ skreślony wierszem białym. Oto treść jego:

Przed stu laty, w pewnej miejscowości nadmorskiej, bawiło się zawsze troje dzieci z biednego stanu: Anusia, najpiękniejsza dziewczeczka w okolicy, Filip Ray, młynarski jedynek i Enoch Arden, syn marynarza, sierota. Jedną z ulubionych rozrywek tój trójki była gra w małżeństwo w grocie skały nadmorskiej; lecz przy tój zabawie kłócą się zawsze, bo każdy z chłopców chciał mieć grocie za dom a Anusię za żonę. Zwykle Filip bywał zwyciężony, a Anusia, płacząc z nim razem, prosiła, żeby się nie kłócili, że ona chętnie będzie żoną obydwu. Tymczasem lata upływały i gdy różana jutrzienka dzieciństwa znikła przed żarem słonecznym życia, obaj chłopcy zażądali ręki Anusi, lecz jak w dzieciństwie, tak i teraz zwyciężył Enoch. Pewnego razu, gdy Filip poszedł do lasu spostrzegł, jak młodzi siedzieli obok siebie z dłonią w dłoni. Wielkie oczy szare Enocha i jego twarz spieczona, jaśniały ogniem spokojnym a świętym „jako gromnice na ołtarzu,“ Filip pochłaniał ich wzrokiem, czytał wyrok dla siebie, a gdy spostrzegł wreszcie jak się zespoliły usta kochanków westchnął, cofnął się zrzęcznie bez szelestu i jak zwierzę zranione utonął w gęstwinie leśnej.

Enoch i Anna pobrali się, i byli szczęśliwi przez lat siedm. On pracował strasznie i oszczędzał, sposobiąc się do kształcenia swych dzieci, którym chciał dać inne, niż sam odebrał wychowanie. Ale pewnego dnia spadł z maszty i złamał nogę, właśnie w chwili, gdy przyszło na świat trzecie dziecko. W czasie bezczynności przymusowej widmo nędzy i głodu tak wgrzyzło się w jego duszę, że gdy mu właściciel okrętu zaproponował korzystne miejsce w wyprawie do Chin, przyjął natychmiast propozycją, pomimo błagań, łez i przeczuć grobowych Anny.

Nakonico rzekła: „Enochu tyś mądry,  
Lecz mimo wszelkiej mądrości, jam pewna  
Że twego nigdy nie ujrzę oblicza...“  
W ostatniej chwili pożegnania z Anną  
Rzekł Enoch: „droga, nie trwóż się i nie płacz  
Nad dziećmi czuwaj, do powrotu mego  
Dzierż wszystko w ładzie... ja odjechać muszę.  
Nie troszcz się o mnie—a strapionia wszystko



Powierzaj Bogu, co kotwicę dźierzy.  
 Czyż Go nie znajdę w najdalszego wschodu  
 Krainach?... Czyliż mógłbym aż tam przybyć  
 Gdzie Jego nie ma?... Toć on władczą morza  
 Ocean Jego... On stworzył...“

Wstał Enoch

Zbolałą żonę objął ramionami  
 I dźiatwę pełną zdumienia... całował...  
 I tylko trzecie schorowane spało,  
 Po nocy cierpień... w gorące spędzonćj.  
 Gdy Anna wstrząsnąc je chciała—rzekł Enoch:  
 „O nie budź!... Jakże pamiętaćby mogło  
 Maleństwo...“ dziecię całował w kołysce,  
 Więc Anna pukiel z główki niemowlęcia  
 Odciąwszy dała mężowi... Ten schował  
 Pamiętkę... szybko pochwycił tłomoczek  
 Sierotom rzucił „Bóg z wami“ i wyszedł!... 1).

Przeczcucia Anny zmieniły się w pewność. Lata upływały, Enoch nie wracał. Tymczasem opuszczona przychodziła powoli do nędzy. Przed wyjazdem Enoch sklep jój założył, ale do handlu nie miała Anna szczęścia i sprzedawała towary ze stratą. Zajrzała wreszcie i śmierć do sieroty, zabrawszy najmłodsze jój dziecię. Wówczas rywal Enocha Filip, który nie widział Anny od jój ślubu, rzekł sobie w duszy: teraz mogę ją przecież odwiedzić i przyjść z pomocą. Jakoż wszedł do niej w chwili, gdy wróciwszy właśnie z pogrzebu posągowi boleści była podobna.

— Anno — rzekł Filip — przyszedłem prosić cię o łaskę, pozwól mi wychowywać sieroty Enocha pod nieobecność ich ojca. Enoch pragnął, żeby dzieci jego otrzymały lepsze wykształcenie, więc gdy powróci przykro mu będzie, że najcenniejsza pora ich dzieciństwa poszła na marne. W grobie nawet nie miałyby spokoju gdyby wiedział, że dzieci jego brykają jeszcze jako żrebaki po stepie.

Posłał tedy Filip dźiatwę do szkoły i pokochał jak swoją własną. Lecz lata wciąż upływały i obraz ojca już się zacierał w sercach dzieci, a matka z każdym dniem traciła nadzieję, że zobaczy Enocha kiedykolwiek. Wówczas pewnej niedzieli, chodząc z Anną i dziećmi po lasku, w którym kiedyś, na widok pary zakochanej musiał stłumić w piersiach głos uczucia, Filip otworzył serce, zamknięte od tak dawna w przekonaniu, że gdy Enoch nie wracał, dzieci go kochały jak swego ojca, był bogaty a nie miał rodziny—Anna powinna z nim podzielić resztę dni życia.

— Byłeś dla nas aniołem opiekuńczym — odparła niewiasta — Bóg ci za to pobłogostawi i obdarzy czemś lepszym niż moja ręka.

1) Tennyson loc. cit 144.

Możnaż kochać dwa razy—czyż byłbyś tak kochany jak Enoch... czegoż więc pragniesz?...

— Żebyś mię kochała odrobinę—po Euochu...

— O Filipie mój zacy — zawołała niewiasta przerażona... poczekaj jeszcze... a gdyby Enoch powrócił?... On nie wróci. Jednak proszę zaczekaj jeszcze rok jeden—po roku może będę trochę spokojniejsza. Czekałem całe życie—odparł Filip—poczekam jeszcze.

Po roku, zaczekaj miesiąc—mówiła Anna, potem drugi, trzeci i dziesiąty, a jednak trzeba było przedsięwziąć coś stanowczego, bo języki złośliwe zaczęły źle mówić o ich stosunkach. Było plotek co nie miara. Nakoniec Anna prosiła Boga, żeby jój wskazał znak jakiś, po którym poznałby mogła czy Enoch żyje. Obyczajem starych purytanów otworzyła biblią i trafiła palcem, błędzającym wśród wierszy na te słowa: „pod palmą.“ Trudne do odgadnięcia te wyrazy sen wytłómaczył. Śniło jój się, że widzi Enocha na szczycie góry pod palmą ze słońcem na głowie. „Więc odjechał—mówiła do siebie Anna—szczęśliwy, śpiewa hosanna pod palmami nieba. Tak zapewniona zgodziła się nareszcie na związek upragniony.

Jakoż Enoch Arden był istotnie „pod palmą.“ W czasie robienia okrętu na morzu Wschodniem, dostał się na wyspę bezludną i tam pod dachem słońca ogniem piekielnym zionącego, cierpiał niewysłowione męczarnie nędzy i tęsknoty za Anusią, dziećmi, domkiem samotnym, powietrzem ziemi ojezystej!..

Nakoniec po wiekach cierpień, na horyzoncie dalekim zoczył zaśle, zwiastuny blizkiego ocalenia. Jakoż dostał się na okręt angielski i z gorączką niecierpliwości śpieszył do ogniska... Jego ognisko?... jakie... czyż on miał jeszcze ognisko?... Szuka domu, w którym żyła i kochała go Anna, gdzie przyszyły na świat jego dzieci... dom był niemy i smutny... Szuka przytułku w karczmie i tam z ust jój właścicielki, dowiaduje się o strasznej prawdzie. Wówczas owładnęła jego sercem nieprzeparta żądza widzenia raz jeszcze żony i dzieci. Wcisła się na podwórze domu Filipa, zagląda w okno i własnymi oczami chłonie złowrogą rzeczywistość. I cóż widział?..

Na prawej stronie ogniska siedzi Filip, wzgardzony kiedyś rywal, świeży i silny, trzymając dziecko na kolanach; za nim stała dziewczyna młoda, druga Anna, tylko młodsza a smuklejsza i o bujnych włosach; bawiła dziecko wstążką i pierścieniem wśród ogólnego śmiechu. Na lewej stronie Enoch spostrzegł matkę, która spoglądając często ku dziecinie rozmawiała ze stojącym obok niej synem, wysokim, silnym, uśmiechniętym... Na ten widok, Enoch zdrzął febrycznie i już chciał wołać, lecz stłumił w piersiach ten okrzyk, któryby w jednej chwili jak trąba sądu ostatecznego, zmiażdżył na wieki całe szczęście tego ogniska. Oddalił się więc milcząc i skoro był już dosyć daleko, złamany ogromem wzruszenia, utopił drżące dłoń w ziemi wilgotnej i wołał: O! to nad siły!... Dla czego mnie ztamtąd sprowadzono o stwórcę potężny i miłosierny, Ty, który mnie cudem

na dziękuję ocaliłeś wyspie, podtrzymaj mnie, ojca biednego w rozpacz... jeszcze przez chwilę, dopomóż, daj siłę, żebym jój nigdy nie wyznał, żeby się nawet domyślić nie mogła starsznej prawdy, dopomóż mi, żebym nie zatrął ich spokoju. A dzieci, czyżbym nie mógł pomówić z nimi, wszak mię nie znają... o nie! zdradziłbym się... nigdy... ani nawet pocałunku ojcowskiego. Jak ta dziewczyna podobna do matki, a ten chłopiec—to mój syn!...

I Enoch dotrzymał tajemnicy. Nieznany żył w rodzinném mieście z pracy rąk własnych. Dopiero czując śmierć blizką—gospodyni swojej wyznał fatalną tajemnicę. Namawiała go, żeby zobaczył swe dzieci przed zgonem, lecz mężnie oparł się temu. Ten pukiel włosów—mówił—należy do niej, ucięta go przy odjeździe moim dając mi na pamiątkę. Odtąd zawsze go nosił i myślałem, że go zabiorę do mogiły... Gdy już zamknę oczy, weź ten pukiel i oddaj Annie, może jój przyniesie pociechę i przekona, że właścicielem jego już martwym był Enoch.

Na trzeci dzień po tój rozmowie, gdy Enoch spał nieruchomy i błądy, morze tak się srożyło wściekle, że domy drżały w posadach. Wynędzniały męczennik rozwarł powieki, podniósł się, ramiona wyciągnął naprzód, wołając głosem silnym „Zagle, o zagle... jam ocalony!... Upadł i zamilkł na wieki...

„Enoch Arden“ miał wielkie powodzenie w kraju i zagranicą. Królowa obdarzyła poetę koroną baronowską a później tytułem lorda; najpoważniejsze zaś instytucje naukowe w Anglii mianowały muz wybrańca swym członkiem honorowym. U szczytu sławy będąc, Tennyson zapragnął i laurów dramatycznych. Jakoż w r. 1875 napisał dramat „Queen Mary“<sup>1)</sup>, a w dwa lata „Harold“ poświęcony lordowi Lyttonowi, wice-królowi Indyi. Obok tych dwu celniejszych utworów może jeszcze stanąć i „Becket“, gdyż „Sokół“ grany w r. 1879 i „Czara“ przedstawiana w r. 1881 nie mają nawet wyższej wartości literackiej. W ogóle Tennyson nie ma żadnych zdolności w tym kierunku. Oto jak August Filon charakteryzuje trafnie system dramatyczny tego pisarza<sup>2)</sup>: „Rozwija on na scenie historią jakiegoś wielkiego wypadku narodowego i namiętności indywidualnej; wikła te dwie intrygi, obwijając jedną około drugiej w taki sposób, że już ta polityka rządzi miłością, już téż miłość pociąga za sobą politykę i prowadzi je społem ku katastrofii wzajemnej. Jest to system wyborny, jeśli oba żywioły dramatu zlewają się z sobą naturalnie, lecz fatalny gdy to zespolenie jest sztuczne. „Królowa Marya“ znajduje się w pierwszym przypadku, Harold i Becket w drugim.

Czy Tennyson jest geniuszem, czy wogóle jest poetą pierwszego rzędu?. Bynajmniej. Najpierwszą cechą geniuszu jest oryginalność,

1) „Królowa Marya“, dramat, przełożył Józef z Mazowsza (w Bibliotece najcenniejszych utworów). Warszawa 1878.

2) Revue de deux mondes 1 septembre 1885 p. 96.



świeżość, potęga myśli i fantazyi, która właśnie stanowi piętę Achilleusa poety laureata. Jest on najpoprawniejszym z poetów nowożytnych pod względem formy, ale niestety anglicy sami przyznają, że „his adroitness surpasses his invention.“ Dajcie mu temat—utrzymuje Stedman—a żaden z poetów nie zdoła go wykwintniej opracować. To też tematy brał nasz poeta z kąd się dało, a co gorsza brał żywcem całe myśli, zdania, nawet ustępy z rozmaitych poetów starożytnych i nowożytnych, jak to krytycy z całą ścisłością wykazali. Trzeba widzieć własnymi oczyma żeby uwierzyć ile Tennyson zawdzięcza samemu Teokrytowi <sup>1)</sup>.

Wordsworth, Coleridge i Keats mają nieporównanie więcej szczerości poetycznej niż Tennyson, który posiada liczne ich zalety nie posiadając zapału żadnego z nich. Utwory jego przenoszą nas zwykle w krainę harmonii spokojnej, w te światy „w których robak dla tego tylko przegryza różę, żeby jęj dodać więcej wdzięku.“ Są one delikatne, filgranowe, powietrzne; półcienie zastępują tam zwykle miejsce barw a rzeczywistość jest jakby pretekstem jedynie do marzeń, ztąd też trudności w tłumaczeniu tego poety na obce języki są olbrzymie. Czemu więc zawdzięcza tę popularność olbrzymią we własnym kraju? Wyborną odpowiedź na to pytanie da nam Taine. Czy jest poeta—mówi ten pisarz—któryby lepiej niż Tennyson licował z dzisiejszém społeczeństwem angielskiem?.. Nie będąc pedantem—jest moralnym; można go czytać w rodzinie; nie buntuje się ani przeciw społeczeństwu ani przeciwko życiu; mówi o Bogu i o duszy szlachetnie, czule, bez uprzedzeń duchownych; nie ma się potrzeby przeklinać go jak Bairo-na, nie ma on słów gwałtownych i niespodzianych, uczuć nadzwyczajnych i skandalicznych; nie zgorszy nikogo. Zamykając jego książkę nikt nie doświadcza niepokoju, po rozstaniu z nim można słuchać bez przykrości poważnego głosu pana domu, który wobec domowników klęczących, wymawia modlitwę wieczorną. Nie mniej jednak opuszczając go, zatrzymujemy na ustach uśmiech rozkoszy. Podróżnik, zwolennik starożytności, upodobał sobie w naśladownictwie stylu i uczuć cudzoziemskich a dawnych. Myśliwy, wielbiciel wsi, rozkoszuje się w drobnych scenach sielskich i bogatych malowidłach krajobrazów. Niewiasty były zachwycone wizerunkami kobiet. Są one tak wyborne a czyste! Na ich licach pięknych umieścić tyle szkarlatu delikatnego i tak dokładnie odtworzył mieniący się wyraz ich oczu dumnych lub szczerych! One go kochają, czując że on je kocha. Nie dosyć na tém, on je czci a szlachetnością swoją sięga do wyżyn ich czystości. Dziewczęta płaczą słuchając go a jak delikatne jest to wzruszenie! Nie zagłębia on ciężko nogi brutaluęj w prawdzie i w namiętności, lecz tylko ślizga się po powierzchni uczuć szlachetnych i czułych, zebrawszy z natury i z historii to wszystko co było najpod-

<sup>1)</sup> Tennyson and Theocritus w dziele Victorian poets by E. Cl. Stedman London 1876, p. 201.

nieośniejsze i najmiłsze. Jego pojęcia są wybrane, jego wyrazy wyrzeźbione. Jego poezya podobna jednej z tych żardinierok złożonych i malowanych w której kwiaty narodowe i rośliny egzotyczne zlewają w harmonii uczonej swe zwoje i swe warkoczki, swe grona i kielichy, wonie i barwy. Zdaje się być ona stworzoną umyślnie dla tych mieszczuchów, bogatych, wykształconych, swobodnych, dziedziców szlachectwa starożytnego, współczesnych wodzów Anglii nowój. Jest ona częścią ich zbytku i moralności zarazem, jest stwierdzeniem wymownym ich zasad i meblem kosztownym ich salonu <sup>1)</sup>.

Oko poety zwraca się chętnie ku piękności a widocznie upodobanie w formach pięknych jest uczuciem, które utwory jego robi jednolitemi; ale z drugiej strony piękność jest u Tennysona częściej synonimem elegancyi, wytworności, a przynajmniej poeta zdaje się nie widzieć dotykanej różnicy między temi dwoma pojęciami, tak że wrażenie jakiego doświadczamy czytając jego utwory jest raczej wrażeniem wdzięku niż wielkości. Natchnienie u Tennysona nie tryska ze źródła wewnętrzznego jak u Byrona lub Shelleya, ale jest zwykle dzieckiem kaprysu. Zapału Tennyson ma nie wiele; temperament posiada limfatyczny a nadewszystko nerwowy; łatwo się niby oddaje wzruszeniu, ale zawsze jest zimny, pewien chłód salonowy cechuje wszystkie jego utwory. Nawet wtedy kiedy płacze nie wzrusza głębiej, „bo z oczu jego płyną nie łzy... lecz perły.“ Sympatyje tego poety nie mają ciepła, są tylko na wskroś literackie, płyną z mózgu raczej niż z serca, to też stoją zawsze po stronie myśli, a nie namiętności ludzkich, tak że jeśli poeta da się unieść zapałowi, co zresztą bardzo rzadko się zdarza, to z pewnością dla tryumfu intelektualnego raczej niż moralnego, jak to ma miejsce np. w Locksley Hall, gdzie w silnych strofach sławi tryumf wiedzy współczesnej. Uczucia, które odtwarza, nie są pozbawione pewnej żywotności, ale nie mają substancyi, ciała, błyszczą jak płomień czysty, który oświeca nie ogrzewając. Ze wszystkiém na świecie poeta utrzymuje stosunek pewnej serdeczności, ma uśmiech dla każdego szczęścia, a dla niedoli każdej słowo współczucia, ale serce jego nigdy się nie oddaje niczemu całkowicie.

Nie ma przedmiotu, któryby go zdołał rozplomienić, przejąc ogniem żądzy nie ugaszonej, miłości bezbrzeżnej, obudzić zachwyty i poświęcenie, lub wstręt niepokonany i grozę. Poeta nie umie patrzeć w głębie tego wulkanu który się sercem nazywa i odczuwać walk człowieka z życiem, lub z szalejącymi w jego piersiach uraganami, to też dramaty jego są bez wartości. Uczucie nie ma z nim nigdy należącego skupienia i potęgi, nie wypływa z duszy lawą ognistą, to też sfera liryki wyższej musi być dla niego niedostępną jak tego dowiodły dwie nieudatne próby, oda do pamięci i oda na cześć Wellingtona. Tennyson nie posiada syntetycznego poglądu na ludzkość i naturę, na potrzeby, cele i dążenia epoki, natomiast z wyłącznym upodobaniem

<sup>1)</sup> Histoire de la litterature anglaise t. V—460, Paris 1874, str. 356.

chwytą szczegóły i drobiazgi zatrzymując się przy nich nad miarę— to téż opowiadać—umie—ale wznieść się na wyżyny epiki nie zdołał. Tennyson nie ma zapatu Szyllera, filozofii serca Goethego, pociągającej ku sobie jak woda bezdennej; nie bluźni jak Byron, nie wierzy jak Milton, nie zna człowieka jak Szekspir, nie ma miłości bezgranicznej Mickiewicza, ani wizji nadziemskich Danta. Tennyson nie należy bynajmniej do tych istot w których nasz Libelt widzi podwaliny granitowe nauk, dynamiczne potęgi dziejów, płomienne łuny cywilizacji narodów; jest on tylko artystą, misternym słowa rzeźbiarzem, wirtuozem.

Lecz jeżeli na skrzydłach orlich nie sięga do wyżyn ideału, jeżeli nie umie być tłumaczem wielkich kataklizmów ducha—za to uczucia spokojne, ciche, miękkie, maluje z talentem niezaprzeczonem. Jego patos, pełne umiarkowania, jego dotknięcie artystyczne, melancholijna posępność oświecana przelotnie błyskawicami uadzioci, otwierają Tennysonowi na oścież podwoje sielanki i elegii. W tym kierunku słusznie go stawiają obok Graya.

Pomimo wielu stron ujemnych poezya Tennysona ma pewien urok, który na duszy inteligentnego czytelnika przyjemne robi wrażenie. Źródłem jego jest nadzwyczajna szlachetność uczuć, niepokalana czystość atmosfery i wyjątkowa już dzisiaj a pożądana zawsze cześć dla kobiety. Ale kto oddychał miazmatami życia, komu pesymizm krańcowy wgryzł się w duszę, kto doniosłość wrażeń ocenia skalą zmysłów jedynie—ten dla siebie w poezjach Tennysona żadnego pokarmu nie znajdzie. W tym duchu poeta mówi do sceptyka.

Myśl wieszczą dręczyć chcesz  
 Dowcipu marnego skra,  
 Myśl wieszczą dręczyć chcesz  
 Nic tobie zgłębiać ją.  
 Mieć musi jasna i lśnięca,  
 Przejrzystość wichru, blask słońca,  
 A ty ją zakłócać śmiesz?..  
 Sofisto ciemny, do jój bram  
 Nic zbliżaj się—tu święty ład  
 Szyderstwa mróz, śmiech próżny sam  
 Nic sięgną tam!  
 Na kwiaty lauru wonnego,  
 Co takich przybytków strzegą  
 Wody świętej muszę wylać prąd,  
 Bo ja zmrozi śmiechu twego kłam!..



# Hessy O'Grady.

P O W I E Ś Ć O R Y G I N A L N A,

OSNUTA NA TLE STOSUNKÓW OBECNYCH W IRLANDYI \*).

NAPISAŁ

*D z i a ł o s z a.*

## XI.

W willi Rathmines pod Dublinem, Tom O'Grady wracał zwolna do sił i zdrowia, dzięki troskliwym staraniom patryotki, miss Farrell i sióstr jój, mieszkających tu z owdowiałą matką jednego z najzdolniejszych przywódców narodowej partyi irlandzkiej. Pierwszy ratunek otrzymał był Tom w szpitalu miejskim, dokąd go z pomocą konstabłów poniósł Thady, który usłyszawszy strzał po wyjściu przyjaciela swego z Achazyaszowej kamienicy, wybiegł zaniepokojony na ulicę, gdzie przy rogu ulicy Zamkowej ujrzał już tłum pospólstwa, policyantów, śpieszących zewsząd i martwe, jak sądził, ciało nieszczęśliwego młodzieńca.

Chirurg zbadał głęboką ranę, zadaną „chłopcowi“ między łopatkami nożem, jaki w Ameryce nazywają bowie-knife, o wązkiej obosiecznej klindze; na szczęście, rana nie dotykała części żywotnych; lecz umysłowy stan Tomasza, jego gorączkowe rozdrażnienie i zupełny rozstrój nerwowy sprawiły, iż w pierwszej chwili organizm jego nie funkcjonował harmonijnie.

Przy łożu Tomasza pozostał Thady przez noc całą; obok niego

---

\*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. styczeń r. b.

zaś zmieniali się kolejno tajni agenci policyjni. Po spisaniu protokołu zeznań świadków naocznych niemal zbrodni, jeden z zamkowych inspektorów uwiadomił zarząd szpitala, że „konający jest ważnym indywidualum“ i że każde jego słowo jest „potrzebne w zamku.“ Dla tego też nie odstępował łóżka chorego zaufany agent policyi, z którym się od czasu do czasu inni przychodzący porozumiewali. Sprawdziwszy tożsamość osoby chorego z dorożkarzem, którego władze oddawna śledziły na każdym kroku i o którym wiedziały daleko więcej, aniżeli przypuszczał Thady—policya potrzebowała jednej tylko wiadomości: jakiego nowego rozkazu spiskowych nie usłuchał Tomasz O'Grady... iż tajny wyrok został na nim spełniony? Policya wiedziała bowiem, że umierający nie był winien śmierci Grubba... gdyż od paru tygodni, otrzymało biuro centralne nader jasne pod tym względem informacje z wiarogodnych źródeł. Mr. Trump zakomunikował bowiem szczegółowy raport z Tramore o rodzinie O'Gradych, w Topolach; Jozesz Peet—nie mówiąc nic nikomu—wysłał również do zamku pismo, zawierające ważne sprawozdanie z rozmowy z „kimś,“ co był świadkiem morderstwa, lecz z bojaźni przed złymi ludźmi, nie śmie uchylić tajemnicy ani z imienia swego ani z towarzyszy, z którymi przestawał. Kto był tym bojaźliwym, dowiemy się później. Policya domyśliła się trafnie powodu, dla którego Tomasz, uszedłszy pierwszej doraźnej zemsty związku sekretnego, a uważając się w wielkiem niebezpieczeństwie w obec władz na południu wyspy... pozostał w Dublinie i poddał się obojętnie narzuconemu sobie zajęciu dorożkarza.

Od młodego Kennedy nie wiele się dowiedział agent rządowy. Thady był przecież z ludu, „brytańczykiem“ i ich pacholkom nie ufał; wierny był nadto obietnicy danej Tomaszowi, że „tajemnicy“ nie zdradzi, — wierny również postanowieniu jakie sam sobie uczynił, — że, bądź co bądź, wyratuje Tomasza, lub... pamięć jego... po zasięgnięciu rady u miss Farrell.

Około 9-jej tego samego wieczora, przybyła miss Farrell do szpitala. Po konferencji z lekarzami, zbliżyła się do łóżka, przyjrzała się choremu, który zaledwie słabe zdradzał znaki życia i znów dobrą chwilę porozmawiawszy z dyżurnym doktorem, zwróciła się do agenta.

— Proszę mi powiedzieć—zapytała—czy, w razie przejścia niebezpieczeństwa, wolnoby mi było zabrać pacyenta do mojego domu?

Agent zdziwiony i nie zdając sobie sprawy z takiego zapytania, odpowiedział tylko:

— Pacjent jest pod dozorem policyi, miss.

— Może być pod dozorem i u mnie—odrzekła patryotka.

— Jeżeli tak... to powinna pani otrzymać upoważnienie od generalnego inspektora.

— Bardzo dobrze—rzekła miss Farrell—może się pan zajmiesz

tą sprawą... oto mój bilet i adres. Zgadzam się z góry na wszelkie warunki.

— Te zaś będą dwojaki — przerwał agent, potrząsając głową, jak gdyby wiedział, że siostra wielkiego agitatora nigdy się na nie nie zgodzi:—dom pani musi pozostawać pod nadzorem policyi, mającej prawo wejść do pokoju pacyenta o każdym czasie, i trzeba pani będzie złożyć stosowną kaucyjną pieniężną.

— O! tyle tylko, bardzo chętnie!

Powiedziawszy te słowa z wyraźną w głosie obojętnością, miss Farrell skinęła na Tadeusza i razem z nim opuściła wielki dormitarz, w którym atoli nie wielu było onego dnia chorych. Przeszli w milczeniu korytarze szpitala i dopiero, gdy się znaleźli w dziedzińcu, Thady ośmielił się zapytać o zdanie lekarzy.

— Mówią, że to odretwienie potrwa niedługo; a ponieważ stal nie naruszyła serca... więc nad ranem już może wiedzieć będziemy, czy jest nadzieja jakakolwiek. Jeżeli biedak nie skończy... przed ranem, to trzeba obmyślić środki najlepsze, by go przenieść do Rathmines... tam tylko będziemy zdolne (dodała, jakoby do siebie samą) uratować go... Powiedz mi panie Kennedy, ma on rodziców?

Tu z rozrzwinięciem nad łaskawością szlachetnej dziewczyny, opowiedział Thady wszystko, co mógł naprędce wspomnieć o mieszkańcach Topoli, dodał nawet niektóre szczegóły o zamordowaniu Grubba i o tém, jak ginącego z głodu i ędzy Tomasza ukryła i poratowała czas jakiś nieznaną mu kobietą w Donegalu.

Miss Farrell słuchała z głębokim współczuciem. Gdy Thady wspomniał o nieznaną kobiecie, spytała nagle:

— Gdzież to było?

— W Tobermore...

— To ta sama! — zawołała miss Farrell. — Słuchaj Kennedy, ostatnią pocztą tego wieczora doszedł mnie list, adresowany z Kilkenny, na południu, od niejakiéj Agnieszki Leary... znasz to nazwisko?

Thady nie znał nikogo tego nazwiska w hrabstwie waterfordzkim, pomyślał chwilkę przypominał sobie...

— Proszę pani, u mojej ciotki w Ballytullagh, żyje staruszka... Kirwanowa—tak, tak! teraz pewien jestem, że to ona czasami wymawiała to nazwisko... ale...

— Ale co?

— Ale mnie się zdawało, że stara Kirwanowa mówiła o Agnieszce Leary, jak o dawno zmarłym...

— Więcej nie pamiętasz?

— Nie.. niczego więcej nie pamiętam —dodał Thady stanowczo, choć na pół bezprzytomnie.

— Otóż ta Agnieszka Leary—ciągnęła dalej patryotka—to owa nieznaną kobietą, której ten biedak zawdzięcza matczyną niemal pomoc i zawdzięczy jój może coś więcej. Opuściła ona Tobermore



w kilka dni po wyjściu z tamtąd Tomasza; w Kilkenny, pestłyszawszy o mnie w naszym Komitecie tamtejszej ligi żeńskiej, napisała do mnie wzruszającą prośbę... bym ratowała nieszczęśliwego! Ale... masz oto list, przeczytaj go sobie i przynieś mi go jutro rano do naszego biura, z wiadomością o Tomaszu. Dobranoc—wzemię dorożkę.

Thady podszedł do latarni w bramie szpitala i przeczytał list, nie zawierający jednak, prócz gorących błagań o podanie pomocy Tomaszowi... „gdyby przypadkiem udał się do ligi,“ żadnych wskazówek, mogących rzucić światło na charakter i osobistość miłosiernej nieznanój.

Całą tę noc przesiedział Thady przy łóżku chorego. A była to noc okropna dla niego, bo pełna niepewności... Tom około północy otworzył oczy, spojrzał dziko w koło siebie — zatrzymał wzrok dłużej na agencie; w piersiach jego odezwano się głośnie rżęzenie—chciał mówić, wołać... sił nie miał. Przywołany lekarz, zmusił go przemocą do oparcia się o poduszki. Tom gwałtem wydierał mu się z łóżka, wskazywał na agenta, to na Tadeusza—oczy jego wyrażały przestrasch śmiertelny!

Nie będziemy opisywali scen onój nocy w miejskim szpitalu... Nad ranem, chory popadł w silniejszą jeszcze gorączkę i Thady stracił wszelką nadzieję. Dopiero z wieczora spokojniejszy sen uspokoił Tomasza.

Gdy potem otworzył oczy, znalazł się w inném otoczeniu. Łóżko, na którym leżał, stało pod ścianą, naprzeciw okna, z kąd widok roztaczał się na wspaniałą zatokę dublińską. Przy oknie siedziały dwie osoby: jedna w podeszłym już wieku, zajęta była robotką; druga, podłotek niemal, zapatrzyła się w dal zatoki i zatopiła swe modre oczy w bezgranicznej toni modrych wód i modrego horyzontu niebios. Pierwszą była pani Farrell, wdowa po amerykańskim admirałe; drugą, najmłodsza jej córka Gracya, nieumniej słynna z poetyckich utworów swego pióra, jak najstarsza siostra jej słynną była z dzieł miłosiernych swego patryotyzmu.

Chory zmęczonym wzrokiem wodził od jednej do drugiej. W tej chwili, uchyliły się drzwi przybocznego pokoju i w progu stanął Kennedy.

— Czy mogę wejść?—spytał panią Farrell.

— Owszem, ustąpimy panu pół godziny—odpowiedziała—ale... szal widzisz obudził się!..

Tomasz przymknął znów powieki i odwrócił głowę od światła. Obydwie panie opuściły pokój. Thady siadł w końcu łóżka i śledził baczenie wyraz twarzy brata Hesterki—następnie wyjął z kieszeni list, otrzymany tego rana od ciotki, i po raz czwarty odczytał jego dopisek:

„Nowego tu nic nie zaszło. Moja kupa pracuje po łajdacku, ale byle Pan Bóg i św. Patryk dali więcej takiego powietrza, jakie teraz mamy, to urodzaj będzie na pociechę... No, prawda, muszę ci też powiedzieć, że do pałacu zaszła jakaś kobieta, co o mało nie zabiła

kapitana, więc mówią że to waryatka... czemu ja nie wierzę. Dziś rano słyszałam, że to żona Mitchell'a, tego prostackiego drągala w służbie Gandego, więc i temu nie wierzę! U O'Gradych też wszystko po staremu, Michał Myles ma się tam coś kręcić koło małej Hessay... no, i pewnie ona też rada.“

— Nie może być! nie może być!.. szeptał Thady, ciotka zawsze coś miała przeciwko niej... A jednak! Czemu nie? Podlec Myles chełpił się przecież od dawna, po pijanemu, że jemu „żona rośnie w Topolach...“ Ale ona, Hessay!

— Cóż Hessay? spytał nagle chory słabym głosem.

Thady zmieszał się i ucieszył téj saméj chwili. Zmieszał się, bo dotąd Tomaszowi nie wspomniał ani słowem o swéj tajemnicy; ucieszył się—bo z powracającą przytomnością umysłu chorego mógł już bezpieczniej spodziewać się jego wyzdrowienia. Nie odpowiedział jednak na zapytanie, lecz polecił mu spokój i usiadł na krześle przy łóżku. Tomasz milczał dosyć długo, potem znów się odezwał:

— Kennedy, ja sam nie wiem, czy mi Bóg da życie i zdrowie. Gdybym był pewien tego—milczałbym, póki bym sam nie mógł... odkryć zdrajcy i...

— Na miłość bożką, Tom, nie myśl o tém teraz!—zawołał Thady.

— Owszem teraz — odparł chory spokojnie. Thady, przynieś papieru i co potrzeba do pisania... ja ci powoli opowiem wszystko, co zaszło od... od kiedyś poznał się z nim, z Mylesem, aż do ostatniego dnia, kiedy to było, Thady?

— Przed czterema dniami.

— Tak dawno?... ty opisz wiernie, przeczytasz mi, ja podpiszę. Ale... Thady, przyrzecz mi, przysięgnij, że—cóż to, kto to?...

Chory spostrzegł kogoś przechodzącego pod oknem i zaglądnącego do pokoju. Thady obejrzał się, lecz nie widział nikogo.

— Przysięgnij, że nie odkryjesz mego... zeznania władzom, nie oddasz im papieru! nawet jeżeli... jeżeli wszystko się skończy, Thady, jeżeli śmierć mnie zabierze!

Thady chciał protestować, ale daremnie! Dał więc uroczystą obietnicę!..

— Ja mogę umrzeć, albo tu długo jeszcze się pasować... ty nie trać czasu—przepisz, poślij do Topoli kopią, a zeznanie, przezemnie podpisane zanieś na ulicę Studzienną i oddaj Dermottowi... do rąk jego własnych, Thady—do rąk jego własnych..

— A jeżeli go tam nie ma?

— To zatrzymaj pismo przy sobie, aż go znajdziesz w domu, na Studziennéj.

Thady przysunął do łóżka stolik z materyałami piśmiennemi i zabrał się do pisania.

Chory składał swe zeznanie powoli, jasno i zwięźle. Widocznie nieraz sobie zdawał sprawę z wypadków ostatnich ośmnastu miesięcy, bo pamięć jego nie potrzebowała w téj chwili najmniejszego natę-

żenia. Thady pisał szybko. Minęło półgodziny, a panie do pokoju nie wróciły. Minęły trzy kwadranse—przyjaciele pozostawali sami. Tadeusza to zadziwiło, bo wiedział, jak troskliwie przestrzegąła pani Farrell, by odwiedziny jego nie trwały dłużej nad czas oznaczony; nadto, po upływie półgodziny zwykła zastępować go najstarsza miss Farrell, poświęcająca codziennie godzinę po śniadaniu swemu protegowanemu.

Na parę minut przed wybiciem drugiej, Tomasz skończył swe opowiadanie. Drżącą ręką podpisał ostatni arkusz... i opadł bezsilnie na poduszki. Thady położył swe nazwisko, jako świadka obok daty zeznania;—a potem natychmiast zbliżył się do drzwi i chciał je otworzyć, by przywołać choćby sługę domu, bo sam wracać musiał czempędzją do magazynu Achazyasza.

Ku niemałemu zadziwieniu, znalazł drzwi lekko tylko przyknięte. W przybocznym pokoju siedziała przy stoliku, zasłanym papierami, miss Farrell—a obok niej stał, jakoby zabierający się do wyjścia, słynny dr. Webb, prawnik, profesor uniwersytetu 6-tój Trójcy, mówca wszechuicy, najzuakomitszy łacinnik w królestwie i—notaryusz centralnego komitetu ligi agrarnej.

— Jak się ma chory? — spytała miss Farrell — przerzucając papiery.

— Osłabiony bardzo... ale przytomny — odpowiedział Thady mocno zmieszany.

— Zatrzymałeś się pan dziś przy nim dłużej... nie przeszkadzałam tą razą, bo—bo miałam do pomówienia z tym panem. Doktorze — rzekła, zwracając się do prawnika—miło mi przedstawić ci zacnego bardzo młodzieńca, p. Kennedy.

— How do you do! — rzekł prawnik banalnie i podał palec „zacnemu młodzieńcowi.“ Thady uklonił się, uściśnął dłoń jego i, pożegnawszy się, opuścił pokój.

— Nie domyśla się, co? — spytała miss Farrell swego gościa.

— Owszem, domyśla się—odparł, wciągając rękawiczki, ale to nic nie szkodzi. Bądź co bądź, mamy nowy dowód, do jakiego stopnia zakorzeniona jest w ludzkiej naturze nienawiść, lecz z pewnością nieufność do władz panujących. Ten biedak chce wiernym pozostać idei narodowej aż poza grób... chociaż, jak widzimy, przekonany jest i przeświadczony o strasznej krzywdzie, wyrządzanej sprawie narodowej przez takich Mylesów i Dermottów. Dlatego to, pragnąc oczyszczenia swego imienia i ukazania winowajcy, pragnie by sprawiedliwość wymierzona została w łonie związku, a żadną miarą poza nim. Ludzi takich ratować trzeba przeciw ich własnej woli.

— Tylko ostrożnie, doktorze!

— Nie obawiaj się pani... potrafimy to uczynić bez — wydania wojny Dermottowi i klubom w Nowym Jorku i w Chicago. Pozwoli pani, że te notatki zabiorę, choć może będę mógł — lepsze otrzymać narzędzie...



## XII.

Thady wstąpił tylko na chwilę do kantoru Achazyasza, by otrzymać uwolnienie na czas dłuższy, potem podążył na ulicę Studzienną, do domu „agencji.“ Na odgłos dzwonka, otworzył drzwi kamienicy tajemniczy odzwierny.

— Czy jest w biurze generał?—spytał Thady.

— Czego potrzeba?—odburknął William.

— Oddać do rąk własnych generała dokument umierającego Tomasza O'Grady—rzekł Thady z chłodem.

— Umrze, czy nie umrze?—spytał brat odzwierny przytłumionym głosem. Oczy zajaśniały mu ponuro i drżącą ręką chciał pociągnąć młodzieńca bliżej siebie; ale Thady wzdrygnął się... dreszcz przeszedł go na wskroś, cofnął się szybko.

— Czy Dermott jest tu, czy go nie ma? — zawołał niemal niebacznie.

Stary William zadrżał, zacisnął zęby i przychylił drzwi domu. Wycodził jednak:

— Daj to pismo... nie ma go — opuścił Irlandyą — stój! daj to pismo!

Thady był przekonany, że generała w domu nie było; odszedł więc spiesznym krokiem i udał się bezwzględnie do centralnego biura poczt. Wierny poleceniu Tomasza, przepisał w sali korespondentów całe zeznanie i zaadresował rekomendowaną kopertę do ks. Dooley'a, proboszcza w Tramore. Na osobnej karcie pocztowej napisał pod tym samym adresem następujące słowa:

„Choremu lepiej — I opuścił stolicę — wysyłam list rekomendowany do Topoli, proszę przeczytać i wręczyć osobiście. T. K.

Otrzymując kwit rejestracyjny, Thady spostrzegł d-ra Webb'a tuż obok, podającego urzędnikowi wypełniony blankiet telegramowy. Na ukłon jego, słynny prawnik skinął głową i dodał:

— How do you do?

Depesza, zaadresowana do ks. Dolley'a, proboszcza w Tramore, zawierała następujące słowa:

„T. K. wysyła list. Proszę przeczytać i przysłać oryginał lub kopią sine mora. Webb, Wszechnica.“

Depeszę tę otrzymał ks. Dooley tego samego wieczora; znał z reputacji słynnego prawnika, ale komunikacji jego nie zrozumiał, nawet gdy w literach T. K. domyślił się Tadeusza. W każdym razie, wypadało mu czekać na poranną pocztę dublińską.

Nazajutrz rano... proboszcz miał do spełnienia nie mało nowych obowiązków. Przez całe trzy doby strasznój pomroki, sługa ołtarza — jeżeli nie leżał krzyżem przed ołtarzem w parafialnym kościele, lub potężną swą wymową nie podtrzymywał z kazalnicy upadającego ducha parafian—to spieszył od chaty do chaty, od zagrody do zagrody

dy, walcząc wszędzie z rozpaczą, jaka do jego nawet serca wkradać się poczyniała!

Trzeciego dnia po zarazie, odprawił ks. Dooley smutny pogrzeb zamordowanego Connora. Wróciwszy do domu, wycieńczony pracą ostatnich siedmdziesięciu godzin, myślał jeszcze o okropnym stanie matki nieboszczyka i przemyślał nad tém, co by mógł uczynić, by nędzną kobietę uratować... To mu przypomniało Julię.

— Dziwne i nieodgadnione są drogi Pańskie!—rzekł—za trumną nie było własnej matki... a czolgała się matka jednego z tych, z których zemsty padł nieszczęśliwy ofiarą! Być może—dodał, wzdrygając się—że była to matka... zabójcy!

Po chwili, wstał nagle i zbliżył się do swego biurka. Spozrzegł na niem od razu urzędową kopertę i kartę pocztową. Tę ostatnią przeczytał wprzód...

— „Nr. I opuścił stolicę!...“ — wyrzekł po namyśle, powtarzając doniesienie Tadeusza. Więc nie gdzicindziej się obraca, jak tu, na południu, może w tej parafii...

Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę!—zawołał proboszcz.

Do pokoju weszła Maryanna.

— Bóg z tobą, Maryanno!—rzekł kapłan. Cóż mi powiesz?

Na twarzy biednej dziewczyny widać było ślady łez i cierpienia.

— Wielebność wasza wie—odezwała się słabym i drżącym głosem, że master wrócił do chaty... och, och, i pewnie, że nie kto, jeno missy go nazad przyprowadziła z pagórka, gdzie niby kamień nieczuły siedział m a c h r i j...

— Wiem, wiem, Maryanno; byłem w Topolach przed pogrzebem, ciebie tam nie było. Jakże się ma twój pan?

— Master siedzi w izbie, przy oknie, słowa nie powie, proszę wielebności waszej... chociaż my biedne kobiety obydwie nie wiemy, begorra, jak sobie poradzić...

— Z czém? z nim? czy chory może?

— Jużcić to nie on, proszę wielebności waszej, chociaż znowu z drugiej str...

— Któż więc chory, Maryanno? — zapytał proboszcz, któremu dobrze była znana gadatliwość dziewczyny.

— A pewnie, że nie kto inny, proszę wielebności waszej, jeno pani Julia — odpowiedziała — co, jak przyszła do chaty po pogrzebie tego...

— Cóż się stało?

— Tak nic i nic, jeno płacze w alkierzu i—proszę wielebnego ojca—chce iść do niego!

— Do kogo?

— Do syna jużcić, chociaż znowu...

— Mówiłaś, Maryanno, że mistress Julia chora, czy tak?

— Tak samo z nią, proszę wielebnego ojca, jak kiedy to przy-

szła do Topoli, a kuszła dhù asthore! Jużcić się znowu nachyliła cała i trzęsie nią, i coś do siebie mówi, a do mnie i do missy to jeno: „idę do niego, idę, bo ja jego matka i Bóg w niebie tak każe!“

Proboszcz zamyślił się.

— Byłoby to bardzo dobrze — rzekł po chwili, gdyby... Myles się zgodził.

— Och, wielebność wasza! — zawołała Maryanna—begorra, i pewnie, zem poszła do Knyverton i widziałam go i gadałam z nim!

— Ty, Maryanno?

— Tak jest, wielebność wasza, chociaż...

— A on co?

— Wejrasthrù, on powiedział: ...och! wielebność wasza, jużcić najprzód zaklął, jak sam czarny, co to powtórzyć nie można! „Niech cię dyabli wezmą! — mówi, albo to babski szpital u mnie, czy co?“ Więc już iść chciałam... nie to, begorra, żebym strach miała, jeno, zem swoje zrobiła i na nicby się nie zdało do niego gadać—kiedy, proszę wielebności waszój, on mi kazał czekać, coby się namyślał. Ano, acharù, czekałam i czekałam, a on chodził po izbie, jak jakie dzikie bydłę, co to pokazują za żelaznemi kratami!

— I cóż potem?

— Potém stanął, proszę wielebego ojca i powiedział: „tu leży u mnie — mówi — żona Mitchella z pałacu...“ albo ja kiedy myślała, proszę wieleb...

— Cóż dalej powiedział?

— „Z pałacu—mówi—pilnuje jój matka Józefowój Clancy, bo to niewinna <sup>1)</sup>. Ja sam—mówi—pojadę jutro rano do Topoli i wezmę matkę do siebie...“

— Więc ci nic nie powiedział?

— Nic, proszę wielebności waszój, jeno drzwi otworzył i „a teraz — mówi — idź do dyabła!“ Więc jużcić prostą drogą tu naprzd iść chciałam, kiedy nie daleko jego chaty, zaszedł mi drogę jakiś handlarz, albo co... i spytał: „Gdzie tu—mówi—chata niejakiego Michała Mylesa?“ Tak ja mu pokazałam, a on stanął i patrzył, patrzył na chatę i na wszystko...

— Moja Maryanno—rzekł proboszcz—jeżeli mojej chcesz rady, to myślę, że najlepiej będzie pani Julii zamieszkać przy synie...

— Och! wielebność wasza!...

— Rozumiem, co chcesz powiedzieć, ale zostawno to mnie; zresztą ty sama, albo miss Hessy możecie zaglądać od czasu do czasu do pani Julii i...

— O jużcić, co ja, to mogę—rzekła z energią dziewczyna—ale missy tam się nie pokaże, bo acharù, żeby to ojciec wielebny wiedział, jak ten się koło niej...

— No, to choć ty jedna tam zajrzysz, a i stara Clancy może

<sup>1)</sup> Obląkana.



o niej pamiętać będzie, ja także odwiedzać będę panią Julią po dawnemu...

Maryanna, załatwiwszy tę sprawę, wylała wszystkie swe przed proboszczem żale na srogie dopuszczenie Boże — okropne spustoszenie zarazy. Ks. Dooley nie szczędził i jej pociechy, polecając staranie o zdrowie Marcina i jego przybranéj córki.

Dopiero po odejściu Maryanny, zasiadł do odczytania zeznań Tomasza.

### XIII.

Szlachetna Horacya Gandy opuściła pałac tramorski i Irlandyą, odjechała do Craingenfort. Mąż się tą razą nie sprzeciwił postanowieniu jej. Krótkim liścikiem uprzedziła syna:

„Bercio, kochanie! Je pars! być może pour toujours!... Po fenianach — uue calamité — zaraza! Ludzie będą umierać tu z głodu... on parle d'assassinats. Kapitan, votre papa, znów ma eskortę. Pas de monde — pas de salon... Kto tylko jest kimś — ucieka... Je m'envole vers vous, en bonne petite maman que je suis! à tantôt! H. G.

„P. S. Wyatt jedź ze mną. Strach, co się tu działo, dzieje, dzieć będzie jusqu'à la fin des fins!... Wyatt me dit que le capitaine ne fait que boire et boudier... mon coeur souffre! Qu'elle est pleine de prose, la vie en Irlande!...“

Natychmiast po odjeździe żony, kapitan zamknął się z Mitchellem w bibliotece i odbył z nim długą naradę, skutkiem której kamerdyner pojechał konno do Knyverton. Wracając, wstąpił do szynku Clancy'ch.

Nazajutrz rano, przed bramą pałacu stanął powóz zaprzężony w konia roboczego. Klucznica zniosła z ganku przygotowane kotdry i okrycia, rzuciła je do powozu.

— Jeszcze tóż czego! — mówiła do siebie, czerwona jak burak, żebym ja posługiwała jakiegós tam... a kapitan tóż chyba rozum stracił... powozu trzeba, poduszek wielmożnej pani Mitchellowej! Zdrajca, podły! Łajdaczyśko! nienawidzę go!

Po chwili ukazał się Mitchell z Bobem, niosący otuloną, mimo wielkiego upału, kobietę. Ostrożnie złożyli ją w powozie i okryli poduszkami. Gdy wszystko było gotowe, Mitchell wsiadł do powozu, zajął tylne siedzenie i rzekł do lokaja:

— Powiedz mu raz jeszcze, żeby jechał powoli, krok za krokiem... nie ma się czego spieszyć, do Knyverton pół mili drogi.

Bob zamknął drzwiczki i powóz ruszył. Skoro powóz zniknął za bramą dziedzińca, plenipotent zatarł ręce, zadzwonił i kazał sobie przyprowadzić Ali Baszę.

W godzinę później, siadł do śniadania w waterfordzkim w „klubie konstytucyjnym.“ Rozmowa członków toczyła się oczywiście o je-

dynęj kwestyi sytuacyi danęj chwili, w jaki sposób wyciągnąć największe korzyści z straszliwęj klęski krajowęj. Żywy brał w nięj udział plenipotent dóbr lorda Grosvenora, a jemu serce rosło, bo go słuchali wynieśli synowie i ojcowie rodzin arystokratycznych. Pod koniec śniadania, przyjęto nawet propozycyą jego, by klub wystął delegatów na walne zgromadzenie południowych lóz oranżystowskich, do Cork, którzyby przedłożyli plany kapitana obradującym „braciom lojalnęj mniejszości w kraju.“

Wśród członków znajdowało się kilku oficerów miejscowęj załogi, a między nimi—lekarz sztabowy. Tęgo więc „zachaczył“ Gandy w sali bilardowęj.

— Bardzom rad—rzekł rozweselony, że cię spotykam, doktore. Mógłbyś mi oddać przysługę...

— Cóż takiego? chory kto u ciebie, kapitanie?

— Nie u mnie... to jest — znasz mojego Mitchella, jęgo... hm! żona chora, w Knywerton!

— Nie wiedziałem, że stary Mitchell żonaty!

— Ba! i ja nie wiedziałem... aż...

Tu kapitan odwiódł doktora na stronę i dał mu niektóre informacye. Rozstając się z nim, dodał głośno:

— Więć, dziś lub jutro—jak ci wypadnie, doktorze! Zajędz do Knywerton, a wracając, wpadnij do Tramore.

— Gandy! Gandy! — odczwało się kilka głosów z przyległego pokoju, gdzie zbierano partnerów do wista. Kapitan zbliżył się do drzwi i rzucił okiem po towarzystwie.

— Nie mogę dzisiaj, panowie... na honor nie mogę! — rzekł uprzejmie, lecz stanowczo. Mam zajęcia w kancelaryi — inną razą, inną razą!

Powiedziawszy to, wyszedł, mówiąc do siebie: — sama wojskowa i konstablerska chałastral dla nich się rujnować, ani czasu tracić nie warto... teraz!

Plenipotent czasu nie tracił, w samęj rzeczy. Pracował w kancelaryi przez kilka godzin każdego dnia, a rezultatem pracy jęgo, było, że...

Po pierwsze: Komornicy sądowi otrzymali od niego tak nazwane „pierwsze zawiadomienie,“ z poleceniem wręczenia ich osobiscie wszystkim dzierżawcom i osadnikom dóbr. Zawiadomienia były treści następującej:

„Kapitan J. A. Gandy, plenipotent dóbr lorda Grosvenor'a, uważa za stosowne uprzedzić zawczasu dzierżawców i innych osadników czynszowych z tychże dóbr, że w dzień terminu 6-to-Michalskiego zażąda całkowitęj wypłaty czynszów i zaległości, bez względu na jakiekolwiekbydz okoliczności. Kto więc przewiduje, iż z czynszu swęgo i zaległości wypłacić się nie będzie w stanie, ten niechże w czas uprzedzi urząd kancelaryjny w Waterford, !gdzie od dnia dzisiejszego

otrzyma informacye co do zabezpieczenia się od wszelkich przykrości. Z kancelaryi dóbr, Waterford, dnia 26-go czerwca.“

Po drugie: Do „Transatlantyckiej spółki okrętowej“ wysłał list z zapytaniami o cenę „przewozu kilkudziesięciu pauprów i ich rodzin z portu waterfordzkiego do któregoś z portu obydwóch Ameryk;“ o wysokość komisowego dla agentów i tak zwanych „szturhańców“, t. j. szeszanych i doświadczonych ludzi, którzyby w samej stolicy hrabstwa i w jego miasteczkach sprowadzali pewnych, wyznaczonych „pauprów“ do biur agentów, ewentualnie i na pokłady.

Po trzecie: Do rządowego wydziału „Colonial-Emigration“ sporządził podanie o—subwencyą skarbową... „jakaby mu dozwoliła uwolnić skarb irlandzki i zarządy parafialne od nadzwyczajnych i niepodobnych kosztów—a zarazem przyjść w pomoc nieszczęśliwym ofiarom tegorocznej klęski.“

Odpowiedzi uie długo oczekiwał. Z Westminsteru otrzymał przepis regulaminów skarbowych, wyznaczających pewną taryfę, według której rząd angielski, działając w porozumieniu z rządami swych kolonii przychodzi w pomoc „przeludnionym, lub inaczej dotkniętym (otherwise affected) obwodom wysp brytańskich. Subwencya wynosiła w tym razie od jednego do ośmiu szylingów na głowę, stosownie do płci, wieku i możności zarabiania „pauprów.“

Spółka transatlantycka pospieszyła z ofiarą najniższych cen i racjonalnych honoraryów.

W ten sposób, medytacye wieczorne kapitana z czysto spekulacyjnych stały się — arytmetycznymi. Wszystkie koszta wykonania swych planów zgrupował pod dwoma nagłówkami: Żądania spółki i Zapomoga pauprów; ogólną sumę wydatków odciągnął następnie od ogólnej sumy subwencyi rządowej i... sumy, jakaby chętnie zaasygnował lord Grosvenor, by się pozbyć dziedzicznych kontraktów i zrujnowanych osadników. Przewyżka należy się, oczywiście plenipotentowi... ale plenipotent miał daleko wyższe ambicje.

Najdłużej wypadło mu czekać na odpowiedź włościan—lecz i ta nadeszła... całkiem niespodziewanie i w nowej zupełnie formie.

Gandy siedział przy swoim biurku w kancelaryi; główny urzędnik, czy sekretarz stał przy wysokim biurze, tuż pod oknem od ulicy. Niespodzianie wrzucono przez otwarte okno zapieczętowaną kopertę, zaadresowaną do plenipotenta. Prosty odcisk palca oznaczał pieczęć, którą ta tajemnicza ekspedycya opatrzoną była. Pismo zaś udatne, czytelne i poprawne, zawierało tylko te słowa:

„Panie kapitanie! Ośmielam się prosić your honour, byś zechciał odwołać następujące słowa z cyrkularza z dnia 26-go czerwca: „w dzień terminu S-to-Michalskiego zażąda całkowitej wypłaty“—aż do końca tego zdania—a w ich miejsce ogłosić, że w niedzielę pierwszą „września przyjmiesz delegacyą dzierżawców i osadników. Z głębokim szacunkiem, Dobrze radzący.“

Podczas gdy kapitan odczytywał te słowa, urzędnik wybiegł na



ulicę w nadziei schwywania tego, kto list wrzucił przez okno. Ale nie znalazł nikogo, prócz policyanta, stojącego przy rogu— od niego zaś dowiedział się, że z wyjątkiem dobrze mu znanych osób, nikt podejrzany go nie minął.

Kapitan rozeźmiał się tylko i rzucił list do kosza.

W tydzień potem, gdy wychodząc z klubu, wziął w sieni swoje szpicrutę, spostrzegł okręcony w koło niej zwitek brudnego papieru... Zdziwiony rozwinął go i ujrzał swe nazwisko, wypisane na czele nie zbyt wprawną do pisania ręką—dalej zaś wyczytał:

„Nie odpowiedziałeś na prośbę—odpowiedz na rozkaz. Trzy dni czasu. Brygita.“

Gandy schował zwitek do pugilaresu. W bramie kamienicy klubu czekał na niego ubraony po cywilnemu, lecz uzbrojony konstabler. Kapitan nosił przy sobie nabity rewolwer; konstabler prócz rewolweru w kieszeni, miał laskę z ukrytą w niej szpadą, z rękojeścią zaopatrzoną w świstawkę. Wychodząc, Gandy rzekł do swego towarzysza:

— Trzy dni łaski, potem mam mieć do czynienia z jakąś Brigita... któż to ta Brygita?

— Chłopcy—panie kapitanie odpowiedział konstabler — ale oni dadzą panu jeszcze jedną „przestrożę.“ Gdyby się nam udało złapać ich... listonosza! Czy mogę prosić pana o pokazanie mi ostatniego dokumentu?... A! ton już gburowaty... ale pismo jeszcze poprawne. Aha! widzi pan, trzech ich pisało tu na przemian, każdy po jednym wyrazie. To dla zatarcia charakteru... a podpis „Brygita“ pisany lewą ręką.

W kancelaryi, tego samego dnia, sekretarz wręczył kapitanowi pismo, które doszło zwykłą otwartą drogą, przez urząd pocztowy. Był to protest rzetelnych farmerów przeciwko akcyi tajnych związków, zredagowany w stylu prostym, lecz stanowczym i wymownym.

„Chociaż nie widzimy sposobu — czytał plenipotent—wypłacenia wszystkich zaległości i czynszów naszych w najbliższym terminie, to jednak, póki jeszcze trochę czasu nam pozostaje, myślimy i naradzamy się z sobą, jakbyśmy mogli zabezpieczyć się i rodziny swoje—nie już od przykrości ze strony zarządu dóbr—ale od zupełnej ruiny, albo, co na jedno wychodzi, od przymusowego opuszczenia naszych ojcowizn i naszej ojczyzny. W czas więc postanowiliśmy wysłać do pana *your honour*, deputacją i przedłożyć mu okropne położenie nasze, co z woli i przypuszczenia Pana Boga, a nie z żadnej winy naszej powstało. Teraz zaś pilno nam wyprzeć się tych nieszcześliwych i, niestety, liczniejszych od nas ludzi, co groźbami i hardością stawają między nami i waszą rzetelnością, panie kapitanie. Gotowimy wszyscy stanąć do przysięgi, że z nimi nic wspólnego nie mamy; a i to chcemy wam, panie, przedstawić że ci ludzie z tajemnych związków po największej części są obcy, w dobrach tutejszych zajęcia żadnego

nie mają, desperaci są z innych parafii i hrabstw, którzy jak sami tym ulegli, tak teraz między nami złe zaszcześcić usiłują.“

Protest ten, zastugujący w każdym razie na uwagę, nie nosił atoli ani jednego podpisu... Protestujący nie mieli wyboru: podanie swych nazwisk uważali za wyraźne wskazanie tych, którzy się z nimi łączyć nie chcieli!

Gandy zaklął szyderczo i parsknął śmiechem fałszywym:

— Za głupca mnie mają, dalibóg!—zawołał. Jakiż inny dówód wyraźniejszy, że wszystko to robactwo jedną idzie kupą? Wiedzą o tchórzowskiéj robocie łotrów, bo nią sami kierują, sami są łotrami! Protest to ma być, protest! Tfu! do dyabła! Każdy dzieciak rozumie, co to ma znaczyć „wyprzeć się liczniejszych od nas ludzi“ albo to nie pogróżka? Znasz pan to pismo?—zapytał, zwracając się do urzędnika.

— Znam, panie kapitanie; to — to pisał Marcin O'Grady z Topoli.

— A! Byłem pewien tego! A ten osioł Trump trzyma wartę nad Mylesem!.. Siadaj pan i pisz warrant policyjny do inspektora w Tramore... od sędziego pokoju baronii tramorskiéj — ja podpiszę: „Odesłać ludzi z Knyverton, posłać do Topoli. Jednego stawić w Bailtullagh, u Piotrowéj Dogherty. Rozciągnąć kordon z Tramore do Dunmore. Ważne odkrycie, mieć pilne oko na Topole, probostwo i klub kapeli w miasteczku...“ Proszę to wysłać natychmiast!

Gandy był niewzruszony w swéj opinii o usposobieniu farmerów i osadników obydwóch baronii; był irlandczykiem, urodzonym w kraju, wychowanym między gorącymi patryotami południowego włościactwa; znał charakter współczesnego gaela, znał jego solidarność, przeświadczony był o jego patryarchalnéj wierności dla pewnych przekonań i zapatrywał na ideę i na interes plemiennego konserwatyzmu. A ponieważ stumił był od dawna wszelki zmysł prawości, więc i w jéj bohaterską odwagę nie wierzył; ponieważ od dawna przestał słuchać głosu sumienia, więc i w sumiennéj deklaracji innych widział tylko... obłudę; samolub do szpiku kości—szydził z postawy tych, których żywotne interesa ciągnęły do potężnéj unii anarchizmu... a którzy mimo to woleli ostać się do końca, między brutalnym uciskiem wroga narodowości a barbarzyńskim bezprawiem narodowego rozprzegu.

Czwartego dnia rano, Gandy stał na ganku tramorskiego pałacu i słuchał, co mu mówił Mitchell, po powrocie z zwykłych codziennych odwiedzin Agnieszki, w Kuyverton:

— Może pociągnąć jeszcze z parę tygodni, a może zamknąć oczy dziś jutro, your hou ourl.. Doktor mówi zawsze jedno: trzeba było nie ociągać się, posłać po niego pierwszego dnia!

— Zawsze bezprzytomna?

— Zawsze, panie kapitanie! Nie mówi ani słowa... i patrzy na nas zupełnie obojętnie, tylko kiedy Mylesowa matka jeno przez drzwi zajrzy, to zaraz się jéj w oczach mieni, jakby z nich wzrok przecierał spokojniéj—dziś myślałem, że przemówi do niéj, tak ustami ruszała...

— Mitchell, jak tobie się zdaje?—zapytał Gandy zniżonym głosem—poznała chorą Mylesową?

— Your honour — odparł kamerdyner — ja sobie miarkuję, że poznała... Wejdzie bo czasem kobiecinka, usiądzie przy łóżku, patrzy i patrzy, pokiwa głową i zamyśli się...

— A Michał?

— O, tego nie ma na placu! Jak tylko matkę przywiózł z Topoli, wyniósł się i nikt go nie widzi.

— Bywa tam kto więcej?

— Prócz dziewczyny z Topoli...

— Jakiś dziewczyny?—spytał kapitan z nagle pobladłą twarzą.

— O your honour, prosty dziewczyny chłopskiej... na imię jej Maryanna. Ta przychodzi co dzień do Mylesowej — ale o chorą może wcale nie wie, bo Michał pewnie uczynił, co mu pan kapitan rozkazał i zabronił przystępu do...

Plenipotentą to jednakże nie uspokoiło. Chodził po ganku szybkimi krokami. Nagle zatrzymał się i przerwał Mitchellowi temi słowy:

— Moją chłopczkę, pomagałeś mi dotąd... pomóż mi jeszcze w jednej rzeczy! Wiesz że—że stary O'Grady ma... ma córkę...

— Tak jest, your honour!

— Widziałeś ją?

— Widziałem tu i owdzie, po miasteczku i—(Mitchell uciął od razu).

— I gdzie jeszcze, Mitchellu?

— I w kościele, your honour!—odparł niepewnym głosem.

— To ty chodzisz do kościoła?

— Tak jest, your honour!

— Jak ona wygląda?

Przypomnijmy sobie, że plenipotent raz jeden tylko spotkał się z córką Agnieszki, że było to w okolicznościach najmniej sprzyjających uchwyceniu rysów niemal dziecięcych. Ale plenipotent miał ważne powody, dla których zadał ostatnie pytanie kamerdynerowi, który zamierzał właśnie opisać szczegółowo i jak mógł najwierniej twarz i postać dziewczynki; gdy w bramie dziedzińca pałacowego spostrzegł mężczyznę wysokiego wzrostu, obróconego plecami do ganku, wpatrującego się uważnie w środkowy słup i coś z niego nakoniec zdejmującego. Gdy Mitchell zwrócił na niego wzrok kapitana, nieznajomo opuścił bramę i—zbliżał się szybko do ganku.

— Sherlock!—zawołał Gandy.

— Ja sam, sędzio—odparł mniemany handlarz, dotykając kapelusza po wojskowemu i rzucając bystre spojrzenie na kamerdynera.

— Nie miejcie żadnej obawy! rzekł kapitan — to mój wierny Mitchell i stary wajak; nie zdradzi on was, panie Sherlock, ani Trumpa! Cóż to za papier?



— Kapitanie—odpowiedział amerykanin—podając duży arkusz, zapisany wielkimi literami — to już trzecia przestroga... polecam baczną!

Gandy spojrzał na pismo i wzdrygnął się.. W nagłówek, narysowana trupia głowa, szczyrzyła się do niego okropnym grymasem rozwartych szeroko szczęk i zębów. Nad rysunkiem, wykonanym z pewną wprawą, papier był przekłuty.

— A oto... nóż, kapitanie, którym przybito arkusz do słupa. Baczną! baczną! kapitanie.

Plenipotent czytał <sup>1)</sup>):

„lepsze my jak tfoje Scirwo, jak masz Ślipie to putszł w Pickle tszebno djablowi tfoi Wsciekły Duszy. Mi tszebno tfojogo pszeklentego Cielska.

„Kapiton z Ksienrzyca.“

Gandy dał papier do przeczytania Mitchelowi, a sam siny od łości, rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Niech tylko spróbują! Za parę godzin stanie tu szwadron dragonów, dostaną kwatery u farmerów!

— Oczy Sherlocka zapaliły się fosforycznym blaskiem, jak u kota. Przymrużył powieki.

— Kapitanie—rzekł—ja wam radzę wziąć trzech ludzi do eskorty... jednego za mała.

— Wziąłbym trzydziestu!—krzyknął Gandy—nie z bojaźni przed zbójceckimi tchórzami, ale niechby łoty płacili! Dalibóg, tak bądźiel Ja wezmę trzech, a tu i przy kancelaryi rozstawię tyłu, ilu się zmieści... niech płaci kaualia! Mitchell!

Gandy obejrzał się—Mitchell stał za nim, przepasany szerokim skórzanym pasem, z poza którego wyglądały dwie kolby i dwie lufy rewolwerowc. Przez plecy miał przewieszony karabin Martini-Henry, u ręki zaś nahajkę kawalerzysty. Gandy uśmiechnął się mimowoli.

— Gotów, your honour! — rzekł stary żołnierz—nie potrzeba nam tych świerszczów (mierząc pogardliwie policyjnego agenta), póki obaj mamy uszy, oczy i z a b a wki w porządku!..

— Pamiętajcie tylko—odezwał się szyderczo amerykanin—że to nie z plutonami, ani podjazdami sprawa! Lepszy świerszcz od bąka—w tym razie!

— Nie tutejszy! nie tutejszy! — odparł Mitchell rąno i dobrodusznie—kiedy aż z innego świata szuka pomocy...

Od téj chwili, kamerdyner nie rozstawał się już z bronią, ani z kapitanem. Trop w trop za nim chodził wszędzie; łózko swoje prze-

<sup>1)</sup> Autor posiada oryginalną téj, dosłownie przetłómaczonéj (i pisonią naśladowacéj) przestrogi. Podpisany jost: „captain Moonlight“ (Captain Moonlight).

niósł do sieni, przed sypialnią plenipotentą; sam drzwi wszystkie i bramę pałacu zamykał na noc i otwierał z rana, nie dopuszczał, by Gandy wszedł do któregoś pokoju, nie zreknoskowawszy sam wprzód placu; jeździł za nim do miasta, szedł za nim do kancelaryi i do klubu; słowem, nie opuszczał go na chwilę, żadnej godziny dnia i nocy... wyjąwszy jedną: każdego ranka siadał na konia i pędził wyciągniętym kłusem do Knyverton—wracał w godzinę później, przynosił kapitanowi świeżą wodę do kąpieli i wiadomości od Agnieszki.

Jednego rana kapitan zbudził się, spojrzął na zegarek i pociągnął za sznur od dzwonka. Do sypialni wszedł lokaj Bob.

— Gdzie Mitchell? zapytał Gandy.

— Jeszcze nie wrócił, proszę pana. Ja przyniosę wody.

Kapitan ubrał się, zeszedł na dół, zjadł śniadanie, przeczytał listy i gazety—wybiła 10-ta, a Mitchell nie wracał...

Kapitanowi krew uderzyła do głowy i dreszcz go przeszedł mimo skwarne powietrze. Zapanował jednak nad sobą i wyszedł do sieni.

— Przyprowadzić Ali-Baszę! — rzekł do czekającego tu konstablara, wyjadę sam, bez eskorty, bez nikogo!...

I wkrótce potem wyjechał.

#### XIV.

Tego samego poranku, przed wschodem słońca, miedzą polną z Topoli szły, a raczej biegły dwie kobiety. Jedna z nich, starsza i w ruchach swych zdradzająca nadzwyczaj silny i niemal męzki organizm fizyczny, ocierała oczy od czasu do czasu z łez, które się do nich cisnęły. Młodsza, z twarzą oblaną gorącym rumieńcem zmęczenia, o rysach czystych i regularnych południowej piękności w pierwszym rozkwicie; o ruchach pełnych wdzięku, elastycznych, z włosami o kruczo-niebieskich połyskach, rozwianymi w pośpiechu; jedną ręką podtrzymywała skromną perkalową sukienkę, chroniąc ją od obficie zroszonej trawy, a drugą do zawiniętego fartuszka rzucała kwiat polny taki, jaki biegnąc uszczknąć z przymiedza mogła.

— I od dawna ona tak chora, Maryanno? — zapytała, zatrzymując się nad kępką młodych wrzosów.

— Och, missy, dawno! dawno! — odpowiedziała dziewczyna, tłumiąc w piersiach łkanie.

— Tyś bardzo do niej przywiązana, pocziwa ty, kochana Maryanno! Ale, czemuś mi nic nie powiedziała o téj biednej chorój? Gdybym sama przed chwilą nie spotkała pierwsza pośląca pani Julii... to i teraz samabyś pewnie poszła do Knyverton...

— O nie! nie! missy, powiedziała bym! powiedziała bym, missy! Maryanna puściła wodze wezbranym uczuciom. Hessy słuchała jej z współczuciem; lecz chociaż serce miała gorące i tkliwe, jednak wydawała jej się dziwną ta głęboka boleść i ta niemal

rozpacz dziewczyny. Po chwilce więc znów się odezwała, tą razą bardzo naturalnie:

— Biedny, biedny pan Mitchell o jakże on musi cierpieć!..

— Mitchell!—zawołała zanosząc się od płaczu Maryanna,—och, missy! i pewnie, że są tacy, co im mistress A-A-Agnieszka więcej znaczy, jak jemu!.. wejrasthrù, mavorney missy, co ja nie-szczęśliwa pocznę! a tu ojca Marcina nie ma... może go najdziemy w polu... jeno się spieszyć!

I znów obie kobiety podwoiły kroku.

— O patrz, patrz, Maryanno — zawołała Hessa po kilku minutach, tam dad idzie gościńcem! Zawołajmy na niego, bo pewnie przejdzie na tamtą stronę, na pastwisko.

Ale Maryanna wstrzymała swą towarzyszkę..

— Och! jużci, missy, ja polecę do niego i powiem mu... a charu, biedna ja dziewczyna! powiem mu, missy... bo on bardzo kochał tę mistress chorą—słodki Jezusie! missy niech idzie miedzą, a ja z nim wróć!

Powiedziawszy to z oznakami najwyższego pomieszania, pobięła polem do szosy. Hessa patrzyła za nią z ostupieniem... pewne słowa, w tej chwili poraz pierwszy usłyszane, uczyniły na niej przykre—niemal bolesne wrażenie.

— Dad „bardzo kochał tę mistress chorą“ — powtórzyła zwolna udając się w dalszą drogę, imię jój Agnieszka! pani Julia nieraz coś do siebie mówiła o „Agnieszce!..“ a dad z nią czasem długo też rozmawiał... może to—może to siostra d a d a... a p. Mitchell, to mój wuj!

Przystanąła i obejrzała się na szosę... Widziała Maryannę, zbliżającą się do Marcina i zatrzymującą go przy wejściu na pastwisko. Pomimo odległości dostrzegła na smutnej twarzy starca najprzód wyraz zdziwienia, po którym nastąpił natychmiast moment natężonej uwagi... nagle, O'Grady wzniosł obie ręce do góry, Hessa dostęszyła wyraźny okrzyk: Boże miłosierny w niebie! A potem oboje, Maryanna z Marcinem zwrócili się do miedzy—Marcin ją wyprzedził, ona go znów wstrzymała i, wskazując ręką ku czekającej Hessay, załamała przed nim ręce,...

Starzec, zdawato się, nie odrzekł ani słowa; z twarzą zwróconą ku przybranęj córce postać chwilkę w zamyśleniu, potem wszedł na miedzę. W milczeniu doszedł do Hessay—i w milczeniu wszyscy trójce spieszyli dalej, miedzą do polnej drożyny, ztąd zaś przez skoszoną łąkę i wzdłuż zaptocia Mylesowego ogrodu — do kamiennego muru, otaczającego chatę w Knyverton.

Ścieżka pod murem sprowadziła ich na gościniec, przed chatę. Kilka kobiet i grupa drobnych dzieci stała w ogródku; dziatwa zaglądała do okien, kobiety żywą między sobą prowadziły rozmowę. Na widok farmera O'Grady i tej, którą po całym sąsiedztwie zwano „małą panią“, gwar ustał.



— Jest gospodarz w domu? — zapytał Marcin po gaelicku najbliżój stojącą włościankę.

— Nie ma, rzetelny Marcinie z Topoli.

— A ten koń czyj? — dodał, wskazując na przywiązanego za uzdę do jabłoni wierzchowca.

— A jużci z pałacu, co na nim przyjechał Jan Mitchell do swojej biednej...

O'Grady z Hesterką i Maryanną wszedł do chaty...

Z przeciwnéj strony od téj, z kąd przyszedli do Knyverton mieszkańcy Topoli, na wschód od gościńca, wznosiły się stopniowo, tarasowo, znane nam już pagorki tramorskie. Prawy ich stok zbiegał ku torfowiskom i moczarom; lewy zaś, albo wschodni, pokryty był gęstym lasem sosnowym, podszytym szkockimi świerkami, przez które nie podobna było dojrzyć zatoki morskiej, choć się rozlewała tuż, szeroką płaszczyzną, u stóp pagórków. Las, choć gęsty, zajmował stosunkowo wązki obszar, a wzdłuż zachodniej jego krawędzi prowadziła droga, schodząca jednym końcem do Knyverton, drugim—sięgająca parku pałacowego w Tramore.

Przebywszy park, kapitan Gandy zwrócił Ali Baszę na ową przyleśną drogę. Mimo niecierpliwości, z jaką z domu wyjechał, teraz opuścił cugle i nie spieszył się wcale. Raz nawet zatrzymał konia...

— Gdzież ja właściwie jadę?—pomyślał,—Mitchell nie bawi zapewne gdzieindziej tylko w Knyverton; — on przecież bezpieczny od kanalii... zbóje rozumieją swoją grę zbyt dobrze, by mieli się czepiać tych, co nie mają interesu w całej sprawie! Rzecz jasna, że jest w Knyverton... musiała nastąpić ostatnia godzina! A!

Plenipotent spowaźniał i długo stał w miejscu, chociaż nie-spokojne i gorączkowe jego ruchy sprawiły, że Ali to się cofał, to naprzód wysuwał. Kapitan możeby był i zawrócił już z drogi, zaniechał pierwszego zamiaru — odszukania przywiązanego sługi, gdy mu się zdawało, że w gąszczu świerkowym, o jakich sto kroków, dosłyszał czyjeś kroki. Sądząc, że to leśnicy dominialni, chciał zawołać na nich, wysłać jednego z nich do Knyverton... lecz téj saméj chwili zmienił myśl:

— Pojadę aż na kraniec lasu — rzekł sam do siebie—z tamtąd, niepostrzeżony, zobaczę co się dzieje przy chacie...

Ali Basza szedł stępa dalej. Prócz świergotania ptasząt w świerkach i nad lasem, żaden głos, żaden szmer nie przerywał spokojnéj ciszy, bo nawet żwirowy szum fali morskich ustał zupełnie w porze odpływu. Kapitan, zatopiony w swych myślach, nie zważał, jak Ali coraz częściej rzucał łeb w stronę gąszczu i strzygąc uszami, nozdrzami wciągał powietrze z rosnącym niepokojem... Gandy rad był w téj chwili, że Mitchell nie wracał, bo z najwyższego wzniesienia pa-

górką, na którym się właśnie znajdował, dostrzegł wyraźnie chatę Mylesa, a opodal niej... przywiązanego do jabłoni wierchowca.

— Musi więc już być koniec!... pomyślał, i jakieś, obce mu zupełnie, uczucie uroczystej, a zarazem przestraszającej go żałoby ogarnęło całą jego istotą i zakryło mu świat jednym całunem, po przez który widział w oddali tylko tę chatę i otaczających ją ludzi. Bezwiednie, machinalnie, odkrył głowę i spuścił ją na piersi...

— Kapitanie! ratuj się!! ratuj się! mord!

Ali Basza rzucił się gwałtownie w bok i zarżał—Gandy, odwracając się na siodle, rozpoznał Michała Mylesa, biegnącego ku niemu z pomiędzy świerków...

— Do Knyverton! kapit...

Jedną i tój samój chwili, Ali stanął dęba i dwa natychmiast po sobie następujące strzały rozdarły ciszę leśną! Koń, śmiertelnie ugodzony, zaślepiony — ryknął okropnie, przeciągle... stanął na tylnych nogach tak niemal prosto, jak człowiek—i gdy wszystkie echa lasu, pagórków, morza, skał i moczarów podjęły ten ryk straszliwy—runął całym ciężarem na ziemię. Raz jeszcze szyję wyciągnął... raz jeszcze łeb podniósł... potem krew czarna zalała mu chrapy, śmiertelny kurcz ściągnął jego boki—i Ali Basza żyć przestał.

Trwało to bodaj pół minuty. Kapitan z nogą zwicznietą i mocno potłóczony o pnie, na które z siodła wypadł, leżał na murawie, blady jak płótno i przerażouemi oczyma patrzył na śmierć Alego. Myles przykleknął i usiłował zdjąć mu but z nogi.

— Waryacie—zawołał plenipotent, z ręką wyciągniętą ku świerkom—tam leć i szukaj zbujów!.. pomóż mi wstać! ja sam pójdę! głupi!

— Your honour, to na nic się nie zda...

Ale plenipotent, piniąc się z wścickłości, podniósł się na rękę i zerwał, potem stanął. Widocznie jednak noga zwicznietą zbyt niemu dolegała, bo syknął z bólu i wsparł się na ramieniu Mylesa. Ten zaś zaledwie zdołał opanować i stłumić w sobie uczucia szydycznej złośliwości i zadowolenia, jakie chwilowo mu zajaśniały w oczach i wykrzywiły usta.

— Ja panu kapitanowi pomogę — rzekł — your honour pozwoli, aż do mojej chaty.

— Nie... nie tam!—zawołał kapitan—zostaw mnie tu, przy tém, (wskazując na zabitego konia)... idź do Tramore, sprowadź powóz!

— Panie kapitanie — odparł Myles — zostawić tu pana żadną miarą nie mogę!

Tu opowiedział, jak w drodze z miasteczka do Knyverton, zobaczył z daleka czterech zamaskowanych ludzi, z których dwóch miało strzelby. Sądził, że mogli to być złodzieje, polujący na zwierzynę dominiálną. Dopiero, gdy ujrzał zwolna jadącego kapitana, a równocześnie ludzi, wskazujących go sobie i kierujących ku drodze, pobiegł sam co sił naprzód by go ostrzedz przed niebezpieczeństwem... Niebezpieczeństwo zaś nie minęło jeszcze zupełnie, z bóje mogli znajdować się w po-

blizu, kapitan sam jeden i prawie bezwładny uledezby im musiał... Dla tego raz jeszcze naglił, by zejść do chaty. Gandy nie miał wyboru, a pilno mu było wysłać czempredzję obławę na morderców. Z największą więc trudnością, klnąc i przysięgając straszliwą zemstę całemu włościństwu baronii, powłókł się jak mógł, do zagrody tego, którego uważał za swego zbacwę.

W pośrodku wybielonój, obszernój izby — przyparte do ściany naprzeciw drzwi stało śmiertelne łożo, na którém w białej pościeli pasowała się — nie już ze śmiercią lecz z ostatkami życia... nieszczęśliwa kobieta. Twarzy jój nie podobna było dostrzedz, bo zasłoniła ją głowa starca, pochylonego nad nią, klęczącego przy łożu. Marcin O'Grady trzymał w gorącej dłoni lodowatą i już sztywniejącą rękę siostry, drugą ręką podtrzymywał jój głowę. Prócz ich dwojga w izbie, przy łożku, klęczała Julia Mylesowa, a z nią Maryanna odmawiała modlitwy. Mitchell stał najdalej od łoża, oparty o ścianę; starszy żołnierz zakrył oczy ręką i schylił głowę...

Uroczystą ciszę przerywały łkania Maryanny i od czasu do czasu głośniejsze przez nią wymówione słowo modlitwy. Staruszka Julia — tylko patrzyła przed siebie zbolałemi oczyma i głową poruszała... jak gdyby w téj chwili zapatrzona w przeszłość, rozpoznawała i ludzi i miejsca, lub odgadywała przyszłość wszystkim, prócz sobie. Wśród tego wielkiego spokoju, nie ustawał ani na chwilę szmer szeptu i przytłomionych westchnień przy łożu... Siostra się bratu spowiadała z żalnego żywota.

W przyległej izbie czekał kapłan i czekał Odkupiciel. Kapłan klęczał przed stołem, nakrytym obrusem śnieżnej białości; dwie świece woskowe paliły się bladym światłem w jasnym strumieniu słonecznych promieni — a między lichtarzami, mszalna bursa kryła Wijatyk. Za kapłanem klęczało i modliło się kilka kobiet i dziewcząt. Hessy cała we łzach, z oczyma wyniesionemi do obecności Pana Zastępów, zanosiła prośby żarliwe za umierającą — obok niéj klęczała Piotrowa Dogherty, ciotka Tadeusza i stara Kirwanowa.

Drzwi od izby śmiertelnój otworzono na rozcież. Kapłan przystąpił do stołu — potem, poprzedzony przez Marcina i Mitchella, niosących światełka, poszedł zwolna do łoża konającój. Za nim weszły kobiety.

Chora wsparta wysoko o poduszki, powtórzyła ledwie dosłyszczanym głosem akty, odmawiane przez kapłana — potem z twarzą rozjaśnioną niezmierną radością, pokorą i spokojem przyjęła Chleb wiecznego żywota. Powstali wszyscy i zbliżyli się do łoża — lecz O'Grady skłonił ręką.

— Hessy! — zawołał — przyjdź tu, moje dziecko... Agnieszko, patrz... oto córka twoja... skarb nasz — patrz, przebacz mi i błogostaw jój! Hessy, to matka twoja... moja biedna siostra!

Wśród ogólnego zdumienia, jakie nastąpiło po tych słowach Marcina, matka kostniejącemi rękoma przygarbnięta do piersi nawpół



nieprzytomną córkę i oblewała białe jęj czoło ostatniami łzami, jakie na tęg ziemi wylać miałal..

— Dziecię!.. dziecię!—szepiała, patrząc w jęj modre, zapłakane oczy z ostatnią siłą nieogarnionęj miłości macierzyńskiej — moje jedyne... moje maleńkie... córko moja...

Hessy twarzyczkę swą przytuliła do twarzy matczynęj—ich usta złączyły się w długim pocałunku...

— Mów do mnie... dziecię... moja Hessy!

— O mamol! mamol!..

— Mamol!.. jeszcze—jeszcze raz... moje dzieię, córko...

— Matuchno!.. o żyj dla mnie—dla nas! nie opuszczaj mnie! Ja ciebie tak kocham! tak bardzo, jak gdybym z tobą żyła całe życie... mateczko! O Boże!

— Niech cię, córko.. Bóg błogosławi... bliżęj—tu... Hess... ojciec twoj... Jan—Artur—Gandy... dzieię moje i—jego... czcij ojca... Marcin... Hessy... moje dziec...

Zwolna, zwolna opuszczaly się ręce konającęj z uścisku, w jakim trzymała głowę swęj córki. Ostatnie słowa wytchnęła z wzrokiem utkwionym w szeroko otwarte jęj oczy.. potęm na gasnących jęj rysach zachwiał się chwilkę ów tajemniczy powiew śmierci, który zawsze poprzedza rozłąkę duszy z ciałem—i twarz powlekl zwolna ostatni sen—wieczny.

— Wieczny odpoczynek racz dać Panie duszy Agnieszki! przemówił uroczyście kaptan.

— A światłość wiekuista niechaj jęj świeci! odpowiedzieli obecni.

Marcin O'Grady dotknął rękę sieroty, przytulonęj do ciała, chcąc ją odprowadzić od niego. Ręka tak niemal zimną była, jak ta, która spoczęła na dzieccka ramieniu...

— Wody! cucić jał zawołał starzec i odwrócił się ku obecnym... lecz widok jaki go uderzył, sprawił na nim okropne wrażenie! Rzucił się naprzód ku drzewom, wznosił obie ręce i ramiona do góry, potrząsł niemi bład, jak trup siostry, i stał tak, nie zdolny wyprzeć z ust wyrazów, które go dławily!

We drzwiach na rozcież otwartych stał plenipotent Gandy, sam bezwiedny, bezwładny, oparty na ramieniu Michała Mylesa. Oczy miał utkwione w dwa ciała na łozu—ręce bezsilnie opuszczone.

(Dokończenie następi).

# PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

„Adam Mickiewicz.“ Zarys biograficzno-literacki, skreślił Piotr Chmielowski. Warszawa i Kraków. Gebethner i Wolff. 1886. Dwa tomy.

Z dzieła Piotra Chmielowskiego przekonać się można, jak rozległą jest literatura dotycząca Mickiewicza, jak zasobnym źródłem szczegółów biograficznych, literackich, krytycznych i anegdotycznych, nagromadzonych przez dawniejszych i współczesnych pisarzy o pierwszorzędnym poecie polskim.

Rzetelną zasługą p. Chmielowskiego jest właśnie zebranie tej masy szczegółów o życiu i działalności Mickiewicza w jedną pokazną całość i przypatrzenie się wszystkim okolicznościom przez pryzmat krytyki naukowej. Ścisłość badania naukowego wymagałaby zapewne przede wszystkim ocenienia krytycznego wartości historycznej źródeł, z których wiadomości do biografii tak znakomitego poety, jak Mickiewicz, czerpać możemy, i to również pod względem wiarygodności i stanowiska autorów, jak i uzdolnienia ich naukowego, dającego im możność wypowiedzania zdań i opinii, zasługujących na rozbiór poważny <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Mickiewicz był jednym z tych ludzi, którzy sami o sobie nie lubią pisać, ani mówić. A jak niechętnie słuchał kiedy wypowiedziano mu w oczy pochwały, lub wygłaszano własne jego utwory, tak nierad był i owym biografiami, które pojawiły się jeszcze za jego życia. Najdawniejszą z nich ogłosił Leonard Chodźko w języku francuzkim, w dziele wydanem w Paryżu, w r. 1829 p. t. „Biographie universelle et portative des Contemporains.“ Kto inny byłby się może tém ucieszył, że w głośnej naówczas publikacji zamieszczono opis jego życia. Nasz poeta jednak doznał po przeczytaniu owe-

Biograf Mickiewicza nazwał swą pracę zarysem, nasuwając przez to czytelnikowi domysł, że dwutomowe dzieło, poświęcone rozbirowi żywota i działalności poety, nie wyczerpuje jeszcze przed-

go artykułu niemilego uczucia i oto słowa, jakie z tój przyczyny napisał w lutym 1830 r. do przyjaciela swego Franciszka Malewskiego.

„W biografach des Contemporains, moje życie z wymienieniem różnych domowych okoliczności i z nazwiskami osób zamieszczone za sprawą zapewne Leonarda Chodźki. Nie słusznież wołał ów Włoch: broń nas Boże od głupich przyjaciół! Jeśli ta bezwatydna biografia dojdzie kiedy do Litwy, może ktoś pomyśleć, że ją sam napisałem.“

Wkrótce potem, bo już w r. 1830 ogłosił francuz Alfons d'Herbelot w „Revue encyclopedique“ artykuł pod tyt: „Notice sur la vie et les poesies d'Adam Mickiewicz,“ podając rozbiór tłómaczonych podówczas na język francuzki utworów naszego poety, wraz z krótką wiadomością o jego życiu.

Upłynęło lat kilkanaście, zanim w r. 1841 ukazała się w Paryżu obszerniejsza biografia w „Galerie des Contemporains illustres, par un homme de rien.“ Autor jój Ludwik de Loménie, z wielkiem dla Mickiewicza uznaniem i uwielbieniem, rozpisał się o jego dziełach, nie pomijając i szczegółów biograficznych, których udzielił mu miał rodak poety nazwiskiem Chociński (zapewne Chodźko).

W ten sposób trzy już były biografie w języku francuzkim napisane, zanim w „Ogólniku naukowym,“ wydawanym w Poznaniu przez Poplińskiego i Łukaszcwicza, pojawiła się pierwsza w języku ojczystym rozprawka: „O życiu i pismach Adama Mickiewicza,“

Autor jój, zaszczytnie znany profesor Antoni Malecki, miał sposobność do bliższego poznania się z bawiącym wtedy w Wielkopolsce Franciszkiem Mickiewiczem, starszym bratem poety, a dowiedziawszy się od niego cokolwiek więdziej o młodocianych jego latach, udzielił tych wiadomości i szorazym kołom czytelników.

Artykuł Maleckiego, podznaczony tylko początkowemi literami A. M. napisany jeszcze w r. 1842, zawiera kilka nader zajmujących szczegółów o pobyciu Mickiewicza w gimnazyum nowogrodzkiem, o pierwszych jego próbkach wierszowanych (jak np. opis pożaru w Nowogrodku) i już z tój przyczyny, stał się dla późniejszych biografów źródłem nieobojętném. Minęło znowu lat kilkanaście. W czasopismach krajowych pojawiały się niekiedy krótkie o Mickiewiczu wiadomości, ale obszerniejszej jego biografii nikt nie ogłosił. Dopiero po śmierci poety, ukazało się kilka artykułów, jak np. księdza Jana Koźmiana w „Przeglądzie poznańskim“ z r. 1855, tudzież L. Siemieńskiego w odcinku „Czau.“ Obydwaj autorowie znali osobście Mickiewicza, czuli cześć wysoką dla jego geniuszu i charakteru; a jakkolwiek krótkie stosunkowo poświęcili mu wspomnienia, mają ono jednakże i zawsze mieć będą wartość niepospolitą, już z tego powodu, że pisali je do brzy znajomi, a nawet bliscy przyjaciele poety.

Do rzędu artykułów, godnych uwagi z tój samój przyczyny należą ogłoszone w „Czasie“ krakowskim z r. 1859 w numerach 117, 118 i 120 „No-



miotu, że stanowi jedynie kredkowy szkic, z którego późniejszy malarz-artysta, dobrawszy stosownych farb, utworzyć zdoła portret wieszczą skończony. Można by posprzeczać się nieco z autorem o wła-

tatki z życia Mickiewicza,“ których autor L\*\*\* (prawdopodobnie Eustachy Januszkiewicz herbu Lubicz), wiele zajmujących podał szczegółów.

W r. 1859 ukazały się znowu polskie biografie autora Tadeusza. Jedną z nich napisał Kaź. Wład. Wójcicki pod tyt: „Wspomnienia o życiu Adama Mickiewicza“ (Warszawa 1859), drugą Karol Estrreicher p. t. „Mickiewicz,“ rys biograficzny. Ostatnia praca była, o ile wtedy zrobić można było, najdokładniejszym opisem życia poety, a miała oprócz tego i tę wielką zaletę, że podawała obszerny materiał bibliograficzny, wiadomość o wydaniach poezyi Mickiewicza, o tłumaczeniach na obce języki, o utworach muzycznych, dorobionych do poezyi Adama, a wreszcie o rozmaitych jego portretach.

W kilka lat później, ogłosił przyjaciel Mickiewicza francuz Mainard, pod przybraném nazwiskiem Edmunda Fontille, książeczkę p. t. „Le prophète national de la Pologne, esquisse sur la vie et la croyance d'Adam Mickiewicz“ Paris 1863, (1864 wydanie powtórne). Dziełko to, napisano z wielkiém dla poety uwielbieniem, znaném jest i w tłumaczeniu polskiém, które wydano w Krakowie, 1863 r. z dodatkiem wiadomości o legionie wo Włoszech.

Okazuje się tedy, że jeszcze do niedawnych czasów, stosunkowo zbyt mało było wyczerpujących życiorysów Mickiewicza. Jakoż nie mogło być inaczej, dopóki się nie pojawiła tak ważna dla biografii poety publikacya, jaką jest wydana przez najstarszego jego syna, korespondencya Mickiewicza, obejmująca dotąd cztery dość spore tomy. Zawiera ona nie tylko listy poety, lecz i listy do niego, lub o nim pisane, słowem, materiał bardzo obfity i nader pożądany dla biografów. Równocześnie wydane „Listy z podróży“ Odyńca dostarczyły wiele szczegółów o podróży Mickiewicza po Niemczech i o pobycie jego we Włoszech; gdy prześliznę „Wspomnienia“ p. Maryi Goreckiej dały go nam poznać w życiu domowém, wśród rodziny, jako najlepszego męża i ojca. Dodajmy do tego „Listy“ Teofila Lenartowicza, „Pamiętniki“ Karola Kaczkowskiego, „Wspomnienia“ Nie-wiarowicza, „Pamiętniki“ M. Budzyńskiego; — ogłoszone przez Wł. Mickiewicza obszerne dzieło: „Współdział Ad. Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego,“ (Paryż 1877 r. tudzież drugie, wydane w języku francuzkim p. t. „Mémorial de la legion polonaise de 1848, croé en Italie par. A. Mickiewicz,“ Paris 1877), a zrozumieamy łatwo, w obco gromadzącego się w ten sposób materiału biograficznego, dla czego zabrało się równocześnie kilku młodszych pisarzów do skreślenia obszerniejszego dzieła o życiu i pismach Mickiewicza. Gdy atoli jeden z nich, Tretiak, poprzestał tylko na wykończeniu obszernego studyum o okresie wileńskim i kowieńskim, drugi zaś, Teofil Ziemia, w szczegółowych obrazkach, drukowanych w „Bibliotece Warszawskiej,“ Przewodniku naukowym (dodatek do Gazety lwoskiej), i w „Tygodniku ilustrowanym,“ prawie całe życie poety opowiedział, gdy inni wreszcie zajęli się

ściwość klasyfikacji dzieła; możnaby wyrazić wątpliwość, ażali rzecz literacka w dwóch pękatych tomach zawarta, odpowiednio z rarysem nazwaną została; w każdym jednak razie, po uważnem odczytaniu dzieła Chmielowskiego, wyradza się to przekonanie, że o Adamie Mickiewiczu możnaby napisać inaczej; ale więcéj nad to, co dał obecnemu czytającemu ogółowi Chmielowski, chyba że byłoby trudno.

Biografowie wielkich ludzi znajdują się zawsze w sytuacji drażliwej.

Jeśli uniesieni gicuiuszem swego bohatera, nie zachowują należytej miary w ocenie doniosłości jego zasług, spotyka ich zarzut bałwochwaltstwa; jeżeli zaś trzymają się na stanowisku bezwzględного sędziego, narażeni są na zarzut niemniej dotkliwy, że świętokradzką dłonią zrywają z czoła bohatera wieniec nieśmiertelności. Droga pośrednia jest rzeczą temperamentu pisarza, jego zdolności do wyrażania opinii własnych w sposób mniej lub więcéj obiektywny, przede wszystkim zaś, jest wynikiem wrodzonego daru do odczuwania piękności i zalet utworów poety, którego biografią się pisze.

Chmielowski nie jest entuzyastą. Poezya nie unosi go i nie rozpala. Idąc śladem estetyków-pozytywistów, których jest adeptem (Taine), nie powoduje się w sądach o poetyckich utworach wrazeniem harmonii dźwięków i grą kolorów, lecz jak *vivisector* rozciąga rymowaną myśl na deseczce chłodnego rozumowania, przytwierdza tę myśl szpilkami krytyki do ramek zdrowego rozsądku, a odarty poetycką ofiarą ze skóry rymów i metafor, bada przez mikroskop logiki nerwy prozaicznej myśli, ukryte pod przenośnią poetyckiego obrazu. Jest to metoda nader niebezpieczna dla poetów, sądzących, że szata poezji można okrywać czczość myśli. Poetom atoli tego, co Mickiewicz autoramentu, metoda krytyczna nie czyni najmniejszej szkody. Wychodzą oni z krytycznego prosektoryum cali i nietknięci, i to właśnie stanowi niespożytą ich utworów wartość i zasługę.

O ile pamiętamy, badacz Taine, w którymś z ustępów świetnej swéj literatury angielskiej wyraził zdanie, że poemata i w ogóle dzieła fantazyi twórczej, należy rozpatrywać jak odcisk muszli w warstwie kamiennéj, w której ongi przebywała istota żyjąca.

Jak owa istota, ślad swego chwilowego istnienia pozostawiła w skamieniatéj formie, tak téż poza produktem fantazyi domyslać się należy umysłu, który żył, działał i ślad swego życia i działania pozostawił w skryształizowanéj formie poematu.

Tego rodzaju pogląd otwiera dla badacza szerokie pole do analizy tych wszystkich wpływów miejsca, czasu i wypadków historycznych, które się złożyły na nadanie myśli poety téj a nie inuégj formy tego a nie innego wyrazu.

Jest to zatém stanowisko, z którego przeważnie wzgląd na ten-

---

rozbiorem jego dzieł (Zathoy, Bigoleisen, Zgliński etc.) p. Piotr Chmielowski celem uczczenia trzydziestoletniej rocznicy śmierci Mickiewicza, wystąpił z dziełem dwutomowém, które stanowi przedmiot niniejszego sprawozdania.

dencye, oraz na interesa społeczne, przewodniczy analizie utworów poetyckich (jak to np. uwydatnił Spasowicz przy rozbiórce znaczenia poezyi Wincentego Pola), w przeciwstawieniu do metody krytyki estetycznej, której się trzyma z wszystkimi innymi badaczami estetyki prof. Tarnowski. P. Chmielowski postępuje z zupełną świadomością celu przeważnie drogą, wskazaną przez poglądy Taine'a i Spasowicza.

Nie znajdujemy zatem w rozpatrywaném dziele estetycznych zachwyków nad pięknością wiersza i formy utworów Mickiewiczowskich, lecz natomiast spotykamy wyrażone na zimno bez entuzjazmu zdanie, że wypowiedzenie téj lub owéj myśli, w takiéj lub innéj formie, było koniecznym następstwem usposobienia poety, w jakim się znajdował w chwili, gdy utwór swój pisał lub improwizował i tych wszystkich wpływów otoczenia, miejsca i dziejowych warunków, jakie towarzyszyły genezie danego poetyckiego utworu.

Nie zastanawiając się bliżej nad właściwością lub niewłaściwością takiéj właśnie metody badania utworów zmiennéj fantazyi poetyckiej, gdyż to zbyt daleko odwiodłoby nas od zamierzonego zadania, przystąpmy do opisu rusztowania, na którym p. Chmielowski wzniósł gmach, poświęcony pamięci Mickiewicza.

Dwutomowe dzieło p. Chmielowskiego dzieli się na cztery „księgi.“ Tom pierwszy obejmuje księgi: na Litwie i w „Rosyi;“ tom drugi: „podróż po Europie“ i „Osiedlenie się na obczyźnie.“ Każda z ksiąg dzieli się na rozdziały i poddziały, obejmujące w skończonych zarysach pewne stanowcze fazy w życiu poety. Archiwum notat źródłowych, podanych na każdej prawie stronicy dzieła, jakkolwiek, jakto następnie wykażemy, nie kompletnych, jest dowodem skrzętności pisarza w zestawieniu materiału przedmiotowego i w ugrupowaniu faktów w chronologicznym porządku. P. Chmielowski pragnął być miejscami do tego stopnia skrupulatnym, że dla skreślenia kilku nastu wierszy, opisujących miejscowość, w której znajdował się domek rodzinny Mickiewiczów, gdzie przyszły wieszcz pierwszela swego dzieciństwa przebył, autor wybrał się umyślnie do Zaosia, aby sprawdzić na miejscu położenie łąk, pastwisk i moczarów Kołdyczewskiego jeziora, obeznać się z kierunkiem traktu nowogrodzkiego, z którym zbiegała się „droga ze Skrobowa, Tracewicz, Tuchonowicz i Cyryna do Stwołowicz.“

Ostrożnie podając Nowogródek jako „najprawdopodobniejsze“ miejsce urodzenia poety, Chmielowski w końcu pierwszego tomu krytycznie rozbiera wszelkie dane, odnoszące się do tego faktu, a wybierając między Zaosiem, Ossowcem i Nowogródkiem, przechyla się ostatecznie na korzyść téj ostatniej miejscowości <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Prof. Antoni Małocki przesłał w początku lutego 1886 r. list do „Tygodnika Ilustrowanego“ (zob. nr. 163, 164 i 165 r. b.), w którym, rozbiegając kwestyą o do „miejsca urodzenia Adama Mickiewicza,“ oświadcza na podstawie świadectwa Franciszka Mickiewicza, starszego brata Adama Mickiewicza, że żadnej z wzmiankowanych miejscowości (Ossowiec podobno w okolicy nowogródzkiej) wcale nie istnieje i nikt jego istnienia nie



Z Nowogródka prowadzi nas autor do Wilna, gdzie poznajemy ówczesne stosunki uniwersyteckie i owych niepospolitych profesorów, którzy nie tylko umysły, ale i serca kształcić umieli.

W poprzednich swych pracach dał już p. Chmielowski dowód znajomości tych stosunków; nadarzyła mu się więc z powodu Mickiewicza nowa sposobność do opisanja tyle zajmującej w dziejach narodu epoki i wyjaśnienia wpływów, jakie się odbyły na wrażliwej naturze Mickiewicza, podczas studyów uniwersyteckich.

Młodość Mickiewicza wiąże się ściśle z dziejami uniwersytetu wileńskiego za kuratorstwa księcia Adama, z losami Towarzystw szubrawców i filomatów i z całym ruchem emancypacyjnym umysłów ówczesnych w kierunku liberalnym.

Pobyt Mickiewicza na profesurze kowieńskiej opowiedziany na podstawie źródeł najwiarogodniejszych, a dla uzupełnienia tego, co mówi autor, nie od rzeczy będzie dodać tu drobny szczegół, zamieszczony w Kuryerze litewskim z r. 1820 (dodatek do nr. 87) z d. 21 lipca. Przyczynia się on bowiem cokolwiek do poznania Mickiewicza na skromnym stanowisku nauczyciela szkoły kowieńskiej, która niewątpliwie za jego wpływem, wówczas właśnie zaczęła się podnosić, a nawet na publiczną zasłużyła sobie pochwałą.

„Szkoła kowieńska najbliżej z pomiędzy szkół akademickich ku Wilnu położona, a ztąd mogąca wygodniej nad inne dostarczyć dobrych uczniów dla uniwersytetu, zwróciła na ten raz uwagę osób, których dobro instytucji krajowej w miarę ważności swojej obchodzi. Nadto, powzięta jest niepłonna wiadomość o znaczym teraz zwłaszcza postępie w naukach i ochocie uczniów, jako o skutku gorliwości przełożonego szkoły i całego zgromadzenia nauczycieli.“

W dalszym ciągu czytamy, że szkole kowieńskiej ofiarował ktoś kilka dzieł naukowych, które otrzymać mieli uczniowie najpilniejsi z powodu egzaminu publicznego. „Akt popisu — są słowa Kurjera litewskiego, otwarty został przemową w polskim języku przez ucznia Bernarda Gedymina, daną od nauczyciela literatury, J. P. Mickiewicza, zamknięcie owego nastąpiło po rozdanych nagrodach przez tegoż nauczyciela, który w swym głosie, dawszy uczuć obdarzonym uczniom szacunek otrzymanych darów, dalszych do naśladowania wzywając, ważność dobra nauk w żywych myślach okazał. Nakoniec złożywszy winne uwielbienie wspaniałości darodawców, któ-

pamięta), nie można uważać za miejsce urodzenia Adama Mickiewicza, ale że jest nią inna, tak drobna i nic nie znacząca miejscowość, że w niej poeta nasz tylko tyle, że na świat przyszedł, ale w niej zresztą przez całe swoje życie ani dwudziestu czterech godzin nie spędził.“ Rezultatem ciekawych wywodów sz. profesora, któremu historia literatury naszej już tyle ważnych wiadomości zawdzięcza, jest, że Adam Mickiewicz przyszedł na świat podczas podróży rodziców jego z Nowogródka do Zaosia, prawdopodobnie w karczmie nade drogą położonej, z której albo już śladu nie ma, albo też była nią Wygoda, położona o jakie  $\frac{1}{4}$  mili przed Zaosiem. Red.

rzy się do podnoszenia i ożywiania nauk z tak zbawienną pomocą przychyłać raczą, wdzięczne wyrazy przytomnej publiczności za darowane chwile oświadczył.“

Zakończenie sprawy filareckiej zamyka pobyt Mickiewicza na Litwie i kończy pierwszą księgę dzieła p. Chmielowskiego.

Księga druga, oznaczona napisem: „W Rosyi,” przedstawia pobyt Mickiewicza w Petersburgu i Odesie, wycieczkę jego do Krymu, wyjazd do Moskwy i powtórny pobyt w Petersburgu.

Czytelnicy „Biblioteki Warszawskiej“ mieli niedawno sposobność poznania tych wszystkich szczegółów z artykułu T. Ziemy p. t. „Petersburg, Odesa i Moskwa“ (ustęp z życia Mickiewicza, drukowany w zeszytce majowym za r. 1884) a kto wie czy, czytając dzieło p. Chm, nie znaleźliby w nim ustępów prawie dosłownie ztamtąd powtórzoney ch, np. opis improwizacyi u Bonawenturów Zaleskich w Odesie.

P. Chm. nie powołuje się wszakże na ów artykuł, lecz na inny i drukowany dawniej, w „Bibl. Warsz. w t. IV z r. 1857. Szkoda tylko, że go niewłaściwie w przypisku na str. 328 t. I zanotował, gdyż nie wspomnienia o Mickiewiczu, lecz „Pamiętniki Franciszka Kowalskiego“ był jego tytuł. Drobnym to zapewne szczegółem, ale dla dokładności bibliograficznej należy go przecież sprostować ponieważ taki sposób postępowania obraża zasady i metodę badania naukowego.

Już sama ta pomyłka w tytule mogłaby nasuwać przypuszczenie, że p. Chm. nie czytał owego artykułu, lecz korzystał z niego z drugiej dopiero ręki. Czyżby bowiem inaczej powstało tak rażące podobieństwo, jakie się okaże z porównania następującego:

*W artykule Teofila Ziemy p. t. „Petersburg, Odessa i Moskwa“ zamieszczonym w „Bibl. Warsz.“ (Maj, 1884, str. 222) czytamy:*

*W książce p. Chmielowskiego w t. I, na str. 328:*

„Pewnego wieczoru było u Bonawentury Zaleskiego liczne i z najświetniejszych gości zebrane zgromadzenie. Już w salonie odezwały się dźwięki fortepianu, gdy w tém wszedł jakiś książe grecki, w greckim fantastycznym stroju, a tuż za nim ukazał się jego niewolnik, murzyn, który stanął przy drzwiach z wyrazem smutku na twarzy.

„Pewnego wieczoru było u Bonawenturów Zaleskich liczne i dobrze towarzystwo. Już w salonie zabawiano się, gdy wszedł jakiś książe grecki, w stroju fantastycznym, a tuż za nim ukazał się niewolnik murzyn, który stanął przy drzwiach z wyrazem smutku na twarzy.

Ignacy Miączyński prosi w tej chwili poetę, aby improwizował, a gdy ten pyta o temat, wskazuje

Ignacy Miączyński prosi poetę, aby improwizował, a na zapytanie o temat wskazuje przybyłego mu-

mu stojącego przy drzwiach murzyna. Po krótkim namyśle posypały się piękne wiersze, w których zawarty był cały obraz niewoli biednego murzyna. Była więc tam i jego ojczyzna, i matka, od której go oderwano i narzeczona, którą musiał porzucić w chwili, gdy go pochwycono i sprzedano. Wszyscy podziwiali piękność tej improwizacji, a książę grecki, któremu ją wkrótce wyłomaczono, darował wolność owemu murzynowi <sup>1)</sup>.

ryzna. Po krótkim namyśle wypowiedział Mickiewicz wiersz, przedstawiający losy nieszczęśliwego: mówił o ojczyźnie, o matce, od której go oderwano, o narzeczonej, którą musiał porzucić, gdy go sprzedano.

Książę grecki, któremu wiersze te wyłomaczono, miał podobno obdarzyć murzyna wolnością.<sup>4</sup>

<sup>1)</sup> W przypisku do przytoczonego ustępu czytamy u p. Chmielowskiego: F. Kowalski: Wapomnienia o Mickiewiczu w Bibl. Warsz. 1857, t. IV. "Otóż znowu dla dokładności porównania wypada nam się przekonać, czy istotnie ustęp powyższy wzięty jest wprost z owych mniemanych „wspomnień“ a raczej, jak to wyżej okazaliśmy, „Pamiętników Fr. Kowalskiego.“

W „Bibliot. Warsz.“ z r. 1857, (t. IV, na str. 379), znajdujemy opowiadanie następujące:

„Weszliśmy na salę, gdzie się już odzywał fortepian; damy grały i mężczyźni popisywali się muzyką, a mój towarzysz podróży, Mikołaj Nowowiojski, biegły fortepianista pięknym odegraniem jakiegoś Bethovena sztuki, zasłużone otrzymał oklaski; pochwała i ściśnienie ręki Mickiewicza wprawiło go w zachwycenie. Damy znowu Mickiewiczowi kazały śpiewać; usiadł przy fortepianie i na podany temat, jak zwykle, improwizował. Słuchaliśmy, jakby oczarowani jego wejrzaniem i głosem, a glucho milczenie ogarnęło wszystkich. W tém, wśród tej cichości, wśród tego cichego zachwycenia otwarły się zwolna drzwi i wszedł nowy gość, który nie chcąc mieszać tej czarującej sceny, kiedy wazyacy zajęci byli słuchaniem genialnego wieszczka; z niemym ukłonem szedł po oichu na palcach, usiadł przy panu Bonawonturze i w milczeniu słuchał. Był to średniego wieku mężczyzna, książę jakiś grecki, w greckim fantastycznym stroju, zamieszkały w Odosie, emigrant z czasu wojny o niepodległość greków z turkami r. 1821—23. Smagławej nioco twarzy orlego nosa, oczu i włosów czarnych, włosów potężnych, wciętej i zgrabnej kibi, szczególnie nam wołyńskom podobał się z ujmującego wejżenia. Tuż za nim wszedł murzyn, jego niewolnik, również w greckim stroju, i stanął przy drzwiach nieruchomie ze smutną i melancholijną twarzą. Po skończeniu pieśni, której treść była jakaś miłosna czy sielankowa, gwar się obudził, wazyacy dziękowali poccie, klaskali i książę grecki dopiero głośno się witał z gospodarzem, gospodynią domu i znajomymi, a mówił tylko po rosyjsku, dość niewprawnie jak poczynający uczeń, odzywał się też i po francuzku. Po ucieszeniu się nieco powszechnej rozmowy, Ignacy Miączyński zbliżył się do siedzącego jeszcze przy fortepianie Mickiewicza, ściśnął go za rękę z uczu-



W opisie znajomości Mickiewicza z Karoliną z Rzewuskich So-  
bańską, poszedł p. Chm. wiernie za artykułem Aëra, drukowanym  
dawniej w „Ateneum.“ Czy z istotną korzyścią dla prawdy? zwłaszcza,  
że sam w inném miejscu stwierdza fantazyjność opowiadania,  
które wypłynęło z pod pióra Rzążewskiego. Może później dostarczą  
do téj chwili w życiu poety więcej szczegółów „Pamiętniki Henryka  
Rzewuskiego,“ jeżeli kiedyś (za wskazówką Steckiego, podaną w „Kłó-  
sach“ z r. 1877) zdołamy je odszukać.

Do znajomości Mickiewicza z Puszkinem, o czém dość obszernie  
rozpisał się p. Chm., dostarczą więcej szczegółów „Pamiętniki d-ra

ciem i przemówił: „Boski wieszczu nasz, Tobie słowa boskie z wieszczych  
wylewać piersi, a nam słuchać, podziwiać, rozczulać się, unosić, zachwycać  
i dzięki Ci składać! Ale, jeżeli mi wolno, jeżeli śmiem w téj chwili chociaż  
gieniałnym twój imaginacyi skrzydłom nastreczyć innego rodzaju polot, abyś  
w serca nasze innego wlał rodzaju rozczulenie, zechciej nam zaśpiewać na  
temat jaki podam. Z największą chęcią, panie, jeżeli zdołam, a gdzie te-  
mat? Oto jest, spojrzij ku drzewom! I wskazał ręką stojącego u drzwi  
murzyna. Wszyscy ku niemu obrócili oczy, nawet książę grecki, który zro-  
zumiał o co chodziło i wielki poeta prosił tylko Miączyńskiego o chwilę cier-  
pliwości, a damę siedzącą przy fortepianie o akompaniament. I pomyślawszy  
kilka chwil, z oczyma ciągle w murzyna wlepionemi, rzewnie śpiewać zaczął.  
Niepodobna mi opisać wrażenia, jakie na słuchaczy wywarła ta pyszna jego  
improvizacya. W ciągu, a osobliwie przy końcu pieśni, niejedno w sali da-  
ło się słyszeć westchnienie, damy się aż do łez rozczulały. Wielki wieszcz,  
patrzac na murzyna, o którego imię wprzód się zapytał, przebiegał cało jego  
życie. Wystawił go najwpierw dziecięciem u piersi matki, potem chłopię-  
ciem, igrającem ze swymi rówieśnikami, potem dorodnym młodzieńcem, swo-  
bodnym, szczęśliwym w swój ojczyźnie na wybrzeżach Afryki, dalej zakocha-  
nym w dziewicy, z którą już miał się połączyć; odmalował najmocniej miłość  
matki i miłość dziewicy, nareszcie okrutną jego niewolę, kiedy go anglicy,  
czy francuzi kupili u królika, nacisnęli sochę na jego szyję i skrępowanego  
zawieźli do Kuby, gdzie nieszczęśliwy jęczy w plantacyach, na wieczną skaza-  
ny niewolę; zakończył jego łzami i rozpaczą matki i kochanki. Trudno so-  
bie wyobrazić, jakie wzruszenie pieśń ta sprawiła pomiędzy słuchaczami.  
Końca nie było wykrzyknikom, na rękach prawie podnoszono poetę, damy  
dziękowały mu ze łzami w oczach, a książę grecki, któremu tę improvizacyą  
dokładnie wytłómaczono, nie mógł się powszechnemu oprzeć uniesieniu, przy-  
stąpił, wziął i ścisnął go za rękę i oświadczył mu, że ten murzyn dotąd był  
jego niewolnikiem, ale od téj chwili jest wolnym a pieśń wieszczka jest wi-  
nien swoją wolność.“

Jakż więc z tego zestawienia wniosek, jeżeli nie ten, że p. Chm.  
nie czytał nawet tego ustępu; bo inaczej czyż byłby się mylnie powołał na  
Wspomnienia? Uznał więc, jako drogę krótszą powtórzyć dosłownie  
obrazek, który ułożył dr. Ziemia na podstawie „Pamiętników Fr. Kowal-  
skiego.“

Stanisława Morawskiego,“ obywatela powiatu Trockiego, jak o tém pisze Kirkor w książce „O literaturze pobratymczych narodów słowiańskich“ (na str. 178). Wspominamy o tém umyślnie na tém miejscu, w nadziei, że może w ten sposób przyczynimy się do wydobycia na jaw owego rękopisu. Znany bibliograf, dr. Wiśłocki, ogłosił przed kilku laty, że w bibliotece moskiewskiej znajdować się ma rękopis Maksimowicza, zawierający także obszerną wiadomość o pobycie Mickiewicza w Moskwie i o jego stosunkach z literatami tamtejszymi. Może ktoś z rodaków, bawiących w Moskwie, przysłuży się biografom poety i poda ów artykuł do wiadomości ogółu.

Teofil dr. Ziemia ogłosił w odcinku „Gazety Lwowskiej“ z r. 1883 (w n-rze z 12 maja), sześć nieznanych przedtém listów Lelewela do Józefa Mieczkowskiego, które są także w związku z pobytem Mickiewicza w Petersburgu. Nie wiemy, czy p. Chm. miał przed sobą owe listy, świadczące o wielkiej gorliwości, z jaką Lelewel dbał o sprawy materialne znanego z niepraktyczności poety.

Księga trzecia obejmująca „Podróż po Europie,“ zawiera najprzód opis pobytu poety w Berlinie, przypominający w niektórych ustępach znówu zbyt żywo artykuł „Biblioteki Warszawskiej“ („Mickiewicz w podróży po Niemczech i Szwajcaryi“), drukowany w r. 1884, tak, że nie tylko spotyka się ten sam układ, ale nawet prawie te same zdania. I tak:

*W artykule „Bibl. Warsz.“ na W książce p. Chm. t. II, str. 15: str. 44 (r. 1884, t. IV):*

„Niebawem nastąpiły serdeczne pożegnania, a niedługo potoczył się już powóz gościńcem drezdeńskim. się powóz gościńcem wiodącym ku Dreznu.

Wspominając o pobycie Mickiewicza w Karlsbadzie, należało może spożytkować także notatkę Kazimierza Jarochońskiego, podaną w „Kraju“ z r. 1884 w n-rze 36.

W opisie pobytu w Weimarze, nie widać u p. Chm. bliższej znajomości dziełka Wiktora Pavie, p. t. „Goethe et David, souvenir d'un voyage à Veimar.“ Angers, 1874.

Listy Goethego o Mickiewiczu, znajdujące się w 5-ym tomie (od str. 257—281) dzieła pod tyt. „Briefwechsel zwischen Goethe und Zelter 1796—1832“ (Berlin, 1833—34).

Gdyby autor i w tym wypadku zwrzął do źródła samego, a nie przytaczał z drugiej ręki, t. j. z tłumaczenia francuzkiego, podanego w „Mélanges posthumes,“ to byłby się przekonał, że Goethe, wówczas, gdy pomylił się co do osoby Mickiewicza i kogo innego wziął za niego, pisał właściwie tak do Zeltera:

„Der polnische Dichter besuchte mich, die Fürstin Wolkoński

begleitend mit grösserer Umgebung und hatte nicht den guten Sinn sich einzeln bei mir zu melden. Wäre man nicht auch in der Welt oft genug zur rechten Zeit unbeholfen gewesen, so würde man ein solches Betragen tadeln und schelten.“

Ustęp, a zwłaszcza ostatnie jego zdanie tak brzmi po polsku u p. Chm.: „Gdyby się na tym świecie nie wiedziało często jak niezręcznie ludzie (Goethe mówi tu przecie o sobie samym!) korzystają z pomyślnéj sposobności, trzebaby (możnaby!) zganić i wyrzucać podobne postępowanie.“ (Tom II, str. 20).

Szkoda także, że p. Chm. nie zajrzał do dzieła niemieckiego: „Rozmowy Eckermanna z Goethem,“ bo byłby nam wyjaśnił, dla czego rozmowa z Mickiewiczem tak Goethemu przypadła do smaku. Eckermann stwierdza bowiem, że Goethe właśnie długo przed przybyciem Mickiewicza czytał dzieło Bourienne'a o „Napoleonie W.“ i dzieło Segura o „Piotrze W.“, a prócz tego, czytywał pilnie głośne wtedy pismo paryzkie „Le Glóbe,“ które, jak wiadomo, i Mickiewiczowi dobrze było znane. Otóż w ten sposób obaj poeci mieli przedmioty do interesującej rozmowy.

Pobyt Mickiewicza we Włoszech i znajomość jego z rodziną Ankwiczków opisywano już tyle razy, że p. Chmielowskiemu trudno było powiedzieć w téj sprawie coś nowego. W opisie epoki drezdeńskiej i wreszcie pierwszych lat pobytu w Paryżu nie ma także nic tego, czegobyśmy już dawniej nie czytali w artykułach Teofila d-ra Ziemby: p. t. „Mickiewicz w Dreźnie“ i „Mickiewicz w pierwszych latach emigracji,“ drukowanych w „Przewodniku naukowym i literackim“ w latach 1883 i 1884.

Miejsc brzmiących prawie dosłownie tak, jak je podał autor wymienionych artykułów, moglibyśmy przytoczyć bardzo dużo, ale poprzestaniemy choćby na kilku następujących, które zestawimy dla lepszego porównania obok siebie

*Wartykule Teof. Ziemby w „Prze- W ksiązce p. Chmielowskiego, druwodniku naukowym“ z r. 1884, kowanej w r. 1886 w tomie II, na (str. 21): Str. 157:*

„W starożytném opactwie St. Germain, w téj samej sali, gdzie niegdyś Jan Kazimierz bolał z daleka od swéj ojczyzny, zebrała się teraz (t. j. 29 listopada) znaczna liczba polaków i francuzów. Począwszy od godziny 5-éj mówiono i czytano rozmaite mowy naprzemian w języku francuzkim i polskim, aż o ósméj dały się słyszeć okrzyki: „Niech żyje Lafayette!“ i wszedł stary towarzysz Kościu-

„W obszernéj sali opactwa St Germain, zebrała się w dniu 29 listopada znaczna liczba polaków i francuzów. Poczynając od godziny piątej mówiono i czytano rozmaite mowy to po polsku, to po francuzku. O ósméj dały się słyszeć okrzyki: „Niech żyje Lafayette,“ gdy ten stary towarzysz Kościuszki ukazał się w mundurze polskim. Zająwszy miejsce obok generała Dwernickiego, przemówił



szki, w mundurze polskim. Zająwszy miejsce obok generała Dwernickiego, przemówił krótko do zgromadzonych, poczem imieniem towarzystwa litewskiego i ziem ruskich ofiarował mu Juliusz Słowacki medal pamiątkowy.“

*Tamże, na str. 22:*

„Sam Słowacki wyznaje w liście już po upływie roku pisanym, że przeczytawszy ten ustęp (to jest o śmierci doktora w „Dziadach“), chciał się w pierwszej chwili strzelać z Mickiewiczem i napisał w tym celu list do Michała Skibińskiego, ażeby mu użyczył swęj pomocy.

Na szczęście posłuchał rady swego przyjaciela i odstąpił od zamierzonego pojedynku. Czując wszakże od tęg chwili otwartą względem Mickiewicza nienawiść (nienawidzę go!... pisał do matki), nie chciał się już odtąd z nim spotykać i dlatego postanowił opuścić Paryż.“

krótko do zgromadzonych; poczem, imieniem towarzystwa litewskiego i ziem ruskich ofiarował mu medal pamiątkowy Juliusz Słowacki.“

*U p. Chmielowskiego, str. 158:*

„...Słowacki w pierwszej chwili chciał się koniecznie strzelać z Mickiewiczem i w tym celu napisał list do przyjaciela swego Michała Skibińskiego, ażeby mu pomocy swęj użyczył. Posłuchał jednak jego rady i od zamiaru odstąpił, ale w duszy uczuł głęboką do poety naszego urazę, a nawet nienawiść. Nie mogąc znieść myśli, że pozostając w Paryżu, będzie się musiał z nim spotykać, wyjechał 26 grudnia do Szwajcaryi.

Uderzające podobieństwo obydwu ustępów tłómaczy się tym sposobem, że obrazy z trudem ułożone (na podstawie rozproszonych po pismach emigracyjnych szczegółów) przez autora artykułu „Mickiewicz w pierwszych latach emigracyi,“ miał p. Chmielowski już gotowe przed sobą i czerpał z nich obficie, nie uznając za rzecz potrzebną w przypisku o tém chociażby słówkiem nadmienić, że ktoś dawno przed nim to wszystko dokładnie opowiedział.

W księdze czwartég swojego dzieła opowiada p. Chm. Mickiewicza „osiedlenie się na obczyźnie.“ Mamy więc tu opowiadanie o małżeństwie poety, o jego kłopotach, usiłowaniach na polu autorstwa w języku francuzkim, o profesurze w Lozanie, objęciu katedry w kolegium paryżkiém, zjawieniu się Towiańskiego u Mickiewicza i wpływie, jaki zdołał wywrzéc na jego umysł. To wszystko, zarówno jak i ostatni okres w życiu poety, było tak obszernie opisane w artykułach prof. Ziemy, drukowanych w „Tygodniku Ilustrowanym“ w latach 1883, 1884 i 1885, że p. Chm. znowu miał i w tęg części pracę już bardzo ułatwioną.

Okres, obejmujący lata, w których Mickiewicz należał do

najgorętszych zwolenników Towiańskiego, nie dowodzi dokładnego rozczytania się w bogatym materiale do historii Towiańszczyzny, ztąd i przedstawienie tej sprawy wypadło bardzo słabo, a poeta nasz w książce p. Chmielowskiego tak opisany, jakby w całym tym okresie życia cierpiał na jaką chorobę umysłową. Jakaż to np. niefortunna myśl p. Chmielowskiego, aby dosłownie przytaczać ów artykuł z „Nowin“ lwowskich na rok 1854, w którym ktoś wielkiego wieszca naszego nazywa już tylko ruiną i niczém więcej!

W ogólności życie Mickiewicza, to życie tak piękne, tak pełne poświęcenia i idei najszlachetniejszej, opowiedział pan Chmielowski bardzo chłodno, w charakterze kolekcjonisty, któremu należy na dobórze rozmaitych drobiazgów, byleby tylko wystawa była pokaźną i obfitą. Aby się rozmiłować w poecie, takiego jak Mickiewicz polotu, trzeba być samemu choćby troszeczkę poetą. P. Chmielowski zbyt ziemsko, zbyt prozaicznie pojął wielkiego wieszca. Natchniony bard, twórca improwizacji i pana „Tadeusza“ wychodzi z [pod pióra p. Chmielowskiego jako niepospolity, genialny pisarz. Rysy tego, o którym Krasieński w listach do ojca pisał: „że jako człowiek jest jeszcze piękniejszy niż jako poeta,“ nie rzeźbią się w umyśle czytelnika, przy rozpatrywaniu kartek dzieła Chmielowskiego, nie promieniają aureolą natchnienia, lecz występują prozaicznie, jak na owęj znanej, ze sztychu robionej fotografii, na której Mickiewicz przedstawionym jest z seką w ręku.

Ów chłód i zimna analiza nie opuszczają p. Chm. nawet przy opisie epizodów sercowej natury, nader powabnie nadających się do dramatyzowania. Mówimy tu np. o stosunku akademika Mickiewicza do Maryli Wereszczakówny.

Owa narzeczona p. Wawrzeńca Puttkamera, pierwszy ów gwóźdź wetknięty w wieko trumny złudzeń i rozczarowań poety, wychodzi w opowiadaniu p. Chm. nader światowo i prozaicznie.

„Była śmielszą z mężczyznami, pisze o niej p. Chm. gdyż nikt jój posądzić nie mógł, iż pragnie pozyskać męża.“ Co do Adama, „tyle w nim możemy przypuścić trzeźwej myśli, iż grzeczności narzeczonej Puttkamera, nie mógł poczytywać za objaw namiętnego uczucia, a zapewne i sam w owych chwilach, oprócz miłego rozmarzenia, oprócz snucia rojeń nieokreślonych, nie doznawał żadnych udręczeń miłosnych.

Niemniej doskonałą okazją dla entuzjastycznego biografa do skreślenia kilku słów gorętszych byłby pierwszy wiersz Mickiewicza odczytany w gronie filomatów w r. 1818

Pusłuchajmy opinii p. Chmielowskiego o tym utworze:

„Ma on formę listu poetycznego, którego pierwsze wzory podał Horacy, a następnie Boileau u francuzów, Krasicki i Trembecki u nas. Wiersze są poważne, trzynasto-zgłoskowe, rymują się parami i stanowią szereg dwójek po żołniersku równym jednostajnym idących krokiem. Staranie o poprawność rymów jest tak wielkie,

że na 50 owych dwójek, składających całość, więcej niż połowa, bo 26 ma rymy utworzone z odmiennych części mowy (przymiotnik, rzeczownik, przysłówki—reczownik, czasownik), a zaledwie kilka powstało z tych samych form gramatycznych (odkrywa—bywa; obawy—sławy; szlachetny—świetny).

Czy istotnie poeta, choćby początkujący, pisząc jakiś utwór ma na względzie, aby przypadkiem w rymach jego nie znalazły się dwie jednakie formy gramatyczne? To kwestya wysoce wątpliwa“...

O jednym z krótszych wierszy mówi nasz autor: „byłto szłał zmysłów młodzieńca, o namiętnościach z e ś r o d k o w a n y c h“ (?) (T. I str. 330).

O prześlicznym wierszu, pisany na górze Splügen, czytamy w t. II str. 40: „Było to poetyczne wyładowanie (!) wczbranego uczucia.“

O Grażynie (t. I str. 280) powiada autor, że „ma w budowie błędy znaczne“ o Dziadach (t. I, str. 268), „że myśl krytyczna (!) gubi się wśród różnorodnych przypuszczeń, gdyż nie ma od autora uawet najślabszej i najdalej wskazówki.“

O „Wallenrodzie“ czytamy na str. 415, „że jako całość i jako kompozycja ma błędy znaczne, ale w szczegółach nie ma sobie równego“.

Dla „Pana Tadeusza“ jest krytyk o wiele łaskawszy. Opowiedziawszy dość szeroko treść jego i podawszy charakterystykę osób głównych (np. Telimena „to litwinka poczciwa, dobrem sercem obdarzona, trzeźwa w ocenie stosunków życiowych najbliższych“ t. I, str. 212) mówi nareszcie: „I r o n i a, a l e i r o n i a ł a g o d n a, p o b ł a ż l i w a, n a j s z e r z e j s i ę r o z l a ł a p o c a ł y m p o e m a c i e“ (t. II, 228). Czyż naprawdę i r o n i a jest tą cechą najwybitniejszą owego utworu, o którym przed półwiekiem krytyk niemiecki, Willibald, znając go tylko z lichego tłómaczenia (Spaziera) mógł wyrzec, że choć nie zna Polski, kraj ten jednakże po przeczytaniu P a n a T e d e u s z a s t o i m u ż y w o p r z e d o c z y m a?

P. Chm. żałuje, że w Tadeuszu „nie ma typu mieszczanina,“ choć sam w końcu przyznaje, że na wsi nie było dla niego miejsca. Powtarza wreszcie dawno rzuconą myśl, że nie ma w nim także „kobiety obywatelki.“

Powyżej przytoczone uwagi nad sposobem traktowania utworów poetyckich Mickiewicza, bynajmniej nie mają na celu przedstawienia metody biografą w niekorzystnym świetle. Służą one jedynie do uwydatnienia charakterystyki pisarskiego jego usposobienia, jego temperamentu chłodnego, refleksyjnego, trzymającego nieustannie na wodzy wszelkie porywy fantazyi czytelnika; ale uważamy to za wadę dzieła, że epitetami okolicznościowymi bez dokładnego wymotywowania, rzuconym potocznie przymiotnikiem (I, str. 239—242, 243 cf. 437), nie waha się autor charakteryzować utworów takiego poety, jak Mickiewicz. Dzieło p. Chm. przedstawia tedy niektóre słabe strony



pod względem metody badania historycznego i pod względem sposobu krytyki estetycznej utworów poetycznych Mickiewicza.

Wskazawszy ujemne--należy równocześnie zwrócić uwagę czytelnika na dodatnie strony pracowitego dzieła p. Chmielowskiego. Ustęp „Zarysu“ traktujące o rozwoju umysłowości naszej i o fazach, jakim rozwój ów podlegał pod wpływem literatur zagranicznych, wysokości są wartości nie tylko pod czysto literackim względem, bo wykazując, że tym samym wpływom podlegał i umysł Mickiewicza, do tego przyczynia się że czytelnik, śledząc stopniowy rozwój i doskonalenie się poety, może mieć zwierciadło i genezę tój świetności, do jakiej doszła literatura polska w pierwszej połowie bieżącego stulecia, świetności, z której pomimo chwilowych ewolucyi zastoju to znowu ruchu gorączkowego nie zesza dotąd jeszcze.

Bez względu na zaznaczone powyżej usterki, nieodłączne od pierwszej próby przedstawienia w szerokich rozmiarach całości tak pięknie wypełnionego życia Mickiewicza, dzieło p. Chmielowskiego pozostanie w literaturze jako praca niepośledniej wartości, jako materiał skrzętnie zebrany i dosyć okrzesany, nie tylko dla dziejów umysłowości polskiej w pierwszej połowie bieżącego wieku, ale i dla historii ogólnej narodu z tój epoki, szacowném z bogaceniem literatury polskiej.

W czasach, gdy działalność pisarska rzeszy literackiej rozprasza się na lekką, fejetonową strawę, dziś czytana, a po chwili puszczaną w niepamięć, gdy tak mało dzieł gruntownych ukazuje się na widowni literackiej, pojawienie się dzieła tak poważnego i pracowitego, jak praca p. Chmielowskiego, zasługuje na zaszczytne wyróżnienie,

Dr. S. W.

---

Stanisław Budziński. „Z Obcego Parnasu.“ Warszawa, 1886 roku.

Przed trzydziestu laty ukazywały się w czasopiśmie warszawskich artykuły krytyczne i wiersze z podpisem „Bolesław-Wiktor.“ Był to młody prawnik, posiadający przytém niepospolite wykształcenie literackie i biegłość w kilku językach nowożytnych. Nęciła go poezya, zachwycali poeci. Pod wpływem tego zamiłowania dał nam udatne przekłady kilku dramatów, jako to Oelenschlägera „Corregio;“ Halma „Sermierz z Rawenny;“ Kalderona „Czarnoksiężnik.“ Po kilku latach, powołany na katedrę profesorską i do ważnych urzędów prawniczych, oderwał się od beletrystyki: aż oto ukazuje się znowu, pod prawdziwem nazwiskiem jako Stanisław Budziński, i wydaje zbiór wierszy pod ogólnym tytułem: „Z Obcego Parnasu.“ Są to same przekłady, czerpane przeważnie z Szyllera, Göthego, Heinego, Lermontowa. Znajdujemy tam wreszcie mniejsze i większe próbki poetów rozmaitej narodowości.

Książka, wydana starannie a nawet pod względem typograficznym wytwornie, nie zawiera jednak żadnego słówka od tłumacza, żadnego objaśnienia, z którego moglibyśmy powziąć wiadomość, kiedy te utwory wzięły początek, i czy przewodniczył im jakiś plan, jakiś cel szczególny. Na oko, książka ta przedstawia się jako prosta antologia, niezwiązana żadną myślą jedności, formująca się pod ręką autora, w miarę jak coś kiedyś czytał, jak coś podobało mu się do tyła, że doznał potrzeby i przyjemności przekładu. Wybór jest niezaprzeczenie dobry i wskazuje zuawcę, a nie trudno odgadnąć, że odbywał się latami: chwile, w których jakiś poeta obcy poczynął nabierać u nas rozgłosu, są jakby etapami wyboru (Heine, Tegner, Petöfi).

Wartość przekładów przedstawia się rozmaicie, a zależy od tego, w jaką formę ujęty jest tekst oryginalny. Tłumacz śmiały jest, ufny w giętkość swego języka, lubi rzucać się na zdobycze niebezpieczne, trudność go wabi i podnieca. Do takiej walki z formą wybrał na przykład Heinego, który lekkim technieniem wyrzuca najbarwniejsze girlandy kwiatów, układających się w obrazy urocze, ale tak subtelne, że je byle jaka niedokładność skazi i efekt ich harmonii zrukuje. Przy wiernym zachowaniu ogólnej myśli, ogólnego tła i formy mechanicznej, często też w tym przekładzie pieśni Heinego, któremu tłumacz najobszerniejszą część zbioru poświęcił, zważamy o takie małe usterki, nadwężające ogólny efekt. Tu rym zbyt ubogi, tam składnia nieswojska lub naciągnięta, wyraz zawiele lub zamało, czasami wyrażenie, z którego sprawy sobie zdać nie można, jak na przykład (str. 81): „ol zbyt dumne są me usta; w nich uścisk i żart się mieści...“ Jak w ustach może się mieścić uścisk? Cały wreszcie ten ośmiowiersz, dzięki końcowi, jest niezrozumiały. Wszędzie prawie widać trud, ażeby w krótkie i wązkie ramy wcisnąć myśl i obraz oryginału, kiedy sama natura języka jako pierwsza występuje przeszkoda. Pieśni Heinego, jak owe drobne kompozycje fortepianowe Schumana, zatyłowane „Dichterliebe,“ gdzie niewiele nut a dużo uczucia, gdzie z prostotą ułożony akord lub kadencya, posiadają głęboką wymowę serca. Niechby kto spróbował zmienić parę tonów pojedynczych w strofie, a zaburzy całą. W podobnym położeniu znajdzie się każdy tłumacz Heinego. Najzręczniejszy nawet zawadzi o jakiś szkopół językowy lub formalny, którego nie wymienie szczęśliwie. Dla tego też i nie dziwimy się p. Budzińskiemu, że nie był szczęśliwszym od innych, których nęciły te próby. U niego znajdujemy i dobre pojęcie i zręczność, które nie zawsze tylko sprostać mogą naturalnym trudnościom przedmiotu. Dowód zręczności mamy w kilku wierszykach wykonanych bez zarzutu, na przykład:

„Gdy marząc w wieczornój ciszy,  
Po leśnym błąkam się mroku,  
Zawsze mi tam towarzyszy  
Twa postać pełna uroku.  
Cóż to? czy w białej osłonio  
Two lube błyszczą obliczo?

Czy księżyc przez gęstwin tonie  
Promienio śło tajemnicze?  
Co slyszę? czy ma lza własnna  
Po licu oieho się stacza?  
Czy płacząc, twa postać jaana  
Podąża obok tulacza?..

Jeżeli w grupie wziętej z Heinego niewiele znajdziemy całostek tak okrągłych, są tam atoli udatne strofy pojedyncze, tak iż cała grupa, jeżeli nie pod względem pełności wrażenia estetycznego, to przynajmniej pod względem myśli i manieri dość wiernie przedstawia Heinego, jako pieśniarza.

Ogółem, w poematach dłuższego rozmiaru, formy rozciąglejszej i mniej piosennej, tłómacz, mniej napotykać trudności, szczęśliwiej je przewycięża lub obchodzi parafrazą. Lermontowa na przykład, poemat opisowo-dramatyczny „Chadzi-Abrek,” wyszedł wcale poprawnie. Co większa „z istotną przyjemnością czyta się ta pierwsza księga,—i to może najlepsza—Puszkinowskiego poematu „Oniegina,” który stanowi współczesne odbicie wpływu Don-Juana: przy ścisłym zachowaniu oktawowej formy oryginału, tłómacz wpada na ton odpowiedni i (wyjąwszy kilka strof początkowych) zgrabnie obraca frazesami dla przeniesienia humoru oryginału i zachowania jego swobody. Do najlepszych też robót należą przekłady obszerniejszego zakresu z Schillera jak: „Walka ze smokiem“ i „Pierścień Polikratesa,” pierwsza zwłaszcza z tych ballad. Liryki tegoż poety, któremu tłómacz najwięcej dał miejsca po Heinem, znowu ulegają choć w nierównie mniejszym stopniu losowi tamtych. Już tam napotykać się „sploty płonącej fali“ (str. 3), to znów „skowronek pieśń swą szerzy“ (str. 16) i tym podobne niezgrabności, które liczyć można więcej na karb zaniedbania niż nieudolności. Uwagę tę zachować wypada również, ale już do jednej tylko pieśni Götthego, bardzo przez Szuberta i Liszta spopularyzowanej p. t. „Król olch“ (Erlkönig). To czém poeta tak prostoprostą zaczyna legendę ludową:

„Wer reitet so spät durch Nacht und Wind?

—„Es ist ein Vater mit seinem Kind...

tłómacz przerabia na:

„Kogo tam w nocy unosi kół?

—„Ojca, na pierś mu syn schyla skroń...

To ciężkie wykręcanie słowami trwa do końca, a w tém bolesném łamaniu się z formą, spotykamy naprzykład taki wiersz: „groźne postacie olch króla cór,” gdzie trzy drugie przypadki stoją zuchwale przy sobie drwiąc ze stylu i harmonii. To tylko dowodzi, że niektóre teksty poetyczne są nie do przetłómaczenia w znaczeniu artystycznym, p. Budziński żądał niepodobieństw; wreszcie jego Göthe, zwłaszcza w „Apoteozie artysty“ przedstawiał się korzystnie. Łamiąc się wszakże z trudnościami formy, dla języka polskiego mało dostępnej, zwłaszcza, gdy piszący ograniczony jest warunkami myśli obcej, p. Budziński doszedł do pewnej gimnastyki, do pewnej biegłości, która mu rzeczy możliwe pozwała z łatwością odtwarzać; tak, iż wpośród wielu drobiazgów nietylko z Heinego, ale Bérangera, Ulanda, Geibla, Petöfic-



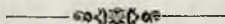
go i innych, można wybrać całości pieśniowe, do których tłumacz zda się mieć największą predylekcyą dla tego może, iż go najczęściej zdradzają zupełnie gładkie i dźwięczne.

Do tego zbioru dostał się ze swemi kilkunastu pieśniami kontrabandą Tomasz Padura, przetłómaczony (!) rozumie się wybornie: tylko pytanie dla kogo? Poeeci obcy potrzebują mieć reprezentacyą w języku naszym ażeby byli poznani w swym geniuszu i artyzmie przez ogół który zasila się krwią ich duchowego jestestwa; i dlatego też dzięki niech będą każdemu tłumaczowi, między innemi i temu o którym piszemy za pocziwą a niewdzięczną ich pracę, za to pośrednictwo, czyniące nas współbiesiadnikami najwspanialszej ucztu duchowej. Ale jakż zachodzi potrzeba pośrednictwa między braćmi? Czy Padury mamy szukać w „obcym Parnasie;“ czy jeśli wypadnie z niego coś zacytować, potrzebujemy go t ł ó m a c z y ć; czy nawet przy wydaniu całości niedosyć jest kilku u spodu objaśnień, dotyczących różnicy prowincjonalizmów językowych.

*Kazimierz Kaszewski.*

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.



Rzut oka na ważniejsze momenta życia publicznego w Europie. — Rezolucya sejmku pruskiego w celu tępienia narodowości polskiej w Prusach zachodnich, w W. ks. Poznańskim i na Szlązku. — Znaczenie mowy ks. Bismarcka, z dn. 28-go stycznia. — Projekt prawa regulującego sprawę kolonizacyi prowincyi wschodnich Królestwa pruskiego przez: 1) Kolonizacyą niemiecką; 2) szkołę, jako środek tępienia narodowości polskiej: a) Nauczyciele i nauczycielki szkół ludowych. b) Obostrzenie kar za nieuczęszczanie dzieci do szkół elementarnych. c) Szkoły uzupełniające dla terminatorów i rękodzielników. 3) Monopol lekarzy niemoów dla „szczepienia ospy.“ 4) Usunięcie potrzeby tłómaczów sądowych. — Projekt do nowego prawa, regulującego stosunki kościelno-polityczne. — Działalność polska na polu nauk w Akademii Umiejętności w Krakowie i w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu. — Sprawa pomnika Ad. Mickiewicza w obec projektu J. Matejki. — Sprawozdanie z ruchu muzycznego („Wesele Figara,“ „Warszawiaacy za granicą,“ „Chata za wsią.“ Koncertujący goście śpiewacy: Lassalle, Sauret, Grünfeld, Barbi; muzycy: p. Cesi, Soldat, Wanda i Jadwiga Bulewskie). — Wiadomość z ruchu teatralnego: „Chata za wsią“ — „Mąż i żona“ — „Skrytka.“ — Otwarcie nowego teatru w Lublinie. — Rocznik Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. — Czynności bieżące w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu.

Historyk, który w późniejszej epoce zabierze się do przedstawienia obrazu idei, władających społecznością europejską w pierwszych miesiącach r. 1886-go po narodzeniu Chrystusa, przypomni sobie mimowolnie nastrój umysłu dziejopisa rzymskiego z epoki Cezarów. Tacyt, rozpoczynając swoje „historye“ po śmierci Nerona, przyniesiony brzemieniem niezwykłego oburzenia moralnego na srogości wieku, usprawiedliwia się przed czytelnikiem, że mu tyle gwałtów i sprosności przed oczy stawić się ośmiela, w tych słowach:

„Opus adgredior opimum casibus, atrox proeliis, discors seditionibus, ipsa etiam pace saevum . . . Pollutae caerimoniae . . . omisi gestique honores pro crimine et ob virtutes certissimum exitum . . . cum alii sacerdotia et consulatus ut spolia adepti, . . . agerent verterent cuncta odio et terrore . . . (cap. 2). Quaedam etiam (civitates) finibus ademptis pari dolore commoda aliena ac suas injurias metiebantur . . . Nec enim unquam atrocioribus populi Romani cladibus magisve iustis iudiciis adprobaturum est non esse curae deis securitatem nostram, esse ultionem“ (cap. 3).

Porzućmy atoli tę niwę pogańską, od której cywilizacya chrześcijańska z pogardą i z poczuciem wyższości moralnej odwracać się zwykła, a spojrzymy choćby okiem kronikarza na niektóre roboty chrześcijańskiego państwa Pruskiego!

Zapowiedziane w mowie korony, przy otwarciu sejmu, środki obronne narodowości niemieckiej przeciwko zalewowi, jaki ze strony rosnącej nadmiernie narodowości polskiej ma zagrażać potęgze państwa Prusko-niemieckiego, użyte zostały przez usłużnych skinieniu ks. Bismarcka postów pruskich stronnictwa narodowo-liberalnego i konserwatywnego, jako środek do pobudzenia słabnącej ofiarności reprezentacyi narodowej niemieckiej, zdradzającej pewne chęci do obrony równie swoich interesów ekonomicznych, jak i praw i wolności tyłu ofiarami zdobytych i przez konstytucyą zawarowanych. Nie czekając na jakiegokolwiek przedstawienie rządowe, wystąpił poseł Achenbach i towarzysze, jak gdyby podrażnieni uchwałą sejmu rzeszy niemieckiej, naganiającą proskrypcye administracyjne pruskie z wnioskiem rezolucyi, w której wyrażono:

„Uznając prawo i obowiązek rządu królewskiego do wystąpienia energicznego w obronie zagrożonych interesów niemieckich, Izba wyraża zadowolenie, 1) że mowa korony zapowiedziała środki skuteczne dla zapewnienia rozwoju ludności i kultury niemieckiej w prowincjach, położonych przy granicy wschodniej państwa; 2) oświadcza gotowość przyznania rządowi potrzebnych zasobów dla przeprowadzenia w tym kierunku najodpowiedniejszych planów i środków, zwłaszcza w zakresie szkoły i administracyi, niemniej dla popierania kolonizacyi w tych prowincjach przez osiedlenie tam rolników i włościan niemieckich.

Rezolucya téj treści obrażała najpierwsze zasady konstytucyi, bo wnioskodawcy, nie znając wcale projektu rządowego, zobowiązywali reprezentacyą narodową do zatwierdzenia funduszów w cyfrze nieokreślonej i do popierania projektów praw, których jeszcze rząd wcale nie sformułował. Mimo tego kardynalnego zarzutu ze stanowiska konstytucyi, silny zastęp gorliwszych popleczników każdego kroku ks. Bismarcka, czekającego niecierpliwie na sposobność, aby się mógł wygadać i nasrożyć na niewdzięczny i mało patrio-tyczny parlament niemiecki, nie cofnął się od swojej pierwszej imprezy; ale dokazał tego, że rozprawy nad projektowaną rezolucyą



posła Achenbacha i S-ki, wprowadzono na porządek dzienny posiedzenia Izby pruskiej z dnia 28-go stycznia. Mimo zręcznego i gruntownego wystąpienia posła Windhorsta przeciwko tak nieparlamentarnemu postąpieniu przy nieco ckliwej akcji ze strony posłów polskich, którzy zamiast szukać odpowiednich pocisków na cynicznego wroga w niecnych robotach administracyi i policyi pruskiej, nie mniej i w cyfrach statystycznych dokładnie zszeregowanych, oraz w konstytucyi, zanadto po akademicku sprawę tę traktowali; mimo, mówię, téj opozycyi otrzymał ks. Bismarck po długiej mowie, która przypominała raczej zacieklego fanatycznego inkwizytora aniżeli przezornego męża stanu, otrzymał, mówię, ks. Bismarck takie przynajmniej zwycięztwo, że po opuszczeniu sali obrad przez opozycyą, sponiewieraną przez ślepych stronników rządu, pozostała większość wniosek Achenbacha przyjęła.

Filipika, z jaką wystąpił ks. Bismarck w obronie proskrypcyi administracyjnych, potępionych przez parlament rzeszy niemieckiej, zawiera wiele materiału przygodnego, z którego społeczeństwo polskie wytrwale i poważnie korzystać powinno dla obrony swego cywilizacyjnego znaczenia, a to tém bardziej, że ks. Bismarck występował nie jako interlokutor z Windhorstem lub posłami polskimi, ale występował z całą impozycyą prokuratora, oskarżającego społeczeństwo polskie przed trybunałem opinii europejskiej o jak najniebezpieczniejsze knowania anarchiczne!

„Kronika“ nasza nie może zapuszczać się w szczegółowy rozbiór namiętnej napaści ks. Bismarcka na społeczeństwo polskie dla rozentuzyazmowania mas populacyi niemieckiej; ale nie możemy pominąć choćby kilka uwag dla oznaczenia stanowiska, z którego społeczność polska powinna się zapatrywać na tę filipikę krzyżacką.

Odrodzenie ludów słowiańskich na półwyspie Bałkańskim, nie mniej i potężniejsze z każdym dniem aspiracye narodu irlandzkiego, mogły być zreflektować dzikie zamysły spadkobierców krzyżackich nad Szpreją, marzących o wytępieniu narodowości polskiej w Prusach, powinny być nauczyć ich téj prawdy dziejowej, że ani gwałty Muratów i Solimanów, ani srogość Kromwellów nie były w stanie zapewnić trwałości dziełom, zbudowanym na gruncie samowoli i przemocy, szydzącej z zasad prawa i sprawiedliwości. Pełne podejrzliwości stosunki polityczne w Europie, groźny stan ekonomiczny, podniecający nienawiść równie między różnemi klasami społeczeństw, jak i między całemi narodami, gotowymi chwycić za broń, gotowymi mordować się wzajemnie w najwstrętniejszej rzezi; lekceważenie prawa i powagi państwa i porządku społecznego przy pokuszeniach ateizmu i nihilizmu w najcywilizowańszych narodach; wszystkie te złowrogie potęgi powinny być wytrącić kanclerzowi niemieckiemu z ręki tę maczugę, którą prawie lekkomyślnie wygrażał nie tylko polakom, ale z większym prawie szysterstwem i reprezentacyi Niemiec, powinny mu być wytrącić z ręki pochodnię, którą z niepojętym lekceważeniem po-

trząsał nad zasadniczymi ideami władzy monarchicznej, nad świętością traktatów oraz nad wartością praw uroczystych, przez konstytucją zagwarantowanych.

Potęga ślepych sił elementarnych jest tak straszna, że żaden przezorny polityk z nią w ten sposób igrać się nie ośmiela!

Postronni spektatorowie gromów takiego burzyciela porządku społecznego w Europie, zdają się atoli niemal oskarżać kanclerza niemieckiego o podobne herostratoskie ambicje!

Prasa europejska nie przestała jeszcze dotychczas szukać właściwych pobudek proklamowania z poważnej mównicy reprezentanta rządu tak potwornych zasad, jakie wygłosił ks. Bismarck dnia 28 stycznia w sejmie pruskim, w celu usprawiedliwienia—na przekór opinii sejmu rzeszy niemieckiej—edyktów proskrypcyjnych, które administracja pruska uknuła przeciwko spokojnej, na gruncie swojej przeszłości cywilizacyjną pracą zatrudnionej ludności polskiej. Nie jeden poważny umysł, słysząc tyle fałszów historycznych, statystycznych i logicznych, głoszonych przez polityka, obeznanego przecie z historią, szukał głębszych, ukrytych pobudek takiego wystąpienia.

Ks. Bismarck wyrzucał równocześnie z szyderczą ironią narodowi niemieckiemu brak charakteru, brak poczucia obywatelskiego, brak patriotyzmu — a ze społeczności polskiej sztychł w sposób jowialny, nieując jej przeszłość i depreczując jej międzynarodowe prawa. Większość niemiecka stronnictw rządowych nie brała wcale do serca policzków, jakimi kanclerz obsypał naród niemiecki, a przyklaskiwała ochoczo wybuchom nienawiści krzyżackiej przeciwko misji dziejowej społeczeństwa polskiego. Poważny zastęp katolików niemieckich w izbie pruskiej, gotów wprawdzie także bronić zagrożonej rzekomo niemieckości, oburzał się tylko na takie zdeptanie zasad sprawiedliwości, a polacy osłupieni, jakby w przerażeniu próbowali walczyć z eksperymentem politycznym kanclerza, który w widokach agitacji parlamentarnej nawet przed oczywistym fałszem się nie cofnie—próbowali, mówić, walczyć z eksperymentem politycznym za pomocą reminiscencji politycznych, wywodów logiki i apelacji nie tylko do zdeptanych traktatów, znieważonych idei monarchicznych, ale i do sprawiedliwości Boga najwyższego!

Takie pociski nie były atoli nigdy w stanie osiągnąć przyłbicy krzyżackiej!

Książę Bismarck, czuł, że odzywając się publicznie w daną chwilę, zwraca na kwestyę edyktów proskrypcyjnych pruskich uwagę całej Europy, a pragnąc sprawy tej użyć jako niezawodny środek pobudzenia szowinizmu niemieckiego, starał się przedstawić społeczność polską jako niepoprawną w dawnych swoich nałogach i przyzwyczajeniach, tak, że ona w zatwardziałości swojej zasługuje tylko na zagładę. Pozbawić ją zatem trzeba ziemi i wszelkich dobrodziejstw cywilizacji, jakie zapewnia każdemu plemieniu prawo przyrodzone i międzynarodowe tudzież państwowe, nie mniej i zdobycze oświaty wieku XIX. W tym celu, nie troszcząc się wcale o faktyczne położenie rzeczy, nie rachując

się wcale z względami przedstawienia prawdziwego stanu rzeczy, ani z zasadami prawa, ani z jawną każdemu oczywistością, wystawił naród polski jako typ dążności anarchicznych, rewolucyjnych; jako wyobraźniela idei arystokratycznych, pomiatającego prawami i mieniem ludu, jako fanatycznego obrońcę katolicyzmu, służącego atoli arystokracji świeckiej i duchowieństwu polskiemu tylko za płaszczyk aspiracyi narodowych, politycznych, w najszerszych tego słowach granicach!

I cóż począć z takimi burzycielami pacis universalis pod berłem pruskim? Deleantur ergo! exstirpantur w imię zdobyczy najnowszej filozofii pesymistycznej w Niemczech!

Ks. Bismarck wie doskonale, że inkryminacye powyższe, z których ukręcił bicz do popędzenia jakoby słabnącego patryotyzmu niemieckiego, nie opierają się na żadnym gruncie faktycznym, ale są reminiscencyą frazesów, pozbieranych na bujnej niwie publicystyki dawnych czasów, odgrzewanych dzisiaj przez nieuków polskich i niepolskich lubtóż przez ludzi złej woli i złej wiary. Dzisiejszego społeczeństwa polskiego nie można sądzić w zwierciadle wieku XVIII-go, ale trzeba je oceniać w świetle dzisiejszych stosunków, które są rezultatem rozwoju, na jaki odpowiednie rządy pozwoliły. Bez możności samodzielnej inicjatywy nie może być mowy o całkowitej odpowiedzialności za wychodowane owoce! Dopominanie się jawne i legalne praw, zapewnionych społeczeństwu polskiemu traktatami, a w następstwie konstytucyą— krokiem anarchicznym nie jest. Ks. Bismarck, lubiący się powoływać na reminiscencye swoich relacyi z „uprzejmymi“ polakami, wie doskonale o tém, że w dzisiejszem społeczeństwie polskiem nie może być już nigdzie mowy o walce lub zawistnym antagonizmie stanów, przywilejów, lub wrogich sobie dążności ludu i szlachty, chłopa i pana — nie mówiąc naturalnie o różnicie interesów materyalnych, które reguluje prawo cywilne na zasadzie: moje i twoje! Stosunki towarzyskie nie układają się nigdzie, a najmniej w Niemczech na podstawie idei gromady. W żadnym społeczeństwie europejskiem nie położyła szlachta tyle ofiar dla oświaty ludu, co szlachta polska i to mimo utrudnień i przeszkód, które ks. Bismarckowi najlepiej są znane: owszem, były u nas chwile chorobliwej prawie chłopomanii, która atoli organicznemu rozwojowi stosunków obywatelskich włościanina i szlachcica nie pomogła, ale raczej przeszkadzała. Taki nastrój społeczeństwa polskiego w ogóle, był owocem działalności naszych instytucyi szkolnych i prawodawstwa narodowego z końca wieku XVIII, które, jakkolwiek w rozwoju swoim jursprudencyjnym, wstrzymane najnie spodzianie głównie przez zdradziecką politykę pruską, miało tyle energii życiowej, że wywarło wpływ stanowczy na formowanie się obyczajów całego społeczeństwa z różnicami, jakie wytwarzały stosunki miejscowe i prawodawstwa najnowsze każdego z pojedynczych rządów, pod których berłem polacy zostawali.

Jeżeli mimo takiego położenia rzeczy, jeżeli mimo niwelacyjnej



polityki rządu pruskiego ks. Bismarck i p. Puttkamemer wywołują straszdyła minionych wieków, straszdyła wspólnie wszystkim narodom ówczesnym (a u Niemców może najjaskrawsze), dla upozorowania swoich gwałtownych zamierzeń w obec Europę, i dla otumanienia mas niemieckich, powołanych do nowych ciężarów materialnych, toć są oni obydwaj najlepiej o tém przekonani, że gdyby wśród społeczeństwa polskiego istniał taki rozbrat i zawiść nieprzyjazna, gdyby toczyła się taka walka między szlachtą a włościaninem, toby na ławach sejmu pruskiego nie było ani jednego Polaka. Tych 14-tu, którzy tam zasiadają, nie wysłała szlachta; ale wybrał ich lud, wybrali ich włościanie, jako swoich najzaufanszych i najprawowitszych obrońców i życzliwych opiekunów. Ks. Bismarck widzi w fałszywem świetle stosunki społeczne w krajach dawniej Polski, bo patrzy na nie przez szkło junkra pomorskiego od *junkra* lub *ritlera* pomorskiego, w społeczeństwie polskiem dawno nie ma, a jeżeli znalazłby się wyjątek, to on kryje się za kratami jakiejś kosmopolitycznej rezydencji. Oskarżanie zatem społeczeństwa polskiego o zatwardziałość arystokratyczne wygląda dziwnie w ustach dostojnika pruskiego, który przecież wie doskonale, że brak herbu szlacheckiego, że brak maleńkiego *von* przed nazwiskiem tamuje w Prusiech karierę nawet Niemcom, i zamyka prawie bramy do korpusu oficerów pruskich, na co pełno już było głośnych utyskiwań w prasie.

Gdybyśmy nie widzieli tej okrutnej nienawiści, jaką odycha ks. Bismarck przeciwko imieniu polskiemu, to słysząc powyższe jego napaści na szlachtę i duchowieństwo polskie, mogliśmy go posądzać o to, że poglądy swoje co do tej kwestyi zaczerpnął z niektórych organów publicystyki polskiej, przekomarzających się bez potrzeby nietylko w Poznaniu, ale i w Warszawie ze stanem „braci uprzywilejowanych,” z konserwatystami, z klerykałami i t. p. dziwolągami, których w naszym „normalnem” położeniu naprózno byśmy na gruncie swojskim szukali!

Narzucanie społeczeństwu naszemu nietylko zamiarów; ale bezustannych pokuszeń rewolucyjnych, oskarżanie społeczeństwa polskiego w ostatnich dwóch dziesiątkach lat o ducha jakobińskiego, ducha nieporządku, którego żandarmi Pruscy za ledwo powstrzymać mogą, wypada zapewne zaliczyć tylko do reminiscencyi manifestów Fryderyka W-go, w tym razie widocznie aprobowanych przez ks. Bismarcka; bo nie sądzimy, żeby kanclerz cesarstwa niemieckiego miał tak krótką pamięć, żeby mógł zapomnieć o tém, iż hufce zbrojne w W. Ks. Poznańskiem w r. 1848-ym organizowały się z woli rządu i to pod okiem generała pruskiego Willisena, oraz że spiski między nieoświeconą ludnością polską robotniczą i rzemieślniczą w Poznaniu, prowokował i organizował tamtejszy prezes policyi von Baerensprung za pomocą Posta, jak to w interesie porządku publicznego wykazał ś. p. Wł. Niegolewski poseł pleszewski, w dwóch swoich interpelacjach w r. 1859 i 1860. Czy spisek formowany przez prezesa

policyi w Poznaniu mógł mieć na celu odbudowanie Polski, której widmo tak wysoce straszy wyobraźnią kanclerza, to tylko ks. Bismarckowi może być dokładnie wiadome. *Fecit, cui prodest!*

Ks. Bismarck ma wysokie wyobrażenie o każdym kółku w machinie rządu pruskiego, (z wyjątkiem konstytucyi i sejmu, które za malum necessarium uważa i wszelkimi sposobami swego autokratyzmu paraliżować je pragnie), mniemamy zatem, że i rządowe biuro statystyczne zaufanie jego posiada. Dla czego atoli wbrew oczywistym danym statystycznym, które, jakśmy to wielokrotnie wskazywali (zesz. styczeń 1886, str. 145 i 146) zupełnie czego innego dowodzą, obwołuje po całej Germanii niebezpieczeństwo, jakimś zagraża teutonom zalew rosnącego zbyt spiesźnie żywiołu polskiego?

Rola augura z czasów upadku religii w Rzymie nie jest wcale do twarzy kanclerzowi cesarstwa niemieckiego w drugiej połowie wieku XIX-go.

Marnotrawstwo grosza rodzinnego po Paryżu i po różnych kniejach szulerni berlińskich i włoskich, nie jest przymiotem i własnością narodową; ale wadą ludzi lekkomyślnych w ogóle, jak o tém wiedzą nawet najwyżsi dostojnicy pruscy, którzy synów swoich nie raz z podobnych kniei zagranicznych i swojskich w Berlinie ratować musieli.

Przywiązania ludności polskiej do religii i kościoła, pod którego dobroczynnemi skrzydłami przez tyle wieków ona wzrastała, pod którego wpływem moralnym nabierała tego ciepła swojskości, uszlachetniającej każdy naród, tego nie powinienby jej nawet książę Bismarck poczytywać za zbrodnią, gdyby mógł wybić sobie z głowy ten przesąd, że tylko jeden protestantyzm i to tylko niemiecki może zapewnić równie masom, jak i junkrom niemieckim zbawienie!

W obec takiego ogólnego położenia rzeczy nie łatwo odgadnąć pobudki, które ks. Bismarcka popchnęły do postanowienia edyktów proskrypcyjnych; ale łatwiej nieco zrozumieć intencją, z którą mowę swoją w dniu 28-go stycznia wypowiedział.

Prusy pochłonęły wprawdzie wszystkie indywidualności plemienne państw niemieckich; ale ich dotychczas nie potrafiły jeszcze strawić a to głównie z winy aspiracyi absolutystycznych ks. Bismarcka, zbyt łatwo się zapalającego i roznamiętniającego na gruncie antagonizmu patryoty pruskiego z patryotą niemieckim.

Przeciwko takiej napastniczej asymilacyi pierwiastków narodowości niemieckiej z cesarstwem pod berłem pruskim obrusza się katolicyzm, ujarzmiony w swoich najgłówniejszych organach przez niesłychaną omnipotencją państwa; przeciwko temu występują również dławione przez państwo aspiracye socyalistyczne, których mimo służalczego usposobienia izby pruskiej, nie można było dotychczas opłacać sidłami narzuconej klasom roboczym opieki rządowej; przeciwko temu oponują nieśmiałe dotychczas dążności separatystyczne, podżegane przez niewesołe stosunki ekonomiczne i przez skromne jeszcze ambicje dynastyczne. Rosnący podczas każdej kadencji sejmo-

wój budżet wojskowy potęguje coraz bardziej ciężary i opłaty podatkowe, które wyczerpują nareszcie cierpliwość i ofiarność najpotulniejszych poddanych pruskich.

Przewidujący mąż stanu, stawiając sobie w obec tych danych horoskop parlamentarnej akcji nie tylko co do tych kwestyi; ale i do wielu innych, kryjących się dotychczas przed okiem ludzkim, musiał z wczasu oglądać się za środkami sprostania tym niebezpieczeństwom, a zirytowany naganą, jaką sejm rzeszy niemieckiej wypowiedział co do polityki proskrypcyjnej rządu pruskiego, znalazł we wniosku rezolucji Achenbacha i towarzyszy bardzo przydatną sposobność i nader pożądany środek do podbudzenia patriotyzmu niemieckiego; znalazł w owiej rezolucji materiał, za pomocą którego potrafił zapalić i korzystnie usposobić całe masy prusaczyny do zaaprobowania wszystkich zamiarów rządowych, choćby anti-konstytucyjnych.

Między temi projektami, zmierzającemi do spotęgowania atrybucyi władzy państwa we wszystkich kierunkach, spostrzegamy daleko donioślejsze dla racjonalnego rozwoju Niemiec, aniżeli wywołane bez potrzeby kłamliwe widmo zalewu polskiego, mianowicie: przedłużenie stanu wyjątkowego przeciwko socyalistom czyli innym słowy, zawieszenie rękami konstytucyjnych, odnośnie do poważnej klasy poddanych, wyznających idee socyalistyczne; zaprowadzenie monopolu wódczanego na rzecz państwa; powiększenie ciężaru podatkowego dla wzmocnienia budżetu wojskowego w celu podwyższenia pensyi oficerom i zaprowadzenia siedmioletniego peryodu służby wojskowej, a wreszcie nie miły dla zapalczywego pseudo-liberalizmu choćby najskromniejszy odwrót na polu walki o kulturę po tyloletnich dewastacyach porządku w granicach interesów kościelnych i moralnych.

Każdy z tych projektów, nie wyłączając i projektowanego sposobu urzędzenia stosunków z władzą papieską i biskupią, znamionuje dążności do podkopania konstytucyi, wytwarza stan wyjątkowy w państwie, pragnącóm urzeczywistnić idee teoretyków o państwie, wspierając się na pojęciu prawa, tak, że niedługo każda sfera interesów społecznych ujrzy się pod dozorem postanowień wyjątkowych, które dozwolą państwu szydzić jak najswobodniej z tak zwanój konstytucyi niemieckiej.

Już nieraz i to nie tylko w sejmie i prasie pruskiej, byliśmy w ostatnich czasach mimo naszej woli i zastęgi tém straszyl em, za pomocą którego podniecano namiętności narodowe, za pomocą którego drażniono bez wytechnienia nerwy patriotyzmu nie tylko ciemnych tłumów, ale i ambitnych publicystów oraz samolubnych polityków, którzy w obec wywieszanego strachu z a j a z d u polskiego, nie wahali się ponieierać nawet praw i swobód własnych, oddających całe społeczeństwo na pastwę fantazyi administracyi choćby samowolniejszej od pruskiej.

I książkę Bismarck nie zawiódł się na swoich satelitach. Większość sejmu pruskiego okazuje się dotychczas gorliwszą aniżeli



interes narodu niemieckiego na to pozwala, tak, że nawa państwa wepchnięta przez służalczych posłów na mielizny absolutyzmu administracyjnego, pędzi w kierunku, który nie prowadzi do przystani bezpieczeństwa i porządku publicznego.

Mimo to wszystko, księżę Bismarck osiągnął na razie cel swój za pomocą wywieszonego widma niebezpieczeństwa urojonego, za pomocą fałszu i przewrotności istic krzyżackiej. Większość (244), złożona z tak zwanych posłów narodowo-liberalnych i konserwatywnych, po usunięciu się z Izby poważnego zastępu (razem 143 posłów) katolików, postępowych, (Fortschrittspartei) i polaków, pochwaliła wniosek Achenbacha.

Postąpienie sejmu pruskiego nie mniej i zaciekłość nienawiści imienia polskiego u ks. Bismarcka nie powinna być dla nas ciosem niespodziewanym ani obezwładniającym. Zainscenowana tak manifestacyjnie wojna wytępienia narodowości polskiej, powinna stać się raczej nową dla nas nauką przeciwko naszej zwykłej nieoględności, chęci odmiany i nieograniczania się, wstrętu do pracy gruntowniejszej i wytrwałej, przeciwko próżności i wielkiemu o sobie rozumieniu, nie mniej przeciwko powierzchowności, pokrywającej często treść bardzo ubogą i lichą; powinna być najskuteczniejszą pobudką do strzeżenia i pomnażania naszych dóbr narodowych, do wytrwania przezornego w obronie naszej cywilizacji rodzinnej, w rozwoju naszych sił moralnych i materyalnych na drodze porządku publicznego i legalności! W obec zdeklarowanego w sposób tak cyniczny wroga, czyniącego nawet z tak ogólnie ludzkiego środka lekarskiego, jakim jest szczepienie ospy, monopol niemców lekarzy, powinniśmy starać się zawsze i wszędzie o taką trzeźwość sądu w sprawach publicznych, żebyśmy wygnani z naszym językiem ze szkoły i urzędu, pod strzechą domową, pod rygorem oka ojcowskiego i pod ciepłym sercem matek odzyskali możliwość wychowania pokoleń, godnych przodków naszych. Napomnienia szydercze zawziętego wroga imienia polskiego, powinny sprawić skutek, jaki wskazuje wiersz poety rzymskiego: „*Una manus nobis vulnus — ope mque ferat!*“

W ślad za przyjętą (w dniu 30 stycznia) przez Izbę rezolucją poczęły napływać do sejmu pruskiego projekty do prawa, mającego osłaniać tę samowolę administracji. Pierwszy projekt, dotyczący popierania przez rząd kolonizacji niemieckiej w prowincjach zachodnio-pruskiej i poznańskiej, opiewa:

„My Wilhelm i t. d. rozporządzamy z przyzwoleniem obu Izb sejmu monarchii co następuje:

§ 1. Rządowi państwa oddaje się do dyspozycji fundusz stu milionów marek, aby ku wzmocnieniu niemieckiego żywiołu w prowincjach zachodnio-pruskiej i poznańskiej przeciw usiłowaniom polonizacyjnym działał za pomocą kolonizacji chłopów i robotników niemieckich. Upoważnia się zatem rząd do ozerpania z tego funduszu na następujące cele:

1) na zakupno gruntów, zakwalifikowanych do sprzedaży; 2) na opędzanie kosztów potrzebnych, wynikających z téj operacji, mianowicie: a) na pierwsze urządzenie gospodarstw, b) na pierwsze uregulowanie stosunków gminnych, kościelnych i szkolnych, nowych gospodarstw średniej lub mniejszej przestrzeni lub całych gmin wiejskich, bez względu na to, czy zostały urządzone na gruntach osobno w tym celu zakupionych, lub na posiadłościach do państwa już należących.

§ 2. Przy oddawaniu gospodarstw w ręce prywatno należy pamiętać o tém, aby skarb państwa strat nie ponosił, a więc należy je odtępować osadnikom albo na własność albo wypuszczając w dzierżawę czasową.

§ 3. Summy które państwo dostanie jako zwrot należności i kosztu (§ 2), wpływają do wskazanego pod paragrafem 1 funduszu.

§ 4. Dla przygotowania sumy dla celów wskazanych pod § 1, wystawiają się osobne obligi. Kiedy, przez jaką władzę i na jakie sumy, przy jakiej stopie procentowej, pod jakimi warunkami wypowiedzenia i po jakim kursie obligi to mają być wydane, ustanowi minister skarbu. Zresztą, co się tyczy zarządu i umorzenia owój pożyczki i przodawnienia procentów, zastosowują się przepisy prawa z dnia 19 grudnia 1869 r.

§ 5. Czynności sądowe, łączące się bezpośrednio z urządzeniem nowych osad, z wyjątkiem spornych, wpisy w księgach hipotecznych i t. p. dopełniają się bez opłaty stempla i kosztów.

§ 6. Corocznie powinno składać się sejmowi sprawozdanie z obrotu funduszami i z postępu wykonania niniejszego prawa.

§ 7. Wykonanie tego prawa powierza się, o ile ono według § 4 nie należy do ministra skarbu, osobnej komisji, zależnej od ministerstwa stanu. Bliższe postanowienia co do składu téj komisji, do której po dwóch członków obu Izb sejmu ma należeć, równie jak co do miejsca urzędowania, zakresu działania i kompetencji owój komisji, wydano będą w drodze rozporządzenia królewskiego.

Do jak wysokiego stopnia doszło już w rządzie pruskim pomieszczenie pojęć prawa i administracji prawidłowej, dowodzi między innymi ten ustęp motywów, objaśniających projekt powyższego rozporządzenia, który bez ogródki mówi: że co do pierwszego urządzenia należy pozostawić dyskreccji rządu ustanowienie wysokości czynszów i spłat częściowych. Nie mniej charakterystycznym pod względem moralnym jest w tych motywach i взгляд na to, że chwila nader krytycznego położenia rolnictwa jest dla téj operacji dzisiaj najdogodniejszą.

Potworny ten i prawdziwie drakoński wniosek spotkał się w Izbie pruskiej podczas dyskusji nad nim 22 i 23-go lutego z gruntowną krytyką, szczególniej w wymownym głosie posła dr. Haenela ze stronnictwa „wolnomyślnych“ i br. Schorlemmera-Alsta ze stronnictwa „Środka“, nie mówiąc już o głosach polskich. Mimo to postanowiono większością głosów przekazać go do szczegółowego rozbioru komisji, złożonej z 21 członków. Przy zaślepieném namiętnością krzyżacką usposobieniu większości nie można wątpić o tém, że w ostateczu dysku-

syi w Izbie, zgodnie z zamiarem rządu projekt przedstawiony Izbie przyjętym będzie.

Oprócz tego wniesiono do Izby pruskiej d. 24-go nowy projekt prawa, tworzący ze szkoły elementarnej narzędzie tępienia narodowości polskiej. Rząd pruski niepohamowany w dążnościach swoich do wszechwładztwa państwowego, żąda od sejm u zatwierdzenia prawa, według którego mianowanie nauczycieli i nauczycielek w W. Ks. Poznańskim, Prusach zachodnich i na Szlązku ma należeć wyłącznie do państwa; państwo przyjmuje na siebie pod względem utrzymania szkół ludowych po wsiach te obowiązki, które według ogólnego prawa krajowego (Landrecht) ciążyły na właścicielach wsi lub na gminach. Nauczyciele ludowi stają się tedy urzędnikami państwa i podlegają dyscyplinie rządowej. Projekt tego prawa usuwa zatem nauczycieli polaków ze szkół ludowych w tych prowincjach, i czyniąc ze szkoły monopol dla Niemców, usuwa szkołę z pod wpływu rodziców, opiekunów i kościoła! Postęp protestantyzmu i wzrost pojęć pogańskich musi być wynikiem takiego pokuszenia!

Łączący się z tym inny projekt prawa obostrza kary, postanowione za nieuczęszczanie dzieci do szkół ludowych w tychże prowincjach, a to dla sparaliżowania działalności szkół prywatnych. Niezależnie od tego prawa przysługuje władzom miejscowym moc nakładania już przed terminem tego prawa (1-go kwietnia r. b.) przez rozporządzenie policyjne kar za nieuczęszczanie dzieci do szkół.

Równocześnie wystąpił rząd pruski z nowym projektem, żądającym kredytu rocznego 200,000 marek na urządzenie szkół uzupełniających edukacją elementarną („Fortbildungsschulen“) rzemieślników w celu wzmocnienia żywiołu niemieckiego w Prusach zachodnich i W. Ks. Poznańskim. Wszyscy terminatorzy i rękodzielnicy oraz robotnicy wiejscy nie dochodzący lat 18-tu wieku mają być obowiązani do uczęszczania do tych szkół w miejscowościach, w których urządzone zostaną, a to w tym celu, żeby owoce szkoły elementarnej nie zostały w późniejszym życiu stracone!

O projekcie do prawa, dotyczącego przywileju lekarzy niemieckich szczepienia ospy, mającego wejść w życie już 1-go kwietnia r. b. jużśmy wyżej wspomnieli.

W zakresie sądownictwa nie uwzględnił rząd pruski potrzeby tłumaczy w sądach dla nieznających języka niemieckiego a prócz tego postanowił z większą stanowczością przenosić urzędników pochodzenia polskiego do prowincji niemieckich.

Środki obmyślane przeciwko zalewowi polskiemu, które dotychczas odślonięte zostały, nie są bynajmniej nowymi zamachami na prawa ludzkie i boskie nie mniej i na konstytucyę; ale potęgują one tylko i pragną w sposób drakoński ulegalizować to, co od lat wielu samowolnie się praktykowało. Od czasów prokonsulatu osławionego Flotwella po r. 1831-ym wydał rząd pruski może już znaczniejsze od projektowanych miliony na zakupno majątków ziemskich i na poparcie cisnących się do polskich prowincji rolników niemieckich, a otworzywszy jak naj-



szersze wrota swoich instytucji kredytowych dla własności ziemskiej, osiągnął największe rezultaty w swojej robocie germanizacyjnej z naszych wad ogólnych, powyżej zaznaczonych, spychających nas coraz bardziej na stanowisko mierności we wszystkich gałęziach pracy ludzkiej, nie wyłączając nawet i rolnictwa.

Język polski skrzepowany od dawna w szkołach poznańskich a zaniedbany w pruskich i szląskich. Urzędnicy i nauczyciele polacy, wykluczeni z towarzystw naukowych, tułają się dawno po różnych prowincjach niemieckich królestwa pruskiego. Subwencyonowany teatr niemiecki w Poznaniu nie mógł wprawdzie dotychczas stać się bezpieczną rezydencją terpsychory niemieckiej w Poznaniu, a polskiemu stawiają się jak najrozmaitsze przeszkody. Namietność „walki o kulturę“ wydała szkoły ludowe na pastwę samowoli inspektorów rządowych, samych Niemców, wojujących z dziećmi o pochodzenie polskie lub niemieckie, według brzmienia nazwiska. Lecz przy tém wszystkiém dusze pozostały polskie!

Taka bezsilność gwałtu drażniła absolutnego polityka i popchnęła go do tego, że chwycił za broń nader niebezpieczną w regularnym rozwoju państwa, za broń burzącą podstawy porządku moralnego i społecznego: jest to miecz obosieczny, bo popędzający masy elementarne ludności do lekceważenia tronu, do sponiewierania wiary w mądrość i sprawiedliwość władzy monarszej, lub do rozpacz, ponieważ masy te nie potrafią pojąć tego, żeby mogły być obowiązane przyczyniać się przez własną pracę, przez ponoszenie wszelkich ciężarów i podatków do pomnażania funduszu na swoje własne wytępienie i wypłenicie.

Mamy ufność w głęboką moralność i religijność naszego ludu i sądzimy, że i tym ciosom odważnie stawi czoło, i okaże tyle hartu co każda dobra sprężyna, która im więcej naciskana tém śmieliej odskakiwać zwykła. Chodzi tylko o to, abyśmy z całą przeczornością pilnowali tego, żeby ta sprężyna nie rdzewiała nigdy! Na większej własności ziemskiej ciąży dzisiaj nie tylko wielka odpowiedzialność za dawne lekkomyślności, ale tém większy obowiązek obywatelski zażegnania rodzących się z każdym dniem niebezpieczeństw tak pod materialnym, jak i pod moralnym i intelektualnym względem. Nie należy lekceważyć rozzuchwalonego wroga, jak to nieopatrnie czynią niektórzy humoryści, bo powróciły czasy margrafów Geronów i Henryków Lwów tępiących słowian. Na niwach zdeptanych kopytem ich zastępów słuźalczych, próżnobyś dziś szukał słowianina z samowiedzą pochodzenia słowiańskiego, bo ci, w których żyłach odzywa się nieco krwi słowiańskiej, są zazwyczaj najzjadliwszymi wrogami tych, którzy indywidualnością swoją przypominają im na każdym kroku ich hańbę i zakałę.

W połowie lutego r. b. wniósł rząd pruski do Izby Panów nowy projekt prawa, dotyczący zmian, obowiązujących od maja 1873 roku tak zwanych pr aw kościelno-politycznych, który w 14-tu artykułach

stanowi nowy sposób urządzenia stosunku kościoła do państwa. Art. I-szy opiewa, że do piastowania urzędu duchownego nie potrzeba od-tąd egzaminu państwowego. Art. II-gi. Przepisy § 9 do 14 prawa z d. 11 maja 1873 r., nie sprzeciwiają się urządzeniu konwiktów gi-mnazyalnych i uniwersyteckich przez władzę duchowną z zastrzeże-niem prawa o nadzorze państwa nad zakładami wychowawczo-nauko-wemi. Art. III zastrzega rządowi to samo prawo dozoru nad zakła-mi, poświęconemi wychowaniu teologiczno-praktycznemu (seminarya dla kapłanów). Art. IV znosi § 1 prawa z 12 maja 1873 r., ale utrzy-muje ograniczenia tegoż prawa co do kwalifikacyi sprawowania urzę-du sługi kościoła. Art. V stanowi, że przepis § 2 z d. 12 maja 1873 r. (usunięcie z urzędu, suspensa), może być tylko wtenczas stosowa-ny, jeżeli z usunięciem od urzędu łączy się utrata lub zmniejszenie do-chodów. Art. VI. Trybunał królewski dla spraw kościelnych zostaje zniesiony. Art. VII, VIII, IX, X, XI i XII. Apelacya od władzy du-chownej do władz państwowych (do ministerjum) w interesach publi-cznych znosi się; ale utrzymuje się nadal w obec takich rozporządzeń duchownych, które stanowią usunięcie z urzędu, połączone z utratą lub zmniejszeniem dochodów. Decyzya ministerjum jest wykonalną na drodze administracyjnej, którą określi bliżej rozporządzenie kró-lewskie. Art. XIII. W wypadkach przewidzianych § 24 prawa z dn. 12 maja 1873 r., jak również § 12 prawa z 22 kwietnia 1875 r. moc-ną jest Izba sądowa (Kammergericht), jako najwyższy karny sąd kra-jowy dochodzić winy i wydawać wyrok według procedury przewidzia-nój w rozdz. III prawa z 12 maja 1873 r. Art. XIV. Sprawy niezat-łatwione w dniu wejścia w wykonanie prawa niniejszego w trybanale kościelnym, przechodzą na ministerjum, o ile z mocy niniejszych po-stanowień podlegają decyzji ministeryalnej.

Z powyższego widzi czytelnik, że nie jest to bynajmniej uchyle-nie osławionych praw majowych; ale tylko nowe prawo, pozostawiają-ce rządowi otwartą zawsze drogę do mieszania się w sprawy kościel-ne i tamowania swobody władzy dycieczalnej. Jest to—w obec kon-stitucyi nowe prawo dyskrecyjne! Z organów watykań-skich należałoby wnosić, że to rzekome ustępstwo państwa na rzecz kościoła, nie objaśnione żadnemi motywami, jak to się przy wszyst-kich tego rodzaju wnioskach dziać zwykło,—nie zaaprobowane jeszcze przez papieża, jest akcyą tylko jednostronną, tak, że skuteczność tych postanowień zależy od zgody kuryi rzymskiej. Mimo to—nawet ten najskromniejszy krok kanclerza do Canossy obruszył prasę liberałów pruskich i oddziaływa niekorzystnie na usposobienie służalczych orga-nów ks. Bismarcka!

Cokolwiek wreszcie ztąd wyniknie (obrady, jakie w najbliższymcza-sie nastąpić mają nad tym przedmiotem w Izbie Panów, mogą dopięro dostarczyć choćby słabych wskazówek co do zdeklarowanego stano-wiska rządu), zakreślony w powyższy sposób modus procedendi in rebus ecclesiasticis otwiera dosyć ciernistą drogę nowo-mia-

nowanemu arcybiskupowi dyecezyi guieźnieńsko-poznańskiej, ks. Juliuszowi Dinder.

Na polu prac i przedsięwzięć naukowych polskich w ostatnich czasach zasługują na uwagę fakta następujące: komisya historyczna Akademii Umiejętności w Krakowie zdawała sprawę 16 listopada, 23 grudnia, i 26 stycznia, z postępu wydawnictw już rozpoczętych. Wykazano najprzód, że te wyczerpują w zupełności wszystkie fundusze komisyi w latach najbliższych tak, iż żadnych nowych nawet najlepszych rozpocząć nie będzie można, o ileby jaki nieprzewidziany zasiłek skąd nie nadpłynął. Uchwalono następnie, że indeks wszystkich listów i aktów politycznych, odnoszących się do wieku XV, już drukowanych a rozrzuconych po wielu publikacjach, który pierwotnie przeznaczono do pomieszczenia jako dodatek w 2 tomie kodeksu listów niewydanych, ze względu na znaczne rozmiary indeksu, należy wydać oddzielnie i w przód jeszcze, niż ów tom 2. Indeks ten jednak, zredagowany przez prof. Lewickiego, nie będzie obejmował aktów, pomieszczonych w świeżych publikacjach komisyi. Prof. Lewicki, który z polecenia komisyi porozumiał się z prof. Caro co do téj publikacyi, oznajmił, że prof. Caro posiada zbiór tak obfity, iż mógłby stanowić cały tom 3, który też byłby gotów sam przygotować do druku; z czém uchwalono wejść w rokowania z prof. Caro co do tego wydawnictwa w przyszłości, gdy fundusze komisyi na to pozwolą. Następnie zajmowano się sprawozdaniem dr. Abrahama, wystanego przez komisją dla poszukiwań w archiwum watykańskiem w Rzymie i uchwalono, ażeby je dalej prowadził w pierwszych miesiącach bieżącego roku. Ponieważ zaś bezimienny ofiarodawca złożył Akademii 1,200 zł. w tym celu, aby w 300-letnią rocznicę śmierci Stefana Batorego wydany został zbiór aktów i dokumentów do jego dziejów, zastanawiała się na koniec komisya nad takim wydawnictwem, ze względu zaś na to, że fundusz ten nie wystarczy na ogłoszenie całego obfitego zbioru takich aktów, zebranego przez ś. p. Rykaczewskiego i ks. Polkowskiego, oraz na to, że częściowe publikacye podobne poczęły się mnożyć w ostatnich czasach (w „Bibliotece Krasińskich,“ w „Źródłach dziejowych“), postanowiono wydać również zbiór częściowy pod tytułem: „Dyaryusze, relacye, listy i akta do spraw wojennych Stefana Batorego,“ który obejmie wyłącznie rzeczy nie wydane dotychczas, a spisane w języku polskim, takie jak Dyaryusz wyprawy pod Wielkie Łuki przez wojewodę Działyńskiego, relacye działań wojennych przez Zborowskiego, dyaryusz sejmu warszawskiego 1581 r., listy Jana Piotrowskiego i t. p. i będzie w ten sposób uzupełnieniem cennego dyaryusza wyprawy pod Psków przez tegoż ks. Piotrowskiego, który wydał już dawniej rosyjski historyk Kojalowicz. Wydania tego nowego zbioru pamiątkowego dokona ks. Polkowski.

Dnia 27 stycznia b. r. odbyło się posiedzenie Komisyi historyi sztuki, na którym przewodniczący prof. Władysław Łuszczkiewicz przedstawił przygotowane do cynkotypicznej reprodukcji zdję-



cia i widoki ruin gotyckiej cerkwi w Ostrogu, o której obszerną sprawę, na podstawie odbytej na miejscu wycieczki, zdał był już na poprzednim posiedzeniu. Sprawa wydania tych rysunków stała się od tego czasu tém ważniejszą i pilniejszą, iż z polecenia rządu, już wzięto się do przebudowy tego nader pięknego pomnika budownictwa XVI w. na Rusi, przy czem okazała się potrzeba rozebrania większej części zniszczonych murów; reszty dokona niewątpliwie adaptacja i wykończenie przerobionego budynku. Komisya uchwaliła więc jak najprędzej publikować zebrane przez autora materiały, do których świeżo przybył stary inwentarz zamku ostrogińskiego, i to, nie czekając nawet na zamierzone ich uzupełnienie, które ze względu na nieprzystępność ostrogińskiego archiwum, kto wie, kiedy dałoby się uskuteczyć. W następnych zaś zeszytach „Sprawozdań komisji“ uchwalono ogłaszać dalszy ciąg rozpoczętych nad budownictwem romańskim badań, do których obok zajmującego się nimi specjalnie prof. Łuszczkiewicza, także prof. M. Sokołowski posiada przygotowane materiały. Na wniosek tego ostatniego, uchwalono wszystkie wydawnictwa Komisji posyłać gabinetowi katedry historii sztuki przy uniwersytecie Jagiellońskim. Z powodu podniesionej następnie potrzeby zebrania repertoryum do literatury historii sztuki w Polsce, oraz nakreślenia naukowego programu inwentarza zabytków sztuki, wywiązała się dyskusya, w której udział brali pp. Łuszczkiewicz, Polkowski, Sokołowski, Piekosiński i Tomkowicz. Wynikiem jej były wyjaśnienia co do spisów kartkowych, zebranych przed laty przez Towarzystwo naukowe krakowskie, i co do tek senatora Stronczyńskiego, oraz uchwały, aby postarać się o sprowadzenie wzorowych formularzy do inwentaryzacji zabytków sztuki za granicą wydanych, jakoteż, aby zawiązać stosunki z gronem, wydelegowanem dla spisania pomników Wielkopolski przez sejm prowincjonalny poznański, który na ten cel świeżo przeznaczył znaczny fundusz 17,000 marek.

W Poznaniu na posiedzeniu Wydziału historyczno-literackiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk czytał ks. prałat Likowski pierwszą część pracy swojej p. t.: „Rokowania, poprzedzające Unię Brzeską.“ Według ks. L. powstała myśl połączenia dwóch kościołów dopiero za przybyciem Jezuitów do Polski. Ks. Skarga wykazywał w dziele swém, dedykowanem wojewodzie ks. Ostrogskiemu ważność takiego połączenia, a za jego przykładem występowali między innymi Poznańczyk, ks. Herbst i ks. Ant. Possevin, Zygmunt III, Zamoyski. Zwolna idea ta znajduje zwolenników i po drugiej stronie tak między duchowieństwem (Rahosa, Bałaban, biskup; Cyryl Terlecki), jako i między świeckimi (Pociej, ks. Ostrogski). Przyczyn tych dążeń nie trzeba szukać ani wyłącznie na zewnątrz w robocie Jezuitów, ani w dążeniach rządu polskiego, lecz w ówczesnem położeniu cerkwi i wiążących się z upadkiem duchowieństwa stosunków, na co już zwracali uwagę historycy rosyjscy (prof. Lewickij). Wskazawszy na działalność w tej sprawie między innymi biskupa Maciejowskiego, Adama

Pocieja, kasztelana belzkiego, przechodzi ks. L. do samych rokowań, które trwały od r. 1590—1593.—Dalszy ciąg tej źródłowej pracy obiecał sz. prałat przedstawić na przyszłym posiedzeniu.

Tegoż samego dnia na posiedzeniu sekcji archeologicznej Towarzystwa Przyjaciół Nauk wręczył p. Bentkowski Tom III Stronczyńskiego: Dawne monety polskie, jako dar od autora dla biblioteki Towarzystwa. Pan Jażdżewski przedstawił sześć przedmiotów ze złota ze swoich zbiorów, rzeczy u nas bardzo rzadko się znajdujących, bo jako drogie, naturalnie niepochopnie kładziono je na stosie lub do grobu. Muzeum poznańskie, bogate w wykopaliska, ma tylko platę ze złota cienką wielkości dwutalarówki, zapewne do bronzowego naszyjnika należąca, a razem z nim w Mrowinie znalezioną.

W Krakowie 10-go lutego wystawiono w Sukiennicach na widok publiczny nowe modele gipsowe na pomnik Mickiewicza, wykonane według rysunku Matejki przez rzeźbiarzy pp. Teodora Rygiera i Walerego Gadowskiego. Zainteresowana sprawą budowy pomnika publiczność ciśnie się dość tłumnie do Langierówki, żeby zobaczyć zapowiadane oddawna utwory, mające być plastycznym wyrazem jej czci dla największego wieszczu narodu i wcieleniem idei, jaką z imieniem tego mocarza ducha łączyć przywykła; i doznaje niemitego zawodu. Znawcy i nieznaney odchodzą zarówno rozczarowani.

Pomysł wezwania Matejki do dzieła, okazał się w skutkach niefortunnym; ale, zważywszy wszystko, nie mogło stać się inaczej. Ceniśmy wysoko geniusz tego mistrza pędzla, jest to bezspornie potężna indywidualność artystyczna; nie trzeba jednak zapominać o tém, że są całe działy malarstwa, leżące już poza granicami tej indywidualności, czego, nie szukając daleko, dowiodły najoczywiściej świeżo w tychże Sukiennicach wystawione rysunki Matejki w liczbie jedenastu, zaprojektowane do malowideł ściennych, mających przyozdobić Politechnikę lwowską. Cóż tu dopiero mówić o rzeźbie, sztuce wprawdzie spokrewnionej z malarstwem, ale bądź co bądź różnej, i której najgłówniejsze żywioły estetycznej ekspresyi, jak rytmiczność linii, szlachetność form i w ogóle piękno plastyczne, nie leżą wcale w naturze geniuszu Matejki. Wiedzą o tém bardzo dobrze wszyscy ci, co znają i podziwiając wspaniałe kompozycje krakowskiego mistrza, mają przytém jasne wyobrażenie o wymaganiach skulptury, zwłaszcza w jej monumentalnym zastosowaniu. Trudno też przypuścić, żeby nie wiedzieli o tém członkowie komitetu; — dla czego jednak nie wzięli tego na uwagę?

Matejko, jak wiadomo, już poraz trzeci występuje z rysunkowym projektem pomnika Mickiewicza, i to za każdym razem z zupełnie innym. Ktoś mógłby w tém upatrywać bogactwo inwencji; nam się jednak zdaje, że ta rozmaitość pomysłów na uplastycznienie jednej i tej samej idei, stwierdza poniekąd, iż ta idea nie skryształizowała się w wyobraźni krakowskiego mistrza w stałe, zdecydowane

kształty; że pomysły swoje rysunkowe rzuca on na papier ot tak, na chybi trafi. Z bliższego zaś rozpatrzenia się w tych projektach przyjść musimy i do drugiego wniosku, że na zadanie skulptury zapatruje się Matejko z czysto malarskiego punktu widzenia.

Zdawałoby się, że sam Matejko powinien najlepiej znać naturę swego geniuszu i właściwe dla niego pole, i że dlatego nie zechce czynić eksperymentów w dziedzinie obcej dla siebie, gdzie tak łatwo mógłby narazić na szwank zdobytą sławę. To też niezrozumiałą wydała się nam skwapliwość mistrza, z jaką, przeceniając swoją artystyczną możność, pośpieszył na wezwanie komitetu z wygotowaniem rysunku; czém ostatecznie przyczynił się do tego trudnego położenia, w jakim, po roku mitregi, znowu się sprawa budowy pomnika znalazła. Bo że do wykonania żadnego z dwóch wystawionych modeli nie przyjdzie, o tém niepodobna nawet wątpić.

Rysunkowy projekt Matejki, po którym komitet przed rokiem tak wiele sobie obiecywał, już w pierwszej chwili po jego wygotowaniu wzbudził ogólne rozczarowanie. W tym krytycznym momencie można się jeszcze było wycofać z błędnej drogi. Komitet jednak obstawiał przy raz powziętej decyzji; jego obrońcy odpierali wszelkie podnoszone w tym względzie zarzuty tém niewystarczającym zresztą zapewnieniem, że rysunek Matejki ma znaczenie jedynie pierwszego pomysłu, idei, szkicu, który w szczegółach powinien być i będzie zmieniony; że on w niczém zresztą nie krępuje rzeźbiarzy, powołanych do jego plastycznego obrobienia, służąc im jedynie za punkt wyjścia, a pozostawiając zupełną swobodę co do plastycznej interpretacji idei. Były to zapewnienia nieszczerze. Boć jedno z dwojga: albo rysunek Matejki w istocie posiadał genialne zalety, jak to głoszono, i w takim razie powinien we wszystkich swoich szczegółach być obowiązującym dla rzeźbiarzy; albo zalet tych nie posiadał, wymagał gruntownych zmian i poprawek, i w tym ostatnim wypadku nie miał żadnej praktycznej wartości.

Do wykonania modeli gipsowych, według wspomnianego rysunku, powołano, jak wiadomo, pp. Rygiera, Gadomskiego i Welońskiego. To znowu było niespodzianką. Zapytać się godzi, dla czego wybór padł na tych artystów a nie na innych? dla czego mianowicie nie na tych, którzy za najlepsze modele konkursowe otrzymali nagrody, i z téj racyi powinni słusznie uchodzić za rzeźbiarzy najbardziej obeznanych z warunkami skulptury monumentalnej? Wszak konkursu nie były ogłaszane na wiatr, dla zadośćuczynienia częściej formalności; lecz dla tego, żeby z ich pomocą wymacać najodpowiedniejsze siły rzeźbiarskie, wykryć najwłaściwsze do zamierzonego dzieła talenty, jakie w danéj chwili mieć możemy do dyspozycji. Dla czego komitet wyrzekł się dobrowolnie korzystania z wskazówek ostatniego konkursu? Wszystko to przypomina grę w ślepa babkę, do której niestety i sami artyści rzeźbiarze dali się wciągnąć. Tymczasem jeśli komu, to chyba tym ostatnim najlepiej powinny być znane względy



artystycznej natury, o które już wyżej potrąciliśmy. Z drugiej znów strony, nie mogły być im obce najelementarniejsze warunki artystycznego tworzenia w zakresie sztuk plastycznych, mianowicie w rzeźbie, gdzie myśl, treść, idea, a zewnętrzna jej postać, forma, stanowią tak nierozdzielną jedność, że wykluczają stanowczo składową pracę dwóch różnorodnych indywidualności na jedno dzieło sztuki, z którychby jedna dawała pomysł, a druga przybierała go w zmysłowe kształty. Tak w malarstwie jak w rzeźbie na podobnej drodze tylko miernota powstać może. Jedynie wówczas, gdy myśl, idea, sama z siebie formę, gdy obie z jednego wspólnego źródła—w duchu artysty biorą początek, jedynie wówczas powstają dzieła sztuki istotnego natchnienia, dzieła wysokiej artystycznej wartości. Takiem właśnie dziełem ogół chce mieć pomnik Mickiewicza.

Wystawione modele przekonywają najdowodniej, że wszelkie zapewnienia z kompetentnej strony, iż rysunek Matejki służyć miał jedynie artystom za punkt wyjścia, i że w ogólnych tylko rysach zaznaczał ideę pomnika—były prostą figurą retoryczną. Modele te są owszem najściślejszym powtórzeniem rysunku, i bądź co bądź świadczą albo o ubóstwie inwencji i braku samodzielności artystów, którzy z danej im swobody nie umieli zrobić użytku,—albo o bezwzględności, z jaką projektodawca przestrzegał każdego szczegółu swego rysunku, tłumiąc w artystach wszelki swobodniejszy polot wyobraźni. Ostatnie przypuszczenie zdaje się mieć za sobą najwięcej prawdopodobieństwa. Bo że ów tron druidyczny z wysokim oparciem, na którym Matejko usadowił był pierwotnie Mickiewicza, zastąpiony został odłamem kamienia; że figurująca na témże oparciu sowa znalazła pomieszczenie u stóp poety, i że wreszcie architektoniczna część pomnika, ledwie zaznaczona na rysunku, obecnie zdecydowane przybrała kształty, to drobne te zmiany nie mogą być brane w rachubę. Zresztą i te zmiany powtarzają się w obu modelach z taką dokładnością, że i one nie mogą chyba uchodzić za inowacyą wprowadzoną przez artystów, lecz również przez Matejkę zadekretowanemi być musiały. Znaczniejszą zmianę stanowi to, że zaznaczona niewyraźnie na pierwotnym rysunku grupa figur, będących upostaciowaniem rzek, z frontu pomnika przeniesioną została na tylną jego stronę, i to w zupełnie zmienionym układzie. Ale oto na ścianie obok modeli zawieszono drugi rysunek krakowskiego mistrza, nie przedstawiający żadnej wątpliwości, że i ta zmiana wyszła z jego inicjatywy. W całym więc dziele artyści-rzeźbiarze odegrali rolę posłusznych ślepych narzędzi. To despotyczne narzucenie się im obcej, kępującej swobodę ruchów woli—oczywiście nie mogło wyjść na dobre. Na całej robocie widać przymus, osobliwie też na modelu Rygiere. Dłuto tego artysty nie odznaczało się nigdy prawdziwie snycerskiem, posągówem zacięciem; powab jego dzieł, któremi sobie zjednał sławę, jest nie tyle plastycznym ile malowniczym. Atoli w uwydatnianiu duszy, uczucia i w ogóle życia wewnętrznego, jest on nieporównany. Nic też piękniejszego nad jego uroczę, pełne

wyrazu oblicza. Niestety, wszystkich tych zalet w modelu ani śladu dopatrzeć nie można.

Modele wykonane zostały na wielką stosunkowo skalę, mierzą bowiem około trzech metrów na wysokość i w ogólnym zarysie przedstawiają się jako piramida, której wysokość równa się prawie szerokości podstawy. Sam spód tworzy coś w rodzaju imitacji skały, z której wznosi się ciężki i dość wysoki czworobok, na nim zaś trzy stopnie wiodą do właściwego piedestału, ożywionego cokulem i gzemsem, na którym, na odtłami kamienia siedzi Mickiewicz, tworząc wierzchołek piramidy. Postawa siedząca, tym razem wcale nie na miejscu, czyni go skurczonym; patrzącemu zaś z dołu skurczenie to, wskutek złudzeń perspektywy, jeszcze się znaczniejszym wydaje. Głowa duża, zadarta nieco w górę, rozczochna, nastrzępiona. Postać poety okryta jest fałdami draperyi, z pod której wyglądają bosa nogi, prawe ramię, bok i piersi są również obnażone. Lewą rękę przycisnął do piersi, w prawej wyciągniętej przed siebie trzyma zwitek papieru. Twarz nie bez wyrazu, ale przedstawia poetę z doby ostatnich lat jego życia, i z owym nieestetycznym zarostem pod brodą. Figurze całej braknie spokoju i posągowej godności. Któs z widzów zauważył, że przypomina Wernyhore z jednego z obrazów Matejki: to dostatecznie charakteryzuje wrażenie, jakie posąg sprawia. U stóp poety lira, palma i sowa: ta ostatnia jest niekoniecznie trafnym emblematem. Dosyć o głównej figurze.

Poniżej, na frontowej stronie pomnika, znajdują się dwie figury alegoryczne i pośrodku olbrzymi orzeł z rozwiniętymi do lotu skrzydłami, trzymający pod szponami koronę, szczyrbiec i księgę rozwartą z napisem „kurs literatury słowiańskiej.“ Orzeł jest obrzucony pętlcami sznura, którego jeden koniec trzyma geniusz o wielkich, obwitych skrzydłach, zupełnie nagi (z lewej strony); przykląkł on na jedno kolano, bokiem do widzów zwrócony, w postawie żywcem powtórzonej według rysunku: lewą wzniesioną do góry ręką wskazuje na poetę. Ma on wyzwalać orka z więzów; atoli w tej przenośni plastycznej, prawda że wyraźnej, Matejko posunął się trochę za daleko; razi ona dzieciństwem, i zamiast obudzić uczucie wzniosłe—rozśmiesza. Przenośni poetycznych nie można tak sobie bez ceremonii przenosić w dziedzinę sztuki;—zdrowy smak się temu przeciwia. Żaden też rzeźbiarz prawdziwy w kompozycji nie dopuściłby się tego niewłaściwego wysoku fantazyi. Po drugiej stronie na najwyższym stopniu, tuż przy piedestale, stanęła postać niewieścia z kagankiem w prawej ręce, lewą poprawiająca włosy — tak przynajmniej jej ruch zrozumieliśmy. Ma to być personifikacja przyszłości. Jest to jedyna figura osłonięta całą draperyą, której powłóczyście fałdy na stopnie opadają, i najlepiej też wyszła z pod dłuta artystów. Całe to zgrupowanie figur wraz z orłem jest tego rodzaju, że nie wytwarza sylwety w rzeźbiarskim tego słowa pojęciu; gdy tymczasem w pomniku, mającym stanąć na otwartym placu, o taką sylwetę przedewszystkiem chodzić

powinno. Między lewą a prawą jej stroną brak symetrii, brak estetycznej równowagi. Matejko zgrupował tu figury zupełnie po malarzku, jakby na tle obrazu, gdzie o sylwetę mniej chodzi i o którą sam mistrz nigdy troszczyć się nie przywykł. W rzeźbie atoli, a témbar-dziej w pomniku, jest to usterka nie do darowania.

Wracając jeszcze do emblematów, pozwolimy sobie zauważyć, że książka z kursem literatur słowiańskich nie jest pomysłem szczęśliwym, o ile chodzi o charakterystykę wieszca. Kursa literatury słowiańskiej były niewątpliwie świetną improwizacją, ale właściwie nie mają one nic wspólnego ze znaczeniem Mickiewicza jako narodowego poety; ich wartość naukowa jest dziś dość wątpliwa, a w żadnym razie nie zawierają w sobie skarbów mądrości, na którą owa emblematyczna sowa usiłuje kłaść nacisk. Porównawszy te emblematyczne dodatki z wygodną, siedzącą postawą poety, możnaby mniemać, że Matejce szło przedewszystkiem o zaznaczenie w pomniku Mickiewicza jego profesorskiej działalności, — i tu właśnie rozminął się z główną ideą pomnika, który ma być apoteozą nie uczonego, nie profesora, lecz poety, wieszca.

Na tylniej stronie pomnika znajduje się grupa złożona z trzech figur, będących upostaciowaniem rzek Wisły, Dniepru i Niemna. Spotykamy się tu z pewną reminiscencją Dykasa w postaci konchy, z której ścieka woda. Ponad tym źródłem, przyczepionym do pomnika Mickiewicza ni w pięć ni w dziewięć, z ujmą dla jego powagi, wznosi się niewieścia personifikacja Wisły, której za cały strój służy wianek i naszyjnik. Daremnie jednak wystawia ona na pokaz swe nagie kształty, którym daleko do piękności. Już to w ogólności w traktowaniu nagiego ciała, artyści nie dowiedli wielkiego wirtuozostwa. Wszędzie tu spotykamy się z kształtami powszednimi, banalnemi, mocno indywidualizowanemi i zgoła dalekiemi od piękna idealnego. Wisła oparta plecami o skałę, lewą nogę podwinęła pod siebie, a głowę przechyliła ku również nagiemu młodzieńcowi (Dniepr), rozwalonemu na stopniach tyłem do publiczności, z nogami rozrzuconemi i w zgoła niemożliwej, gimnastycznej pozie. Z przeciwniej strony przysiadł na stopniach sędziwy, brodaty Niemen, także nagi, z głową wspartą na dłoni, obrzucony w części siecią rybacką. Układ téj figury również wymuszony. Całą tę grupę opisaliśmy wedle modelu p. Gadomskiego. U p. Rygiera zachodzą co do niej pewne różnice, tak np. koncha z wodą umieszczona jest znacznie niżej, postać Wisły więcéj siedząca i t. d. W kreśleniu nagich figur, które, jak widzimy, przeważają w modelach, mianowicie w ich układzie i rysunku, wyszły może najbardziej na jaw cechy pędzla Matejki, cechy nie dające się w żaden sposób pogodzić z wybrednemi pod tym względem wymaganiami skulptury. Matejko miał zawsze słabość do baroku, i w obrazach swych słabości téj, jak wiadomo, aż nadto folguje. W obec atoli przewagi treści, w obec mistrzostwa jego w kreśleniu charakterów, ty-pów, ujemne te właściwości jego pędzla nie rzucają się w oczy, tém-



bardziej, że je widzimy okupionemi tyłu innemi cennemi zaletami. Ten sam pociąg do barokowych łamanin i dziwactw, wynurzył się też w obu rysunkach Matejki, sporządzonych na wzór do modeli, i powtarza się w samychże modelach, a dodawać chyba nie potrzebujemy, że sprawa tu skutek jak najmniej pożądana.

Patrząc na pomnik z boku, spostrzegamy ten sam brak sylwety, szwankującej głównie z braku symetrii i równowagi, któryśmy już z frontu zauważyli. W ogólności, model p. Gadowskiego odznacza się staranniejszém wykończeniem i posiada więcej plastycznych zalet, niż model p. Rygiera. Zresztą w ścisłą ocenę roboty rzeźbiarskiej wdawać się nie mamy zamiaru; są to bowiem tylko modele, nie zaś dzieła skończone. Co teraz wydać się może nie dość wystudyaném, nie dość skończoném pod względem plastycznego piękna, w pomniku rzeczywistym, w skali powiększonej, przybrać może postać nierównie bardziej zadawalniającą wymagania estetyczne. Inaczej atoli rzecz się ma z samym pomysłem, z ideą pomnika; i na nią też głównie kładziemy tu nacisk, bo to, co tu jest chyboném, niewłaściwém, ekscentryczném, odnosi się do wewnętrznej istoty dzieła i poprawić się już nie da. Wszelkie tego rodzaju poprawki i uzupełnienia byłyby tylko lichą łataniną, nie wiodącą do celu.

Ogólny zarys piramidalny pomnika grzeszy nietylko wadliwą sylwetą, ale i złém ustosunkowaniem wymiarów: powiększony do właściwej skali, postawiony na otwartym placu, przy obecnym stosunku wysokości do szerokości podstawy, z powodu perspektywicznego skrócenia, nie uwzględnionego należyte w projekcie, wyda się on o wiele niższym jeszcze niż jest istotnie, rozsiądzie się bardziej na szerokość, przypłaszczy i przez to samo nie wywoła pożądanego wrażenia.

Sama figura Mickiewicza, tak jak ją pojął Matejko, siedząca i skurczona, nietylko nie dominuje nad figurami alegorycznemi swoją wartością estetyczną, ale nawet wymiarem swoim nie ma nad niemi przewagi. Jest ona mniej więcej téj samej skali, co wszystkie inne figury, bez względu na to, że posąg poety jako dźwignięty znacznie wyżej od innych figur, zatém bardziej od widza oddalony, bardziej w skurczu się przedstawiający, już dla tego samego na większą skalę powinien być obliczony. Słowem, na każdym kroku potracamy tu o brak należytego uwzględnienia najelementarniejszych zasad. Na jaką zaś skalę modele zostały wykonane, to jest w jakim mianowicie pozostają stosunku do zamierzonej wysokości pomnika — tego dowiedzieć się nie mogliśmy. A i to przecież wzgląd nie małej wagi w obecnym architektonicznym otoczeniu, jakie pomnik na placu Maryackim ma otrzymać.

Koniec końców szkoda straconego czasu i kosztów, jakie wygotowanie modeli za sobą pociągnęło.

Komitet budowy pomnika zebrał się na posiedzenie 15 lutego, ale z powodu nie stawienia się członków zamiejscowych nie powziął stanowczej decyzji, odkładając ją do pełniejszego zebrania, które ma

być w kwietniu zwołane. Wszakże i teraz już odezwały się w łonie komitetu głosy, doradzające zaniechanie projektu Matejki i ogłoszenie nowego konkursu; ale spotkały się z opozycją. Między zapadłymi na wspomnianém posiedzeniu uchwałami jest jedna, polecająca podkomitetowi wygotowanie kosztorysu pomnika według pomysłu Matejki a modeli pp. Gadomskiego i Rygiera, i obmyślenie planu dalszego działania. Chociaż więc ostatecznej decyzji komitetu dziś przesądzać nie możemy, powyższa jednak uchwała świadczy, że mimo wszystko, co przeciwko estetycznej i praktycznej wartości projektu Matejki przemawia, posiada on w komitecie zdecydowanych zwolenników i obrońców.

Niewzywany i nieproszony nadesłał też i p. Dykas nowy model na pomnik Mickiewicza, według własnego oryginalnego pomysłu. Niewiele jednak da się o nim powiedzieć, pomimo bowiem że już kilka dni minęło, jak nadszedł do Krakowa, znajdował się jeszcze w pacce i tylko pobieżnie mógł być obejrzany. Tyle wszakże jest pewnym, że oddawane mu przez niektórych korespondentów wielkie pochwały, są bardzo przesadzone. Architektoniczna część jest prawie dokładnym powtórzeniem modelu, nagrodzonego na ostatnim konkursie, z małą, ale wielce nieszcześliwą odmianą. Organiczne przeprowadzenie części architektonicznej, stanowiło, jak wiadomo, jedną z największych zalet modelu p. Dykasa; chociaż, jak to stwierdzono, była ona dość ściśłem powtórzeniem architektonicznej części pomnika Beethowena w Wiedniu. Otóż wprowadzone obecnie inowacje, w znacznej części organiczność tę narażają. Trudno byłoby zaiste przy tak małej zmianie więcej zepsuć, niż to uczynił p. Dykas. O figurach dekoracyjnych, jak i o posagu samego poety nie powiemy, bośmy o nich należytego wyobrażenia powziąć nie mogli.

Na naszej scenie od lat dawnych nie słyszano dzieł Mozarta, ukazanie się zatem opery „Wesele Figara” było miłą niespodzianką dla wszystkich miłośników muzyki. Ze dyrekcyja Teatrów zainaugurowała rok bieżący tém arcydziełem klasycznym, zawdzięczać trzeba przeważnie pannie Machwitzównie, występującej u nas gościnnie, a posiadającej w swym repertuarze wśród innych ról i rolę Cherubina. Przedstawienie powiodło się bardzo dobrze, co godnym jest podziwu, albowiem właściwe odtworzenie stylu muzyki klasycznej, z całą jej naiwnością a finezyą, prostotą a dystynkcyą, jest nader trudną rzeczą dla artystów, którzy są zmuszeni bez wyboru w najróżnorodniejszym obracać się repertuarze. Tym razem wszakże, wszyscy nasi artyści dostroili się do wysokości zadania, a na szczególniejsze wyróżnienie zasłużyła sobie panna Józefa Szlezygerówna w roli Zuzanny.

Nazajutrz po wystawieniu „Figara” drugą pociągającą nowością (w Teatrze Małym) była operetka zatytułowana „Warszawiacy za granicą” z muzyką a po części i librettem p. Z. Noskowskiego.

Niestety, żywe zainteresowanie z jakim publiczność ufna w talent kompozytora zebrała się w salce teatralnej, zostało mocno zawiedzione! Ze zdumieniem i przykrością śledzono za rozwijającą się akcją niekonsekwentną, bezmyślną i do najwyższego stopnia trywialną, do której wrzęgnięta muzyka wydała się tak zbrukaną, poniżoną, że dla tych słuchaczy, którzy przywykli za jej pomocą otrzymywać miłe, szlachetne, wzniosłe wrażenia, stało się nareszcie niemożliwem dotrzeć do końca widowiska. Po paru przedstawieniach operetka ta bezpowrotnie usunięta została z repertuaru teatralnego. Natomiast długim zapewne powodzeniem cieszyć się będzie dramat ludowy „*Chata za wsią*,” przerobiony z powieści Kraszewskiego przez panią Mellerową i p. Galasiewicza, a ilustrowany muzyką przez Noskowskiego. Tutaj, w ładne motywa, w świetną jak zwykle instrumentacją i śpiew chóralny, ujęte zostały różnorodne momenta dramatu. Pierwszy zwłaszcza chór cyganów, odzywa się nutą charakterystyczną, dziką a tęskną, — powiewną zaś intermezzo w trzecim akcie, rozlewa dużo poezji kojarząc się znakomicie z obrazem scenicznym. Muzyka baletowa otrzymała też oryginalną i kunsztowną formę. Te produkcje p. Noskowskiego zdają się wymownie świadczyć jak ważnym dla kompozytora wybór libretta, z którego ma czerpać swe natchnienie, jeśli tylko dba o jego nastrój szlachetny, pełen godności.

W dwóch ubiegłych miesiącach, odwiedziło Warszawę kilku cenniejszych wirtuozów i śpiewaków; wśród nich najwybitniejsze miejsce zajęli pp. Lassalle, Sauret, Grünfeld oraz panna Barbi. Pierwszy z nich przybył do nas w towarzystwie trupy francuzkiej p. Dieudonn'e, która do nader niekorzystnych wrażeń usposobić mogła audytoryum. Zwyciężyła jednak potęgą prawdziwego talentu; Lassalle opanował wkrótce całą uwagę słuchaczy i stwierdził to, co o nim już oddawna krytyka zagraniczna donosiła: że jest artystą obdarzonym fenomenalnym barytonowym głosem i że nim włada po mistrzowski, czy to dramatyczne wywołując efekty, czyli też wruszając słuchacza głębokim liryzmem. Jako aktor, Lassalle hołduje terazniejszej szkole realistycznej, nie mającej jeszcze zastosowania w naszej operze, gdzie przywykliśmy widzieć konwencyonalnie poruszające się postacie.

Dnia 8 stycznia w Teatrze Wielkim, a w parę dni później w Towarzystwie Muzycznem, grał Emil Sauret, znakomity skrzypek. Przy zupełnie skończonej kolosalnej technice, gra Sauret'a posiada wszystkie wytworne cechy szkoły francuzkiej, a więc: śpiewność, elegancją we frazowaniu, dokładność w wykończeniu szczegółów, lecz potęgi tonu i dramatyczności nie można od niego wymagać, nie tkwi to już w jego charakterze. Pomimo tylu zalet gry jego, koncerty, w których dał się słyszeć zgromadziły nieliczną garstkę słuchaczy, i to przeważnie artystów. Zwykły to a nader smutny objaw oziębłości, jaką nasza publika darzy staranne koncerty dyrekcji Teatrów; i p. Grünfeld pianista, grał również w pustej sali, jakkolwiek jest wirtuozem natury na wskroś artystycznej, pełen życia i zapału, coraz szerszym



zakresem ogarniający sztukę, której najdrobniejszy nawet utwór umie owiać właściwym sobie poetycznym urokiem.

Trzecią znakomitością artystyczną, która wywiozła smutne wyobrażenie o naszej muzykalności, była panna Barbi koncertowa śpiewaczka włoska, uczennica Vannucieniego z Florencyi. W repertuarze swoim posiada ona przeważnie tylko stare Canzonetty i arye z XVI i XVII stulecia, lecz z takim mistrzostwem je wykonywa, tak umie nadać im typ właściwy, poważny, naiwny lub figlarny, nawet nacechowany głębokiem uczuciem, że z każdój czyni odrębny klejnocik wielkiej wartości i powabu. Głos jój niewielki ale niezmiernie giętki i wyrobiony, nadaje się szczególnie do tego rodzaju muzyki, która, mówiąc nawiasem, coraz mniej niestety liczy wielbicieli i inteligentnych wykonawców. Równocześnie z panną Barbi występował p. Cesi fortepianista, profesor Konserwatorium neapolitańskiego. Jako uczeń Thalberga p. Cesi zabłysnął przejętą od swego mistrza pewną elegancją w technice, do której dołączył gorący temperament południowca; utworzyło to grę nie bez wartości lecz nie wystarczającą wymaganiom tegocześniejszej muzyki fortepianowej, opartej głównie na efektach wyzskanych zupełnym panowaniem nad instrumentem.

Na ostatnim koncercie Dyrekcyi Teatrów wystąpiła panna Marya Soldat, uczennica Joachima, młoda wiolonistka, której można wróżyć świetną przyszłość. Nie posiada ona jeszcze indywidualności, nie imponuje brawurą ani błyskotliwą fantazyą jak Teresina Tua, lecz pod względem poprawności technicznej strony gry, jak również poważnym wnikiem w charakterystykę wykonywanych dzieł, już obecnie zasługuje na wyróżnienie wśród liczego zastępu młodych wirtuozów.

Dnia 19 lutego w sali ratuszowej, odbył się koncert panien: Wandy i Jadwigi Bulewskich. Gdyby można było zmienić wielką ratuszową salę, na mały zaciszny salonik, i gdyby ta sympatyczna siostrzana parka grą swoją uprzyjemniła czas zebranemu w niém kółku amatorów, wrażenia odniesione byłyby bardzo zadawalającemi; lecz od gry koncertowej o wiele więcej się dzisiaj wymaga, z tego względu występ panien Bulewskich, nie da się policzyć do interesujących faktów z dziedziny sztuki. Bądź co bądź, przyznać jednak musimy, że panna Jadwiga Bulewska, wiolonistka, od czasu ostatniego swego występu w Warszawie, znacznie postąpiła przez wyrobienie większej techniki i czystości intouacyi i pozbycie się w części, przesadnej dyletanckiej manieri.

Półtora roku już upłynęło od czasu jak śliczny poemat ludowy Kraszewskiego „Chata za wsią“ ukazał się pierwszy raz w formie dramatu na scenie jednego z ogródkowych teatrów warszawskich, i zajęcie wzbudził nadzwyczajne. Zajęcie to nie mogło atoli posiadać charakteru stanowczości, dopóki o sztuce nie wyrzeknie ta publiczność wybredniejsza, która na prace autorów i aktorów spogląda z wysokości łóż

siedmorublowych, a zwłaszcza z piętra swych estetycznych wymagań znanowionych gustami wszelkiego rodzaju i wszelkiej wartości. Nareszcie, przed miesiącem i tę niebezpieczną próbę sztuka odbyła z powodzeniem. Teatr wielki napełnił się do szczytu, i dotąd jeszcze, pomimo często powtarzanych przedstawień, jeżeli świecą w sali łysiny, to wcale nie te co szkodzą kasie teatralnej.

Jakie mogą być warunki tego powodzenia po takim ograniu sztuki? Owóż, jakkolwiek sztuka jest ograna, i w treści swęj znaną jeszcze z powieści, przeciętny widz, taki nawet który widział ją na scenie i w siły artystyczne i w środki wystawowe ubogiej, doznawszy mimo to zajęcia, idzie ją zobaczyć choćby dla porównania jak się wyda na scenie nietylko pierwszorzędnej w kraju, ale liczącej się między pierwszymi i zagranicą. Tém chętniej i ciekawiej idzie widz nie znający sztuki zupełnie. I cóż zastaje? Wszystko co tylko jako widowisko, może zewnątrz wpłynąć zajmująco na wyobraźnię. Przedewszystkiem zaś idzie wystawa. Od przedstawień towarzystwa z Meiningen, sposób jego reprezentacyi i urządzeń scenicznych nie dawał spać naszym reżyseryi, i niebawem spostrzegliśmy od czasu do czasu lekkie zarysy téj nieporównanej techniki i malowniczości jaką słusznie podziwiają pod obecnym kierunkiem p. Cronecka. Ale te słabe i nieśmiałe drgnienia przybrały dopiero pierwszy raz wyraz stanowczy i określony w „Chacie za wsią.“

Sztuka dawała po temu sposobność, ma ona bowiem w sobie dużo żywiołu malowniczego. Nasamprzód idą kostiumy dwojga narodów, chłopskiego i cygańskiego; a więc pole dla reżysera do wyyskania téj części charakteru zarówno ze strony malowniczej jako i etnologicznej, a zgodnej z prawdą lokalną. Co do tego atoli punktu, ze względu na ścisłość, mamy już gotowy jeden zarzut, mniej dotyczący reżysera, niż twórców przeróbki. U Kraszewskiego akcyja powieści odbywa się na Polesiu; i lud téż u niego, o ile w powieści da się to uwydatnić, posiada wszystkie cechy lokalne. W przeróbce dramatycznej lud ten (mówimy tu tylko o figurach podrzędnych i o masach ludowych, nie rozbierając jeszcze charakteru bohaterów głównych) ma charakter nieokreślony, to co francuzi nazywają *vague*, a raczej charakter mieszany, którego nie można (jak np. krakowiaków lub mazurów), odnieść do pewnej zdeterminowanej prowincyi, bo zarywa na kilka prowincyi. Są tam jakieś nibyto świty, niby czapki baranie, niby namiotki, nakształt używanych na Rusi, ale dalekie od kształtów rzeczywistych; są buty i trzewiki, których poleszuk dotąd jeszcze nie używa, zastępując je u obojój płci postołami, a cóż dopiero mówić o czasie, do którego odnosi się akcyja sztuki. Lud ten śpiewa dумы ukraińskie i tańczy taniec ukraiński, ale wewnątrz jego chaty przypomina czerniakowską, zgoła niepodobną do urządzenia nad Prypecią lub Rosią; zdobi ją między innymi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, o której poleszuk może kiedy słyssał, lecz nie zdobywa się na taki bytyek jak obraz, choćby ten nawet pochodził z bliższych mu okolic.

Taka charakterystyka zewnętrzna może zadowolnić przeciętnego widza, ale dla znawcy kraju nie wystarczy, jeżeli już ekspozycją mamy mierzyć na skalę meiningeuską. Pod tym względem autor powinien był informować reżysera.

Ale, pominiawszy stronę etnologiczną, widzieliśmy na scenie te masy ludowe pierwszy raz nareszcie sprawiające się w większym zbliżeniu do natury. Nie były to już, jak zwykle dotąd bywało, skupione na jeden punkt maryonетки, które stoją, idą, śpiewają lub milczą bezmyślnie, jakby kierowane sprężyną; byli to ludzie poruszający się samodzielnie, przyjmujący widocznie udział w tém co się dzieje koło nich, sprawiający pewne złudzenie prawdy i rzeczywistości. Reżyser zatem spełnił wśród ludu to, co było jego wyłącznym zadaniem. A próba ta tém jest pomyślniejszą, iż staje się niejako zapowiedzią, że i nadal przy wprowadzaniu chórów i mas na scenę, nie będziemy już mieli do czynienia z nieznośnymi mumjami.

Nicdosyć na tém: postęp od ludzi przeniósł się i do dekoracji. Akcja „Chaty za wsią“ odbywa się po większej części pod gołem niebem, na łonie natury. I tu zatem sztuka naprawdę do niej starała się zbliżyć. Mieliśmy przed oczyma prawdziwą noc, piękną noc letnią, poczynającą się od wspaniałego wśród złocistych obłoków zachodu słońca, które staczając się z wolna, w miarę zanikania połysków, odsłaniało coraz liczniejsze gwiazdy na szarzącym lazurze, dopóki nie wystąpił z kolei księżyc, by nowém światłem łagodnym obrzucić horyzont, przy najpiękniejszym efekcie optycznym.

Pod względem więc malowniczej plastyki na scenie, „Chata za wsią“ zaznacza nowy zwrot teatru naszego, za co należy się uznać dzisiejszemu jego zarządowi. Malowniczość ta podobała się widzom, a śliczna ilustracja muzyczna Noskowskiego dopełniła miary korzystnego wrażenia odniesionego ze sztuki, która z pomiędzy wielu, najbardziej nadawała się do rozwinięcia takiej malowniczości.

Jest też ona i w swój wewnętrznej wartości obrazem więcej, niż czémkolwiek inném. Autorowie przeróbki starali się wyzyskać z powieści na rzecz sceny, ile się dało; ale ponieważ powieść i scena są to dwie rzeczy bardzo różne, wzięwszy zatem główny motyw i główne figury, grę połączeń wykonali samodzielnie. Jak w powieści tak i tu, młody cygan Tumry zakochany w wieśniaczce Motrunie, córce Lepiuka, i wzajem przez nią ukochany, stara się o jej rękę. Przeciw temu zamiarowi stanowczo występuje stary Lepiuk, dziś dostatni gospodarz, ale z urodzenia także cygan, ożeniony z wieśniaczką a obecnie owdwiały. Opór swój uzasadnia on dwoma powodami. Cygan, gdyby niewiedzieć jak się przystosował do nowego położenia, zawsze wespół z ludem nosić będzie znamię odrzucenia, bo lud wiejski na wszystko co nie jest nim, patrzy z podejrzaniem, jeśli nie ze wstrętem; cygan więc na każdym kroku, doznawać będzie niechęci i pogardy, która mu życie zatruje. Wie on to z własnego doświadczenia, i nie chciałby żeby jego córka wychodząc za cygana, przedłużała owo przeklęte w jego



rodzie znamię cygaństwa. Z drugiej strony, zna on tę naturę niesforną, zmienną, buntującą się przeciw wszelkiej jednostajności, z którą sam walczyć musiał i walczy jeszcze w starości. Czyż córka jego tę pogardę ogółu jaka ją czeka, wynagrodzi sobie choćby trwałą miłością męża? Wielka wątpliwość: i dlatego stary Lepiuk pod przekleństwem zakazuje jęj łączyć się z cyganem. Zakaz nie skutkuje, i ojciec przekląwszy, wydziedziczywszy córkę, z boleści umiera. Związkowi Tumrego z Motruną towarzyszy nędza. Mieszkaniem ich licha lepianka za wsią pod cmentarzem, którą zdaleka obchodzą wieśniacy, aby nie spotkać się z przekłętą parą. Jedyńm ich przyjacielem i dobroczyńcą głupkowaty niedołęga żebrak, w gruncie serdeczny i uczciwy a nadewszystko praktyczny, Janko.

Ale nie na samęj tylko nędzy ogranicza się wpływ przekleństwa Lepiuka. Po roku już Tumry nastuchuje w duszy tego głosu swobody, której się zaparł. Ona królową jego duszy, a on chciał zapanować nad nią. Kocha jeszcze Motrunę z uniesieniem, ale szczęścia przy niej nie doznaje: ona to obowiązek i nędza. Tymczasem tam, w taborze od którego odbiegł, pozostała czarująca Aza, której zaparł on widzieć nie chciał, zakochany w Motrunie. Teraz myśl jego coraz częściej zatrzymuje się na Azie. Ona, to sama rozkosz bezobowiązkowa, przy niej życie i swoboda, a on porzucił to wszystko ażeby cierpieć przymus, pogardę i nędzę. Wobec takich rozmyślań zjawia się napowrót we wsi koczowniczy tabor cygański, z piękną Azą na czele. Przegrana twoja sprawa Motruno! Tumry posłyszał wśród ciszy nocnej ten gwarny wesoły pochód, powiało do niego powietrze swobody, nuta pieśni rodzinnej, która do głębi pierś jego wstrząsnęła. Za chwilę jest on już między swojemi, w objęciach tój ognistej Azy, która rzuca się na niego jak na zdobycz tygrys zgłodniały.—„Tyś mój!“ woła na niego Aza, ale ten głos smutnie odbija się w duszy Tumrego, tłumiony głosem innej miłości i obowiązku. Dowiaduje się że został ojcem. Nowe uczucie bierze chwilowo górę, ucieka od Azy, której miłość gwałtownie przez to zamienia się na nienawiść i zemstę. Aza staje się furją. Ona nie może darować Tumremu że ją powtórnie porzucił dla innej, ale wie i o tём, że zawiele wdardała się do jego duszy ażeby mu zobojętnić. On będzie się szamotał jak męczeńnik piekielny między dwiema miłościami, powróci znów do niej; ale wtedy znajdzie już tylko gnębicielkę, która podniecać będzie jego żądze ażeby niezaspokojoną przyprowadzić o wściekłości. I tak się stało. Tumry ukąszony w duszę przez tarantulę zazdrości, w chwili gdy Aza na złość jemu zostaje kochanką panicza ze dworu, wije się w szale opętanego, a nie mogąc już żyć ani z Azą, ani bez Azy, rozstrzyga rzecz samobójstwem.

Kraszewski tę wiekuiatą zawieruchę namiętności ludzkich wprowadził tu na tło ludowe, i nadał tóz jęj odpowiedni koloryt, właściwy tój naturze z jaką ma do czynienia. Kraszewski nietylko tu, ale i wszędzie, przedstawiając lud, ma ten luby realizm, który streszcza-

jąc istotę, unika szczegółów estetycznie rażących; jego prostota nigdy nie jest rubasznością, on pamięta o tém że ten lud przy całym swém nieokrzesianiu, ciemnocie i wadach, twórcą jest zarazem tych nieskończonych i nieśmiertelnych pieśni i melodyj, przenikających uczuciem i prawdą, na których wzorują się późniejsi mistrze, aby być narodowymi. Patrzy on téż na lud przez ten pryzmat poezji iskrzącej z jego obyczajów, zwyczajów, uroczystości, utworów; widzi go na tle natury, téj żywej poezji, nieśmiertelnej w swych polach i lasach, górach i krynicach. Każdy téż utwór ludowy Kraszewskiego technie przedewszystkiém poezją; natura wywiera na niego jakiś wpływ mistyczny: ile razy jęj dotknie, zaraz powieściopisarz przemienia się w poetę, nie tracąc z charakteru romansopisarza. Jego „Chata za wsią“ przesiąkła jest taką poezją w odniesieniu do wszelkich zjawisk zewnętrznych i ludzkich. Jego ludzie jednak nie sadzą się na frazesy poetyczne, nadco nie ma nic obrzydliwszego; ale poetycznemi są mimowolnie, bezwiednie, ot tak, jako nieodrodne dzieci i wychowauce matki-natury, która jest poezją samą. W spadku po nięj objąwszy prawdę posiadającą tę szczerość i nieogłędność znamionującą ich czyny, tę naiwność z jaką zapatrują się na rzeczy, tę beznamysłowość z jaką ujawniają siebie i swoje wrażenia, we wszystkiém i na każdym kroku trzymając się bezwiednie rąbka szaty drapującej naturę.

„Chata za wsią“ w dodatku, ma dwa żywioły natury odmiennęj, a więc kontrast, który na rzecz poezji i dramatu korzystnie wyzyskać można. Chłop, to spokój; cygan, to ruch; inna krew, inny obyczaj; osiedlenie i koczownik, ziemianin i bezziemny, jestestwo domowe i dzikie, spotykają się na jednym gruncie. Jeżeli z jednéj strony, chłop pod piórem Kraszewskiego zyskał obraz wyczerpująco malowniczy, nieupośledzonym i cygan został pod tym względem. Malarz snąc przypatrywał mu się zblizka i dobrze, z tą intuicyą twórcy, która jednym rzutem oka obejmuje cechy główne, ażeby z nich układać kombinacye zgodne z istotą rzeczy. W dziele też Kraszewskiego natypykamy co chwila jakiś rys charakterystyczny z obu stron, kontrast dwóch natur występuje w szczegółach coraz konkretniej, coraz żywiej, a z tych kombinacji wynika walka łamiąca dwie linie aż do rozstrzaskania.

Jeżeli z jednéj strony występują uczucia łagodne, a z drugieji dzikie, nie idzie za tém, aby pierwsze były samą cnotą, drugie samą zbrodnią. Obie strony stoją przed autorem nie jak przed sędzią śledczym, opatrzonym w pozytywne artykuły pewnego kodeksu moralno-społecznego, ale jako przed sympatycznym badaczem objawów ducha. Kreśli on początki czynów związanych się gdzieś w głębi usposobień, prowadzi ich historią psychologiczną, kieruje ich rozwojem ściśle według wskazówek konieczności naturalnej, ale ich nie krytykuje ze stanowiska pewnej danéj moralności, téj zwłaszcza, któraby obcą była światowi do jakiego nas wprowadził. Jego Aza w salonie byłaby potworą; w namiocie cygańskim jest poprostu zjawiskiem. I cała

ta historia która w murach cywilizowanego grodu byłaby skandalem, tam, na łonie natury przedstawia się jako jeden z jej epizodów przypominający burzę, starcie się dwóch żywiołów przeciwnych.

Tę naturę, tę poezją i tę psychologią wykonaną z nieporównanym mistrzostwem bardzo trudno przenieść z powieści na scenę. To co w opisie powieściowym zachwyca, na scenie byłoby nużącym; nawzajem co w powieści zaledwie się zaznacza, tu podaje się do szerszego rozwinięcia. Przeróbki tego rodzaju udają się też rzadko. „Chata za wsią“ należy do szczęśliwszych, dzięki żywiołowi obrazowemu; ale nie dorównywa pierwowzorowi. Przedewszystkiem przyblada w niej jego poezya, ta poezya naiwna i samorzutna, tkwiąca w rzeczy samej, nie w słowie, a natomiast z całego układu wystąpił melodram. Poezyi zapożyczyć nie można, trzeba ją mieć w sobie. Wogóle, w pierwowzorze bohaterowie mało mówią, ale wciąż zaznaczają się samym ruchem życiowym: w teatrze panuje dyalog nieustanny, a ten nie dochodzi do pożądanej zgodności form z istotą; zawiele w nim koloru literackiego ze sfery obcej ludowi. Główny bohater Tumry, w szczegółach wziętych wprost z pierwowzoru przedstawia się wybornie, ale w toku dyalogowym zakrawa na cygana robionego, mówi w zbyt książkowych frazesach. Bardziej jeszcze grzeszy pod tym względem Motruna, z której sposobu wysłowienia niktby się nie domyślił wiejskiej dziewczyny z zapadłego poleskiego zakątka. Tę nadto stronę frazeologiczną i sentymentalną podniosła panna Wisnowska w ten sposób, że jej Motruna, w każdym razie pod technieniem tak inteligentnej artystki, sympatyczna, wygląda literalnie na pannę schłopiałą lub udającą chłopiankę, nie zaś na urodzone kurnej chaty dziecię. Stary Lepiuk, skończenie odtworzony przez P. Rapackiego, posiada istotne cechy chłopca, ale skrojonego więcej na wzór mazowiecki. Wprawdzie jego gwałtowne wysoki nie byłyby dość i w tym charakterze naturalnemi, lecz tłómaczy je panująca nad długoletnim trybem życia gorąca krew cygańska; i z tą jednak modyfikacją długa ceremonia jego śmierci jest zbyt teatralną, powiemy co większa, zgoła na scenie niepotrzebną, a tylko na melodramatyczny efekt niższego rzędu obmyślaną. Wybornie zato pod każdym względem udało się przenieść epizodyczną, ale pełną charakteru postać głupiego Janka, z jego serdecznością i zgłupia-frant chytryością. To jedna z tych figur okaleczających fizycznie i umysłowo, jakie zdarzają się po wsiach, gdzie dzieci często przychodzą na świat popijanemu, przynosząc z sobą wadę, dla której duch nie może przyjść do panowania w zupełności, tylko przebłyskuje czasami. Wiernie kreślony z natury przez autora Janko, obdarzony w przeróbce pewną szczyptą humoru, wiernie też i oryginalnie wyszedł w interpretacji p. Galasiewicza, i do najlepszych rol jego zaliczonym być może, jako szczególna w swoim rodzaju sylwetka. Wodzem bandy cygańskiej był p. Kotarbiński; i rzecz godna uwagi: artysta ten często szwankujący w rolach kochanków, które wziął sobie za przedmiot, tu w postaci starego dzikusa, wyszedł zadziwiająco



poprawnie i efektywnie. Czyby nie dobrze było odbyć jeszcze kilka prób podobnych, a kto wie, możeby z nich wynikała wskazówka właściwej dlań drogi na scenie, pomiędzy rolami charakterystycznymi.

Królową atoli całego widowiska nazwać można Azę. Oszczędna w słowach, zachowała ta postać całą niemal sprężystość i demoniczny urok pierwowzoru. Istota spełniająca tylko burzliwe instynkta swój natury, pewna swój siły jak lawa strzelająca z wulkanu, przypadła w sam raz do powierzchowności, przyrodzonych zdolności i temperamentu panny Marczello-Chraszczewskiej. Dość jej było tu, zdaje się, puścić wodze temu temperamantowi, który dobrze znamy z jego niepowściągliwości, ażeby odtworzyć naturę kobiety złożoną ze krwi i ognia, a jednak rzecz dziwna i chwalebna, tu właśnie p. Chraszczewska nie dała się uwieść pokusie, temperament przyrodzony poddała karbom artystycznym, a ztąd wynikała też kreacja w treści prawdziwa, w całości piękna. Szkoda że tego nie możemy powiedzieć o Tumrym p. Leszczyńskiego, który w teatrze ogródkowym zyskiwał w tej roli frenetyczne oklaski, a prasę napełniał pochwałami swój gry. Co mu się stało? Wszak to jego przedmiot ulubiony, zgodny z całym nastrojem talentu. A jednak Tumry jego był bardzo nierówny. Czasami przekonywający prawdą, to znów banalny i nic nie znaczący: cygan zmieszany z kapucynem. A jakież błady przed śmiercią, w chwili wielkiego postanowienia. Ten postronk, który trzyma w ręku, wydaje się być u niego sznurkiem przygotowanym do wiązania pakunku, nie zaś narzędziem śmierci zakładającej nań swą dławiającą rękę. Może się te nierówności dotąd wyrównały, my spisujemy wrażenia z pierwszej reprezentacji.

Pewne niedokładności nie stanowią o ogóle. Sztuka dzięki dobrej reżyserii, w swych większych i mniejszych partyach, w całości odegraną była poprawnie. Jeżeli tekst się nieco rozwlekał, przychodziła z pomocą muzyka, wystawa, tak że praca pani Mellerowej i p. Galasiewicza, oraz p. Noskowskiego, jako kompozytora, podjęta w przeniesieniu na scenę arcydzieła Kraszewskiego, opłaciła się powodzeniem światłem, zasłużonem, i mającém trwałość zapewnioną.

Niebawem po „Chacie za wsią“ okazano nam drugie cygaństwo, tylko nie naturalne, ale wyrażone, nie sympatyczne, ale wstrętne; cygaństwo wielkiego świata, salonowe. To co z wysokości dziewiętnastu wieków cywilizacji, w układzie społecznym nawykliśmy mienić występkiem, musi utracić to miano, jeżeli się stosuje tylko do wyników organizmu niekontrolowanych przez prawo społeczne, poddające naturę pod kierunek zasad i mózół wychowawczy, do pewnego stopnia przerabiający naturę działaniem nawyknień. Dlatego to pewne czyny dla nas ujemne, nie mogą być traktowane jako wykroczenie przeciw prawu, tam gdzie ono nie istnieje; i sprawca też takich czynów, sprawiedliwie nie mogą być uważany za odpowiedzialnego, przestaje być szpetnym, w danym razie może nawet wzbudzić uczucie

sympatyczne, jak w poprzednim dramacie Tumry i Aza. Ale jeżeli ktoś stojąc na szczytach świata ucywilizowanego, korzysta z wszelkich jego przywilejów ogólnych, a unika jego ciężarów, i w celach egoistycznych podkrada się dla dogodzenia pewnym namiętnościom, pod tryb przeciw któremu walczy cywilizacya i prawo moralne, wtedy niema dla niego dość potępienia i pogardy. Taki to obraz przeciwspołeczny przedstawia nam stara komedia Fredry „Mąż i Żona,” komedia wznowiona po wielu latach, a więc prawie nowość dla dzisiejszego pokolenia widzów. Właściwie są tam cztery osoby, a wszystkie świadomie obłudne, przewrotne, nieszczemne, do szpiku kości zepsute: cała grupa przedstawia jeden wrzód na ciele społeczném. Żona dla kochanka oszukuje męża, który znudzony nią pociesza się przy pokojówce, do której jednocześnie z nim, a zawsze w tajemnicy, umizga się także, wcale nie platonicznie kochanek żony, rozumie się oszukując tę ostatnią; gdy sprytna pokojówka dopomagając małżonce pana, a romansując z nim i z kochankiem jego żony, oszukuje i ją i jego i kochanka. Ten wszeteczny kadryl oszustwa i miłości zwierzęcej trwa przez trzy akty, w ciągu której bohaterowie mają czas przedstawić się ohydnie, nie tylko w tym jednym punkcie, ale i w całości istot.

Jeżeli autor przed siedemdziesięciu laty widział w społeczności naszej objawy dające jego twórczości i satyrycznej wienie bodziec do nakreślenia obrazu odbijającego prawdziwe szczegóły życia, jeżeli tym sposobem wystawiając na jaw co się dzieje pod osłoną konwenansu, chciał zwrócić uwagę na zło i zozydzić je widokiem, nie nie można mieć przeciw temu. Tém bardziej, że komedia swą funkcję artystyczną, oprócz słabego wiersza, spełnia wyśmienicie: koloryt jej barwny, figury w swój wstrętności przedstawiają się dosadnie, delikatny dowcip w kreśleniu szczegółów płynie lekkim strumieniem nieustającym; przy szczupłych środkach scenicznych, akcyja nie zatrzymuje się ani na chwilę, interesuje; szczegóły jedne z drugich, aż do rozwiązania, wywiązują się zrecznie: słowem jest to komedia zbudowana wzorowo, w stylu molierowskim. Ale jakaż smutna tego wszystkich konkluzya!

Wszak oto w poprzedniej sztuce, również mającej za temat miłość wiarołomną, działają same tylko instynkta nieświadome, a jednak Kraszewski tak wysoko pojmuje przeznaczenie człowieka, że nie pozwala mu z namiętnością igrać bezkarnie, przez co wskazuje niejako, że człowiek w najniższym nawet pokładzie, musi walczyć przedewszystkiém z samym sobą ażeby być człowiekiem, inaczej ulegnie pomście jeżeli nie społecznego, to tego naturalnego prawa, którego nieczytelne głoski rozjaśniają się coraz bardziej zaraz od pierwszych zawiązków ludzi w społeczeństwie. Trzeba przyznać i dzisiejszym francuzkim wiarołomstwa małżeńskie epikom, że i oni bądź co bądź, bez względu na środki często demoralizujące, starają się w rezultacie zapewnić zwycięstwo prawu. Tutaj zaś prawo wszelkie złamane u sa-

mego stawu, jakież ma zadość uczynienie? Tu nie topi się żadna skryto-grzesznica uwikłana uicodczepnie w sieć występków własnych; tu żaden sromotny gach nie dostaje kulą w łeb kierowaną nieuniknioném narzędziem kolizyi przez niego wywołanych; tu niema nawet komu przed kim wychylić czary wstydu i hańby, chyba przed obliczem widzów. Fredro z talentem wielkiego komedyopisarza stopniowemi efektami dąży do wybuchu, w którym naraz otwierają się oczy wszystkim oszukiwanym. I cóż ztąd? Gdzie jest sędzia, któryby przemówił coś w imię prawa. Niema nikogo, bo wszyscy są współwiuowcami. Autor komedyi, istnieje jakby jakiś złośliwy duch, gardzący ludźmi, zwołał świadków, pokazał ohydę, rozśmiał się gryząco, i zniknął; jak gdyby powiedział: — róbcie sobie z tém co chcecie. Zręczne to bardzo jako sztuka teatralna, jako, że tak powiem, rzemiosło sceniczne, w którym Fredro celuje: ale zupełnie chybia tego wyższego artyzmu, który ma na względzie ideał. Ofiarą pada młoda pokojówka, osoba najmniej odpowiedzialna, którą odsyłają do klasztoru. I któż to w ten sposób czyni zadość prawu moralnemu? Sam pan, pierwsza i główna przyczyna wszystkiego złego, mentor młodego Alfreda, który przy własnej żonie przyjaciela odbył pierwsze próby swoich zdolności i instrukcyi mistrza. Wreszcie wszystko wraca do dawnego porządku. Mąż godzi się z żoną, ot tak sobie, dla uniknienia towarzyskiego skandalu, i dla tej samej przyczyny dobrotliwie rozstaje się z kochankiem, który idzie wesoło gdzieindziej szukać sukcesów. Czyli ślimaczy się to, jak często w zwykłym życiu praktycznym. Ale sztuka nie poprzestaje na fotografii życia praktycznego; a jak z jednej strony nie moralizowanie jój celem, tak z drugiej nie bezidealność jój zadaniem. Jeżeli wdziera się w wysokie sfery praw moralnych, nie może z nich wyjść drogą humoreski, jak z błahego zajścia między niewinnemi ułomnościami; musi ona ukazać ten kwiat który wynika z posiewu namiętności na gruncie prawa. Fredro nie ukazuje nic; urywa w punkcie gdy obrażone uczucie ludzkie oczekuje rehabilitacyi obrażonego prawa. To na kształt tego, jak gdyby ktoś przedstawił na scenie bandę złodziei, którzy po dokonaniu różnych bezprawii, odchodzą w spokoju używać sromotnego łupu. Nie przecząc że podobne wypadki bywają rzeczywistemi, przeczymy ażeby taki realizm zdolny był przewodniczyć sztuce.

Zamknąwszy jednak oczy na tę konkluzją, komedia Fredry ma tyle w sobie dzielnego kolorytu psychicznego i tyle sprężystości scenicznej, że niepowinna być zaniedbaną w repertuarze tylko i jój natura i jój wiek wymagają przy wystawieniu pewnych warunków. Od jój urodzenia fizyognomia społeczna znacznie się odmieniła a razem z nią odmienity się i warunki sztuki scenicznej, gusta, wymagania. Komedia ta nie używa żadnych akcesoryów, żadnych ornamentów, żadnych ubocznych pomocy, będących dziś w modzie, które nawet przy ubóstwie treści spełniają funkcją jój surrogatów, i za które publiczność się ogląda. Fredro nie zna jeszcze tego



wszystkiego: on swą komedję powierza saméj sobie, nie łąta się sztuczkami; powodzenie składa na barki czterech tylko osób, które mają przez trzy akty zainteresować, i nic więcej. Niema tam komu ani zagrać, ani zaśpiewać, ani epizodem obcym biegowi treści rozweselić, skaptować zmysły. To czysty gatunek sztuki, nie żaden aliaz; pomnik o prostych kształtach, które zepsutemu smakowi wydają się przeto ubogiemi. Cały zatém bogaty aparat tegoczesny wypada zastąpić nie czem inném, tylko dobrą grą i dobrą wystawą, tak jak to z dziełami archaicznemi dzieje się na innych teatrach europejskich.

I jedno i drugie nie było we wznowieniu tém czém być powinno. Właściwie jeden tylko p. Ładnowski, w roli męża zrozumiał o co rzecz chodzi, pojął jakim powinien być człowiek wytartego uczucia, dystyngowany w manierach, a cyniczny w duszy; więc apatyczny, znużony, chwilami tylko galwanizujący się na widok młodej Justyni. Cała postać Wacława, wcielona przez p. Ładnowskiego, okazywała skończone przeżycie, zmarnowaną przeszłość bez innej nad marną wegetacyę przyszłości. Wacław p. Ładnowskiego, było to słowem, życie na żart, rzadką intuicyą podług wzoru odczute i wybornie w każdym giescie, w każdym calu postaci odwzorowane. Przeciwnie, pani Lüde, jako żony, rola składała się z kawałków niedosyc spojonych, co wskazuje że nie była należycie obmyślaną w całości, i dlatego téż widz nie może sobie zdać dobrze sprawy z tego jaką jest Elwira w istocie. Pani Lüde jéj czułości bierze na seryo; Elwira w jéj interpretacji zdaje się kochać naprawdę, kiedy to raczej jest u niéj tylko powierzchowna drażliwość zmysłowa, spowodowana życiem próżniaczem. Jéj zasepiona twarz nie godzi się z absolutnym brakiem wszelkich skrupułów, bez względu na pewne w tym kierunku frazesy rzucane wobec kochanka, dla podtrzymania honoru, frazesy które nawet powinny być przyjmowane według wartości, to jest z ironią w ustach lekkomyślnéj oszustki. Pani Lüde zaszkodziła postaci przez chęć podszlachetnienia jéj, przez jakieś niewczesne popadanie w dramat, tam gdzie jest prosta komedya pod każdym względem. P. Sobiesław jako kochanek, ze swym wytwornym tonem, choć nieco zacichym, zdołał być zaledwie znośnym kawalerem, zapomniał o dystynkcyi i powabie Lowelasa: jego amory były jakby wymuszone. Sztuka to jednak być krewkim a nie popaść w trywialność: p. Sobiesław obawiał się tego ostatniego wypadku, i wołał pozostać zimnym. Justysia nakoniec, w osobie p. Leszczyńskiej, przyniosła z sobą coś z ulicy Danielewiczowskiéj: jak tam, była rażną, wesołą ruchliwą, ale pospolitą subretką, bez tego sprytu finezyi i dworskiego wzięcia, jakiego koniecznie postać Justysi Fredrowskiéj, jedna z najdoskonalszych jego kreacyi, wymaga. Pani Leszczyńska umiała się tylko obracać, ale ani patrzeć, ani słuchać, ani akcentem ducha kreacyi zaznaczyć. Mówimy to, mając jeszcze żywo przed oczyma Bakałowiczową. Wynikło to może z niedostatecznej informacji że Justysia nie jest prostą, dzi-

siejszą panną służącą, ale dworską panną respektową dawnego auctoramentu, wychowaną domu, pochodzącą z dobrej rodziny szlacheckiej i ukształconą odpowiednio, która spełnia wprawdzie przy pani obowiązek pokojówki, ale nie w drodze najmu, tylko domownictwa, jako należąca prawie do rodziny.

Na przypuszczenie braku informacji naprowadza nas cała wystawa sztuki. Zapomniano naprzód zupełnie o jej dacie, i wystawiono ją zgoła podzisiejszemu: a jest to błąd nie do darowania, bo zmienia całkowicie punkt zapatrywania się na utwór. Ma on w sobie dużo powietrza tamtoczesnego: cały nastrój towarzyski i obyczajowy, sposób roboty, cały styl treści, dykcya, aluzye, wzmianki o istniejących jeszcze podówczas dygnitarzach koronnych, samo to wreszcie chociażby, że sainowolnie istotę wolną oddają do klasztoru, wskazuje że jesteśmy wśród niedzisiejszych obyczajów, ale że autor stawia nas gdzieś na złamie przeszłego wieku z obecnym, prawdopodobnie w czasach tak zwanych u nas pruskich, kiedy i powszechne obniżenie charakterów dopomagało do takiego upodlenia obyczajów, jakiego mamy tu widok. Jakiż więc prawem do sztuki, której akcja odbywa się niemal przed wiekiem, zastosowano ramy zupełnie tegoczesne? Do czasu kiedy jeszcze w ubraniu panowały kontusze albo fraki i peruki, a u kobiet rogówki i staniki, zastosowano tużurki, suknie ostatniego kroju, sprzęty banalne, nawet pianino (przy którym mówią o wizycie aktualnego kasztelana); toć to przecie anachronizm, walczący nietylko z całym nastrojem utworu, ale co najbardziej uderzające, z jego dykcją. Toż przecie nikt dziś takim językiem nie mówi: to język naszych dziadów, który przyswajają sobie nieprawnie wnukowie. Musimy się więc zapytać reżyseryi: czy prawda, że sztuka zyskałaby wiele, gdyby ją osadzono we właściwych ramach, gdyby ją otoczono atmosferą właściwego czasu? Jeżeli prawda, to musimy się zgodzić, że o ileby wtedy zyskała, o tyle bez tego straciła. Gdyby jej uakreślono odpowiednią epokę, to i każdy artysta, o ileby jego umysłowość na to starczyła, lub o ileby był poinformowany, musiałby się w swém wzięciu do tej epoki zastosować: kostium obowiązuje. Dlaczego to przeciętny słuchacz nieraz o sztuce nawet dobrej z dawniejszego repertuaru, powiada: eh! to stare! Dla tego, że jest w wykonaniu jakiś fałsz, który ciągnie oznaki stęchlizny. Stara sztuka odmładza się na teatrze tylko przez zupełny zwrot do warunków pierwowbytu. „Les précieuses ridicules,” grana przed kilku laty u nas przez francuzów z Coquelinem na czele, wydała się nam pełną świeżości i młodzieńczej barwy, pomimo swych dwóch wieków. Bo tam właśnie wróciły wszystkie warunki życia, i z gry i z atmosfery. Moliere zobaczywszy to, myślałby że nie umarł, tylko się przespał. Zwrot do epoki pociąga za sobą nietylko powierzchowny ustrój, który jest ważnym; ale cały styl całą formę treści wewnętrzzną i duchową: wszystko tam musi być archaiczne, a wtedy sztuka nie wyda się starą, jeżeli rzecz sama skutkiem niedołęztwa, nie będzie miała w sobie zarodków starości. Brak

cech epoki, ów dysonans pomiędzy jój stylem dawnym a wyglądem dzisiejszym sprawił na widzach takie mniej więcej wrażenie, jakie sprawia człowiek poważny wiekiem, ukazujący się w szyku młodzieńca. Wystawa zatem komedyi „Mąż i Zona,” niearchaiczna i nie powierzona wszystkim siłom pierwszorzędym, tak jak tego dzieło Fre-dry wymaga, była jedną z omyłek reżyseryi.

Porównajmy to z wystawioną jednocześnie drobnostką p. Wikto-ra Gomulickiego, p. t. „Skrytka,” którą autor nazwał obrazkiem dra-matycznym. Lirnik i nowelista przeniósł te przymioty swego umy-słowego stroju na scenę, zbyt mało uwzględniwszy warunki sceny. Młode małżeństwo (p. Wolski i panna Wisnowska) w miodowych mie-siącach przychodzi do pewnego nieporozumienia. Pewna młoda roz-wódka, z natury intrygantka, urażona do nowożeńca o odepchniętą zaczepkę miłosną, usiłuje zniweczyć ich szczęście domowe. W tym ce-lu ofiarowuje Zosi na imieniny elegancki stolik ze „skrytką” na chowanie tajemnic: dając tym sposobem insynuacyjkę na przyszłość młodej ko-biecie, że będzie miała, że musi mieć przed mężem pewne tajemnice osobiste. Niewinna kobieta darmo suszy sobie głowę nad tém, jakie to one być mogą, ale uszczęśliwiona skrytką, jak dziecię naiwne, chcia-łaby odrazu z téj zabawki skorzystać. Cóż, kiedy nic takiego z prze-szłości znaleźć nie może. Co weźmie w rękę, to jakiś kajecik szkolny, jakiś pamiętnik dziecinny, jakaś kantata pensyonarska. Cóż tu cho-wać przed mężem! Może znajdzie coś, za coby potrzebowała się wsty-dzić, gdyby się z tém spotkał? Aha! znajduje nareszcie; rzuca do skrytki... a w tém na téj robocie chwyta ją mąż zazdrosny, któremu już dla uzupełnienia intrygi, pani Irena wydała przeznaczenie swego daru. Z całą namiętnością Otella, która tu jest komiczną, nalega na żonę o wyjawienie co tam przed nim schowała; i w końcu po długich korowodach, uszczęśliwiony dowiaduje się, że to zawinięte starannie własne jego włosy, które mu podczas snu w ogrodzie ucięła, kiedy był jeszcze jój narzeczonym.

Szczegół ten jest istotnie zadrobnym dla wypełnienia scenicznie choćby jednego aktu. Śliczny język, wesoły ton, zgrabne concepta, wszystko to jeszcze nie zastąpi sytuacji, zwłaszcza, jeżeli w treści utwo-ru niema materiału na grę wewnętrzną, z której wyrabia się akcja swego rodzaju; tu zaś wszystko to co się czyni lub mówi aż do osta-tniej sceny, nie jest wznoszeniem się budowy od podstaw do szczytu, ale wygląda na długą przedmowę, do małego tematu. Jednakże utwór nie jest pozbawiony tego żywiołu charakterystycznego, który scena wybornie wyzyskuje, a żywioł ten mieści się w naturze kobiety jaką autor przedstawił. Jest to w skórze mężatki i pani domu istna pensyonarka, figlarna psotnica, dobre dziecię, naiwne, wesołe, które-mu wydaje się, że małżeństwo, to wakacje. Ten kontrast z położe-niem może ją uczynić zabawną, ale pod jednym tylko warunkiem: je-śli ją przedstawi istotna zdolność. Na szczęście, zadanie to dostało



się pannie Wisnowskiój, a z pod jój ręki wyszło brylantowe scherzo. Jój zwłaszcza rozpatrywanie się w pamiątkach i ostatnia scena opowiadania mężowi iskrzyły się dowcipem i figlarnością. Sztuka bez głębszj wartości, tak jednak była oddaną, dzięki p. Wisnowskiój, że można było z przyjemnością wysłuchać jój powtórnie, zaraz po zapadnięciu kurtyny. Otóż to co się nazywa, dobrze obsadzać sztukę. I czemuż to, pytamy niedojrzały utwór p. Gomulickiego dostąpił zaszczytu, jakiego odmówiono Fredrze? I czemuż to artystka tój siły jak p. Wisnowska nie została spożytkowaną na rzecz Justysi w „Mąż i Żona.“ Wszak pod tym względem, pomiędzy talentem poczynającym a posągowym, powinno by zachodzić przynajmniej równo-uprawnienie. Może p. Wisnowska nie miała gustu do odświeżania starzyzny; ale w tym razie pozwolimy sobie powtórzyć zapytanie Krasieckiego: „czy nos dla tabakiery, czy ona dla nosa,“ a publiczność nie będzie zdania złotnika.

Wracając do „Skrytki,“ nie wiemy czy autor przeznaczając ją na scenę, miał na widoku p. Wisnowską, ale to pewna, że bez tój artystki nie miałaby ona racji bytu na scenie: upadłaby przy każdj innej, nie posiadającj tyle zręczności do drobnych, filigranowych efektów. Ale niemniej i to jest pewnem, że rola ta przynajmniej jedna musi posiadać powien materyał sceniczny, wyłączną własność autora stanowiący, boć skoro i mądry Salomon z pustego nie naleję, toć i p. Wisnowska nie miałaby na czém rysować swych filigranowych arabešek pobudzających do śmiechu, gdyby jój nie dano kanwy i wzoru. Dla tego też nie stoimy po stronie tój krytyki, która ten pierwszy utwór sceniczny p. Gomulickiego bezwarunkowo potępiła.

Otwarcie nowego teatru w Lublinie, kilkakrotnie zapowiadane i odkładane, odbyło się 8 lutego, przy dość licznym udziale gości z okolicy i z Warszawy. W nowym przybytku sztuki zainstalowało się towarzystwo dramatyczne p. Puchniewskiego, znane i w naszém mieście z przedstawień na scenach ogródkowych. Życząc pierwszemu kierownikowi stałego teatru lubelskiego, aby utrzymał się na wysokości wymagań, jakie stawiać zwykliśmy uczciwie swe postannictwo spełniającym scenom, uważając je za jeden z najpoważniejszych czynników życia estetycznego w obecnej dobie, tym razem chcemy jedynie powiedzieć słów kilka o samym gmachu: jest to bowiem u nas na prowincyi pierwszy teatr stały, godny tój nazwy.

Myśl zbudowania stałego teatru w Lublinie rzucili przed kilku laty dwaj obywatele tego miasta pp. Julian i Adolf Frickowie — i rzucili ją szczęśliwie. Zawiązał się komitet, i po kilku latach ciężkich zapasów z trudnościami finansowj natury, ostatecznie doprowadził dzieło do końca. Teatr stanął na placu narożnym między ulicami Szpitalną, Namieśnikowską i Gimnazjalną — według planu uznanego za najlepszy na ogłoszonym w tym celu konkursie, rozstrzygniętym w 1882 roku. Autorem jego jest p. K. Kozłowski, utalentowany ar-

chitekt, który i w naszym mieście zwrócił już na siebie uwagę swemi budowlami. Program konkursowy stawiał dość trudne do rozwiązania zadanie, kępując bowiem architekta niedogodną figurą placu sytuacyjnego, o trzech frontach, żądał zarazem gmachu jednolitego, harmonijnego, któryby oprócz teatru mieścił w sobie jeszcze resursę, restauracją i inne t. p. lokalności. W nowo wzniesionym gmachu scena wraz z widownią znajduje się od ulicy Szpitalnej, zwrócona do niej bokiem; na resursę, restauracją, cukiernią, sklepy i t. d. obróconą została przeciwną część gmachu od ulicy Gimnazjalnej; na ulicę zaś Namiestnikowską wychodzi właściwa fasada teatru z głównym wejściem. Elewacja téj ostatniej, wystylizowana gustownie w duchu renesansu, z dwoma skrajnymi ryzalitami połączonemi z partią środkową dość harmonijnie i z wieńczonemi kopułami, odznacza się i tém jeszcze, że strojnym, wesołym pozorem swoim odpowiada doskonale ogólnemu przeznaczeniu budowli. Wszakże to jedno zarzucić jój należy, że traktowana pod względem estetycznym jako część odrębna, w sobie zamknięta, nie wiąże się organicznie z bocznemi frontami gmachu, mającemi zgoła inny architektoniczny charakter, przypominający zwykłe domy mieszkalne. Powstał ztąd brak logicznej zależności między zewnętrzną stroną budowli, jój frontami, a wewnętrznym rozkładem i przeznaczeniem. Tak np. ta część gmachu, w której się mieści sam teatr, przedstawia się od ulicy jak zwykła kamienica; podobnie jak część budowli obejmująca resursę; cały zaś dekoracyjny nacisk położony został na część środkową, właściwie podrzędną, bo mieszczącą w sobie przedsionek, foyer, kasę i inne drobne lokalności. Jest w takim traktowaniu rzeczy maskowanie prawdy — jest brak architektonicznej szczerości.

Pod względem takiej właśnie logicznej łączności pomiędzy wewnętrznym rozkładem budowli, jój treścią, a jój zewnętrzną postacią, nierównie lepiej opracowany był projekt konkursowy pp. S. Szyllera, A. Jabłońskiego i H. Osuchowskiego, wyszczególniony przez sąd konkursowy drugą nagrodą i publikowany swego czasu w tutejszym „Przełądzie Technicznym.“ Elewacje tego projektu utrzymane w stylu renesansu francuzkiego, nacechowane szlachetnym spokojem i powściągliwością w dekoracji, odpowiadały ściśle wewnętrznemu organizmowi budowli, stając się na zewnątrz szczerym wyrazem konstrukcyi. Całość posiadała jednolity charakter. Pod względem wygody wewnętrznego rozkładu i konstrukcyjnej logiki, wspomniany projekt posiadał także wysokie zalety. Do odrzucenia go przez sędziów konkursowych skłoniły najprawdopodobniej względy oszczędnościowe.

Ale i wzniesiony według planów p. Kozłowskiego teatr posiada bardzo wiele zalet. Widownia, większa niż w naszym teatrze Rozmaitości, może pomieścić wygodnie do 700 widzów. Wszystkie miejsca, oprócz drugiego rzędu paradyżu, są numerowane. Wewnętrzne roboty dekoracyjne, tak sztukatorskie jak malarskie, odznaczają się gustem i elegancją. Niemniej okazała, bogata nawet jest główna fasada

tego gmachu, który, dając stały przytułek wędrownym dotąd muzom, z pewnością i do upiększenia miasta nie mało się przyczyni.

Zanim przejdziemy do prac bieżących tutejszego oddziału „Towarzystwa popierania przemysłu i handlu,“ zatrzymajmy się na chwilę nad dwoma jego „Rocznikami,“ jakie właśnie świeżo wyszły z druku, za 1884 i 1885, t. j. za dwa pierwsze lata istnienia instytucyi. Skromne to objętością, lecz pełne treści broszury. Najpierw dowiadujemy się z nich, że Towar. warszawskie powstało w d. 21 lutego 1884 r. z udziałem 240 osób, których cyfra podniosła się niebawem do 350 w końcu tegoż roku i do 390 w końcu r. z. Fundusze Towarzystwa, powstające wyłącznie z opłat członków w ilości 15 rs. rocznie, z których  $\frac{1}{3}$  część idzie na rzecz komitetu centralnego w Petersburgu, czynią obecnie poważną sumę około 4,000 rs., już po pokryciu dwuletnich wydatków na administracyę. Tyle o stronie zewnętrznej, co się zaś tyczy wewnętrznej, t. j. właściwej działalności oddziału, — dla jęj charakterystyki dość będzie przytoczyć następujące dane, jakie z zestawienia obu roczników wyprowadzić zdołaliśmy. Oto w pierwszym roku Towarz. otrzymało do decyzji i wypracowania 63 wnioski, w 1885 r. zaś 88, razem 151, z których ostatecznie załatwiono 35, odrzucono 32, przekazano specjalnym referentom 56. Jakikolwiek byłyby rezultaty zabiegów Tow., przytoczony wykaz daje świadectwo dość ożywionych jego czynności, nabiera więc ono tęp większej wagi, skoro i same rezultaty wypadły stosunkowo bardzo pomyślnie. Pomijając bowiem uchwały przekazane komitetowi centralnemu do popierania w właściwych sferach rządowych, Tow. w zakresie własnej inicjatywy potrafiło doprowadzić do skutku wytworzenie urzędowych delegacyj miejskich do kontroli nad uczniami warsztatowymi, urządzenie stacyi meteorologicznych, pośrednictwa w umieszczaniu praktykantów fabrycznych, przeprowadziło kwestyonaryusze w sprawach — rzemieślniczej, drobnego przemysłu wiejskiego, cukrownictwa, handlu płodami zbożowemi i t. d. Zainteresowanych przebiegiem tych wszystkich przedsięwzięć odsyłamy do „Roczników,“ zawierających ciekawe w tym względzie szczegóły. Lecz, dwuletnia historia Tow. nie jest bez „ale.“ Tak np. sprawozdania przekonywają nas, iż każdy okres sprawozdawczy przekazuje następnemu zbyt wygórowaną ilość wniosków „nie załatwionych,“ dalej, że wiele projektów już uchwalonych i przyjętych, dotąd pozostaje w tekach odnośnych sekcyi, nie mogąc dojechać się urzeczywistnienia. Co do pierwszego, powołujemy się na wspomnianą wyżej liczbę 56 wniosków zaległych, z jakimi Tow. rozpoczęło trzeci rok swoich krótkotrwałych jeszcze dziejów, co do drugiego wreszcie przypominamy, że mimo zapadłych postanowień, ukrywają się gdzieś w zapomnieniu wielce pożyteczne i obiecujące projekty założenia „biura informacyjnego“ i „biura statystycznego.“ Co się stało z temi uchwałami, powziętymi jeszcze w 1884 r.? Zapewne, dziś jest to drobny szczegół, ale czy z biegiem czasu, gdy ilość składanych



wniosków wzrastać znacznie, Tow. nie ugnie się pod ich ciężarem? Jest to pytanie, nad którym w porę należałoby się zastanowić, ażeby w następstwie nie uledez zarzutom powierzchownego traktowania kwestyi, zarzutów, od których już dziś zresztą nie jest wolną sekcyą handlową, właśnie najbardziej przeciążoną wnioskami. O ile nam się zdaje— a sprawy Tow. staraliśmy się poznać gruntownie— dziś jest to choroba łatwa jeszcze do wyleczenia, wymaga bowiem nie więcej, jak tylko zarządzenia środków czysto administracyjnych. Wiadomo, iż kancelarya Tow., na której barkach bądź jak bądź spoczywa cały ciężar roboty, składa się z honorowego sekretarza i jednego pisarza. Czy to nie za mało, jak na jedyną w kraju instytucyą, podzieloną na 5 sekcyi i reprezentującą tyle działów przemysłowo-handlowych! Wiemy, iż obecny zarząd składa codziennie dowody wyjątkowej i pod każdym względem na uznanie zasługującej pilności, że wszystkie sesye przychozą do skutku, że szanowny prezes osobiście wgląda w najdrobniejsze interesy Tow., a sekretarzowi wszyscy członkowie przyznają najzupełniej zasłużone zalety, ale wszakże trzej członkowie zarządu nie podobają ogromowi czysto kancelaryjnych zajęć, które przecież są zbyt rutyniczne, by poświęcać się im z krzywdą dla ważniejszych zadań. Naszém zdaniem, Tow., zamiast kapitalizować fundusze, mogłoby część ich poświęcić na wzmocnienie składu kancelaryi, której obowiązkiem byłoby pamiętać o wykonywaniu zapadłych uchwał i możliwie szybko wygotowywaniu referatów do dyskusyi. Opinią tę wypowiadamy tém śmieliej, iż zdaje nam się, że prędzej czy później samo Tow. uzna jej słuszność.

Z kolei, zwracamy się do prac bieżących „Towarzystwa.“ Złożyły się na nie cztery posiedzenia sekcyj— tkackiej, gorzelniczej, rzemieślniczej i handlowej. Sprawy będące przedmiotem obrad na tych sesyach, z małemi wyjątkami, nie zasługują na bliższe poznanie, poprzestajemy też, czyniąc zadość ścisłości kronikarsko-sprawozdawczej, na ich wyliczeniu. Były to mianowicie kwestye: w sekcyi tkackiej obniżenia premii asekuracyjnej od odpadków, założenia fabryki nici bawełnianych do szycia maszynowego i urzędzenia w klubie inżynierów w Petersburgu wystawy technicznej; w sekcyi gorzelniczej wnioski p. Luniewskiego z Korytnicy w przedmiocie zmian w ustawie akcyznej; w sekcyi handlowej wnioski co do oclenia wapna, cegły, drzewa, wyrobów z taśmy drzewnej i utworzenia w Moskwie agentury handlowej. Z pośród wyliczonych tematów, ostatni pozostaje w związku z ogólną kwestyą handlu ze Wschodem, nad którą pracować zaczyna od d. 25 lutego oddzielna komisya, to też dziwném nam się wydaje, dla czego sekcyą handlową tak nieprzychylnie potraktowała tyle ważny przedmiot, zamiast odesłać go do owęj specjalnej komisyi. Jeżeli Tow. uznało za właściwe otworzyć dyskusyą nad sprawą rozszerzenia stosunków handlowych z rynkami wschodniemi, wydaje się nam niewłaściwém, gdy pojedyncze sekcyje opinii

większości nie podzielają i jednorodnjawe wnioski załatwiają według własnego widzimisie, jak tym razem — niezgodnego z poglądami ogółu. To samo powiedziec wypada o rozpatrywanym w sekcji tkackiej wniosku Oddziału Łódzkiego Towarzystwa co do wyjednanja zwrotu cła od wywożonych za granicę państwa wyrobów bawełnianych, wełnianych i wigoniowych: wniosek ten również kwalifikował się do wspomnianej komisji. Natomiast, na zupełną pochwałę zasługują wprowadzone przez dwie sekcye tkacką i gorzelniczą t. zw. buletyny o stanie rynków handlowych. Początkowo zdawało się, że podobne relacje fachowe będą zbyt ciężkim obciążeniem porządku dziennego posiedzeń, — praktyka zaś dowiodła nie tylko ich użyteczności, ale i rzetelnego interesu. Prowadzone przez specjalistów, według umiejętnie ułożonego programu, buletyny stanowią dziś jeden z najciekawszych epizodów w naradach Tow. Pierwszy wprowadził je inż. Kossuth, już od kilku miesięcy odczytujący w sekcji I relacje o stanie bieżącym rynków — wełnianego, lnianego, garbarskiego, papiernianego i mydlarskiego, za przykładem zaś tym poszła następnie sekcya II, której sekretarz inż. Dąbrowski zorganizował koło sprawozdawców, dostarczających wiadomości peryodycznych o rynkach — cukrowniczym, gorzelniczym, piwowarskim i mącznym. Z powodu tej inowacji życzyliby należało, ażeby Tow. pomyślało o urzeczywistnieniu dawnego zamiaru swego — wskrzeszenia „*Ekonomisty*“, w którymby znalazły miejsce celniejsze prace referentów, sprawozdania handlowe i rozprawy. Ożywiona działalność Towarzystwa aż nadto usprawiedliwia potrzebę takiego własnego organu.

Do ważniejszych przedmiotów, roztrząsanych na wspomnianych 4-ch posiedzeniach, należy też projekt utworzenia w Warszawie „*Towarzystwa opieki rzemiosł*“, na wzór takiej instytucji w Rybińsku. Był on szczegółowo dyskutowany w sekcji IV rękodzielniczej, która po długich debatach zgodziła się w końcu na to, aby projekt popierać, zastrzegwszy tylko poczynienie w ustawie rybińskiej pewnych zmian — stosownie do warunków i potrzeb miejscowych.

Na zakończenie dzisiejszej notatki dodajmy, że z zamknięciem karnawałowych rozrywek, rozpoczynają się w Towarzystwie prace ciężkiego kalibru, na których niewątpliwie wspierać się będzie całoroczna jego działalność. Mamy tu na myśli otwarcie komisji rolnej, mającej się zebrać na pierwsze posiedzenie, pod przewo dnictwem p. Ludwika Górskiego, w d. 12 marca, drugi zjazd młynarski, wyznaczony na dn. 15-go marca, oraz wybór delegacji do wygotowania projektu szkół fachowych w Królestwie. Oby tylko te wszystkie starania doprowadziły do pożądaných rezultatów.

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

---

Akademia umiejętności w Krakowie ogłosiła roku ubiegłego w dalszym ciągu rozpoczęte wydawnictwo obszernego dzieła p. Tadeusza Korzona T-u IV-go część I-szą (str. 322) pod tyt. „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (1764—1794). Badania historyczne ze stanowiska ekonomicznego i administracyjnego.“ Treść tej nowój książki, mającej przedstawić „Rząd Rzeczypospolitój i działalność machiny administracyjnej,“ rozpada się na 3 większe rozdziały, które w 12-u paragrafach wykładają w sposób niemal monograficzny kwestye dotychczas tylko dorywczo i w rozrzuceniu znane. I tak: rozdział XII przedstawia: pogląd autora na sądy i sejmy. W § 82 mówi autor o władzy sądowej, jój niezależności od króla, o stosunku do administracji, o wadach tegoż sądownictwa szczególnie w zakresie sądownictwa karnego. Nie przywiązywaliśmy wielkiego znaczenia, do opinii więcj publistycznej anizeli historycznej Rulhiérów, Cox'ów i Schultzów o wartości naszego aparatu karnego, zwłaszcza w obec zasobnego dosyć materiału źródeł autentycznych, które kwestye te z dzisiejszego stanowiska nauk prawnych dokładnie pozwalają ocenić. W § 83 mówi autor o władzy prawodawczój czyli o sejmie, gdzie nie znajdujemy faktów nowych. Rozdział XIII-ty przedstawia władze administracyjne w okresie I. W § 84 mówi autor o „Skarbie Rzeczypospolitój,“ a szczegółowo 1) o „Komisyi skarbowój koronnój“ i jój organizacyi, poczem wtrąciwszy 4 paragrafy (85, 86, 87) o komisjach wojskowych koronnój i litewskiej; o jurydykcyi marszałkowskiej, komisji brukowój i kwaterniczój; o dyrekcji poczt; (88) o radzie nieustajacój i jój organizacyi—powraca dopiero w paragrafie 89-ym czyli w 2-im rozdziale XIV-go („Władze administracyjne w okresie II-im“) do przedstawienia działalności: I. Komisyi skarbowój koronnój, II. Komisyi skarbowój litewskiej, gdzie duzo miejsca poświęcił autor opisowi administracji skarbu za Antoniego Tyzenhauza. W § 90 pisze autor o komisji i departamencie wojskowym, w 91 o departamencie policji i jurydykcyi marszałkowskiej; w 92: O komisji edukacyi narodowój, wreszcie w 93-im zaznajamia czytelnika z sądem współczesnych i swoim własnym o „Radzie nieustajacój“. Treść ta jak najpobie-



źniej wskazana, budzi w każdym badaczu przeszłości naszej interes jak najżywszy, ale nie możemy zamilić uwagi, jaką nam ten nowy tom dzieła p. T. Korzona nastęrcza. O ile w tomach poprzednich wśród ogromu materiału, skrzętnie nagromadzonego i nieco okrzesanego, czekającego atoli jeszcze na swego architekta, widniała zawsze powaga wszechstronnego badacza dziejów, o tyle tom ostatni wkracza bardzo często na pole publicystyki, nie rachując się dokładnie ze ścisłą metodą badania naukowego. Pomijając wiele innych kwestyi zastanowił nas w dziele p. Korzona nieco za pobopny wyrok o charakterze i o administracyi Antoniego Tyzenhauza, wyrok, opierający się w przeważnej mierze na „Pamiętniku Michała Zaleskiego” wydanego w r. 1870-ym w Poznaniu, zdeklarowanego a bardzo interesowanego w danej kwestyi wroga podskarbiego nadwornego króla St. Augusta. P. Korzon, przedstawivszy akt oskarżenia Tyzenhauza z Pamiętnikiem Zaleskiego w ręku, musiał na str. 264 (uwaga 1) sam napisać takie zdanie o wartości tego źródła: „Zaleski, pisząc z pamięci, nie jest dokładnym w szczegółach... ogół jednak rysów jest zwykle trafny.” Przechorny badacz powinien takiego świadka kontrolować jak najpilniej zeznaniami innych świadków nie interesowanych w sprawie zwrotu królewsczym a sumiennych i dosyć światłych w ocenianiu kwestyi skarbowych. P. Korzon nie zrobił tego dostatecznie i przy dotychczasowym stanie źródeł, zrobić nie mógł, należało mu zatem być mniej stanowczym w wyrokach swoich, które nie wahają się niekiedy poprzestawać na samych domysłach (str. 254, wiersz 5-y od dołu). Opinia historyka co do tego przedmiotu może się dzisiaj mniej więcej w tych zawrzeć granicach.

Tyzenhaus przedsięwziął prawie jednocześnie założyć tyle różnorodnych fabryk w Grodnie i innych ekonomiach królewskich, tyle naraz budował dróg i mostów, uszląpniał rzek, kopał kanałów, osuszał błót, wznosił gmachów, zakładał szkół, ogrodów i t. p., że robota jego zbyt gorączkowo prowadzona, przy braku ludzi odpowiednio uzdolnionych, przy nieodpowiednich środkach materyalnych, w kraju ubogim i Nieludnym, musiała koniecznie runąć pod ciężarem własnego ogromu. Jeden człowiek i prawie w jednym dziesiątku lat, choćby najgenialniejszy, nie może zaimprovizować wielkiego, wszechstronnego przemysłu i cywilizacyi, tam gdzie ich pierwój nie było wcale. I Ameryka gdyby nie była krajem najbogatszym w skarby natury i nie dostała tych milionów ludzi gotowych, napływających z Europy, nie byłaby dziś tém, czém jest. Litwa niestety nie posiadała ani podobnych skarbow ani emigracyi z zachodu, ale pomimo to podskarbi nadworny króla Stan. Augusta postanowił ją krokiem błyskawicznym posunąć naprzód i użył w tym celu wszelkich środków, w których doborze nie przebierał. W rezultacie musiał się zatem sam potknąć i upaść. Pragnąc pomnożyć zasoby materyalne, których mu po poprzedniej gospodarce oczywiście braknąć musiało, odbierał od szlachty ziemie, oderwane przez nią od królewsczyzny i zagospodarowano już nieraz przez kilka skrzętnych pokoleń, co oburzyło przeciwko niemu cały ogół

szlachecki na Litwie (témbardziej, że w bójkach ztąd wynikłych popłynęła nieraz krew niewinna) i urósł zastęp zaciętych wrogów Tyzenhauza. Tyzenhaus czerpał dla podtrzymania podjętych przedsięwzięć przemysłowych i ze skarbu publicznego prowincyi litewskiej, co ściągnęło na niego zarzut kryminalnego przestępstwa. W pożyciu był także szorstki i popędliwy, co odstręczało ludzi. To téż wszystkich prawie, którzy o nim pisali, podzielić można na dwie wręcz przeciwne sobie kategorie: ci, którzy abstrakcyjnie oceniali roboty i dążenia Tyzenhauza na polu przemysłowo-cywilizacyjném, chórem uwielbienia wynosili go pod niebiosy—i słusznie. Ci zaś, którzy odrzuciwszy na bok wszystkie podobne względy, miarą ścisłego rygoru sądzili go jako urzędnika Rzeczypospolitéj, znaleźli w nim winnego, którego p. Korzon niejednokrotnie przestępca już nazywa, mniemając, że dyalektyką publicystyczną można dziś z pomocą znanych dotychczas źródeł sprawę tę zawyrokować. Nam się zdaje, że jeszcze zawcześnie, bo indagacya źródeł jeszcze nie skończona. Żaden bowiem z historyków nie wyczerpnął jeszcze do dna przedmiotu i nie może téż wydać sądu bezstronnego. To tylko napewno powiedzieć można, że gdyby śmiało przedsięwzięcia podskarbiego zachowały swój byt i rozwój, przebaczonoby mu wszystkie nieregularności kasowe i obnoszonoby go na rękach. Ale że nastąpiło bankructwo, więc i Temida dziejowa pisze wyrok surowy na człowieka, którego charakter prywatny nie był wolny od wad, powszechnych w jego epoce wśród zastępu rządzących, a którego życie zamknęło się i skończyło w upadku. W każdym razie byłoby rzeczą bardzo pożądaną, gdyby się kto zajął zgromadzeniem pełniejszego zbioru źródeł dla téj gałęzi rządów Rptéj. Co do dzieła p. Korzona, to nie wątpimy, że wróci w dalszym ciągu z pola publicystycznej szermierki na gruntu poważny metodologicznego badania przedmiotu historycznego.

Wyrazy fenickie w mowie polskiej, zebrał Szczęsny Morawski, we Lwowie. Nakład Gubrynowicza i Schmidta, 1885, str. 32.

Szanowny autor „Sądeczczyny“ już w dziele „Pra-Słowianie i Pra-Łotwa,“ przestąpiwszy granice archeologii przedhistorycznej, wtargnął na pole językoznawstwa. Czy z powodzeniem? nie rozstrzygamy w téj chwili; ale zaznaczamy tylko sam fakt, a to tém bardziej, że powołana w nagłówku broszura, zdawałaby się wskazywać, że myśli na téj niwie dłużej pozostać, aby nas uszczęśliwić coraz świeżymi owocami swoich plonów. Książeczka, o której tu wspominaliśmy, jest rodzajem słowniczka etymologicznego, ułożonego alfabetycznie, a obejmującego 512 wyrazów, podług autora „fenickich, istniejących „w mowie polskiej.“ Pięćset dwanaście! Jakiż to musiał być potężny i długotrwały wpływ fenicyan na polaków i ich język, w porównaniu z 120 wyrazami, które np. uczoney O. Donner mógł w językach fińskich z sąsiedniego języka litewskiego wysledzić.

Rzecz ta, gdyby istotnie była prawdziwą, byłaby doniosłej wagi, nie tylko dla naszego języka, ale dla wszystkich języków słowiań-

skich, i ich zamglonej wiekami przeszłości. Niestety jednak — tak nie jest. Szan. autor, wybierając się na nieznanie sobie pole po złoto, zapomniał o kwiecie paproci, osłaniającym skarby — zapomniał, że językoznawstwo jest umiejętnością, opartą na pewnych prawach i metodzie, które gruntownie, metodologicznie poznać trzeba, jeżeli się chce z pożytkiem w tym kierunku pracować. Etymologia, zwłaszcza wyrazów przyswojonych, wymaga niezwykłej znajomości praw głosowych równie przyswajającego języka jak i tego, z którego się przyswaja, wymaga znajomości wpływu kultury jednego narodu na drugi, i to nie tylko pod względem jakości, ale i ilości; wymaga nakoniec zachowania zasad jak najściślejszej metody naukowej, by nie wpaść w mamiłta śmieszności. O ile autor poznał języki semickie w ogóle, a w szczególności język fenicki (którego alfabet umieścił we wstępie słowniczka, i do którego literaturę naukową podał na końcu), wyrokowość nie umiemy, bo sami nie znamy tego języka; to atoli świadectwo możemy udzielić Sz. autorowi, że porównywanego z nim języka polskiego zna nie wiele, bo go nie badał umiejętnie, i dla tego za jedynę kryterium porównawcze, służy mu ludne podobieństwo brzmienia. Pomijamy przykłady trudniejsze, lub co do etymologii niepewne, ale wskażemy na takie, których etymologia pospolicie znana i uznana.

**A s a n**, pochodzi zdaniem Autora, od fen. **as**: mąż i **un**: mały. Razem byłoby więc **as a n** to samo co fen. **a s u n** (?) — „więc mężyk, (rosyjsk.) muzyk.“ Autorowi ani przez myśl nie przeszło, że jest to najdalsze skrócenie znanego polskiego zwrotu: „Wasza Miłość Pan“ — Waszmość Pau — Waćpan — Aćpan — Aspau — i Acan — Asau. (Zob. u Lindego pod wyraz: **wasz**. Zresztą, jakieżże to prawem i podług jakiej analogi fen. **a s u n**, zrobiło się **a s a n e m**?

„Dusza (fen.) **d u s z-a**: świeże, młode... „Moja duszko!“—

Przeczytawszy to, mimowolnie zazdrościmy autorowi humoru, zdrowial i — fantazyi!

„**D o b ó r** słów—(fen.) **d o b a r**: mowa piękna.“ Taki wywód etymologiczny nie potrzebuje żadnego komentarza. Nie lepsze są następujące: „**C h ł o p** — (fen.) **ch o l o b**: wróg wściekły, zwierdziki, pies zły... Kaleb biblijny.“ „**K u l a s** (fen.) **ku**: powróż.“ „**lud** — (fen.) **Lud**.. właściwie Lydowie zaciężni: lud wojenny.“ „**Maić**, wodą rozpuszczać — (fen.) **maj**, woda... **Majtek**...“ (!) „**Nie b o r a k**, niebog, — (fen.) **n e b o h e z**: bożek ciemnoty Assyrow.“ „**R a k a r z**, **r a k a r k a** — (fen.) **r a k e l**: domokrążca, kupiec; **r a k e**: olejkarz, aptekarz, **r a k e e**: aptekarka. Czy **i r a k a r z** ma do czynienia z olejkami? „**S e j m** — (fen.) **e j m**: pospółstwo, naród; **s - e j m**: pospółstwa, narodu (genetiv.) zebranie...“ Znaczenie istotne, ale poco aż po nie do Fenicyi chodzić, skoro nam je rodzimy wyraz **z e j ś ć** się wytlómaczy. „**S m u t e k** — (fen.) **m u t e**: śmierć.“ Czy **s m u t e k** jest **ś m i e r c i ą**? A cóż Szanowny Au-



tor powie na smętek i zasnąć Kochanowskiego? Tak jak dobór wyrazów“ taki zbór, zbiór, wywodzi Autor z fenickiego; ciekawa rzecz tylko, dla czego dobór pochodzi od d a b a r a z b i ó r od „z b e r: gromadzić, na kupę znosić...“? Krotochwilna jest etymologia imion własnych miast i narodów, np. Kraków—(fen.) k r a k e b: zamknięte w okoł; k r a k, zamek twierdza.“ „W a w e l —(fen.) w a w-l: gwoździec, zameczek“ „W a r s z a w a, W a r z ę g a —(fen) w a r-s-a b e: mężów to ojciec“(!!) K u r l a n d y a, K u r y u —(fen) K a n r-a-j rybia kraina, Karebia.“ H u c u ł, może Połowiec? —(fen.) h y c y połowa?“(!!!) „M a z u r y—(fen.) m a z r i m: do boju gotowi... (kmicie mazowieccy).“ Koronę autora etymologii można nazwać wyprowadzenie wyrazów dziecięcych jak b o b o, c a c k o, c a c a n e od B a (ł) b o (g) — b o (ł) — b o (g)... wymową mazowiecką(!!) — i od (fen.) c y c: lśniące, kwieciste.“ Znakomite są także te dwa jeszcze wyrazy: „H u r r a! G o r e!—(fen.) g o r: nieprzyjaźń!“

Przepraszamy Szan. Czytelników, za nadużywanie ich cierpliwości przez powtarzanie takich pustych dźwięków, ale uczyniliśmy to ze względu na Autora, którego imię dała poznać „Sąddeczynna“ i ze względu na firmę, która coś podobnego dzisiaj wydać mogła. I jakże się tu skarżyć, że nie ma u nas nakładców! Autor nie udowodnił najłabszego nawet zmysłu etymologicznego, ani znajomości głosowni języka polskiego, ani znajomości organizmu języków wogóle tak, jakbyśmy jój odmówić musieli każdemu, ktoby bez względu na pokrewieństwo fenickie, zaliczał do wyrazów polskich: m u ż y k a, d u r a k a, k a t r i n c ę (huculskie), m o h o r y c z, P a n o n i ą, M a r m o r o s z i S w i n e m ü n d e! Wszak Dębołęcki nawet B a b i l o n za polskie uznał miasto!

Imię autora i nakładców mogłoby omylić nieświadomych, a rzecz nie mająca wartości naukowej, gotowa za nią uchodzić. W imieniu tedy polskiego językoznawstwa głos zabraliśmy, — w imieniu nauki, która, dzięki szczęśliwsiemu okolicznościom, wzniosła się już znacznie nad poziom ks. Dębołęckiego i p. Szczęsnego Morawskiego, i dlatego dyletantyzm nie zdobywa już dzisiaj tytułu uczonych i erudytów!

*Roman Zawiliński.*

## N e k r o l o g i a .

— † Dnia 11-go lutego r. b. umarł w Warszawie **Ignacy Janicki**, zasłużony pedagog i szanowany kustosz biblioteki ordynacji hr. Krasieńskich. Ojciec zmarłego z powołania rolnik, gospodarował pod Krakowem, gdzie ś. p. Ignacy się urodził w r. 1823. Nauki szkolne i uniwersyteckie pobierał w Krakowie, a ukończywszy studia matematyczne, otrzymał jako kandydat do zawodu nauczycielskiego sty-

pendyum imienia Jana Śniadeckiego. W r. 1843 mianowany zastępcą adjunkta pełnił te obowiązki do r. 1853-go, wykładając równocześnie fizykę doświadczałną w technice krakowskiej. Przy wprowadzeniu do wykładu języka niemieckiego, usunął się Janicki z urzędu i poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu prywatnemu. Wezwany 1856-go r. do Opinogóry, objął kierunek nad kształceniem synów Zygmunta Krasińskiego, z którymi przepędził czas od 1857—1863-go w Paryżu, korzystając tam z wykładów Régnaulta i Depretza. Po założeniu „Kroniki rodzinnej“ w Warszawie był czas niejaki jej redaktorem, gdzie umieścił rozbiór „Historji włościan“ Maciejowskiego Wacława i jego „Dodatków do prawodawstw słowiańskich.“ Zostawszy po śmierci Chomentowskiego kustoszem „Biblioteki ordynacyi Krasińskich,“ wydał 4 tomy źródeł historycznych. Żywoć ś. p. Ignacego był cichy, ale zasłużony. Cześć jego pamięci

— † Dnia 19-go lutego umarł w Krakowie ś. p. **Maksymilian Zatorski**, uczony prawnik, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego i poseł sejmowy. Ś. p. M. urodził się w Samborze dnia 1 maja 1835 r., gdzie uczęszczał do szkół początkowych i gimnazjalnych; ostatnie jednak trzy klasy gimnazjalne przebył w gimnazyum św. Anny w Krakowie, poczem w r. 1853/4 przeszedł na wydział prawa w uniwersytecie Jagiellońskim. Ukończywszy studia uniwersyteckie w r. 1857, wstąpił do Prokuratury skarbu w Krakowie. W roku następnym uzyskał w uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktora praw. W grudniu 1866 r. powołany przez uniwersytet Jagielloński na zastępcę profesora austriackiego prawa prywatnego, habilitował się w r. 1868 jako docent prywatny tego przedmiotu, a w listopadzie t. r. mianowany został profesorem nadzwyczajnym, w sierpniu zaś 1870 r. profesorem zwyczajnym austriackiego powszechnego prawa prywatnego. W r. 1868 był także wydawcą „Czasopisma,“ poświęconego prawu i umiejętnościom politycznym, wydawanego w Krakowie pod redakcją wydziału prawa i umiejętności politycznych w uniwersytecie Jagiellońskim. Od r. 1869 był czynnym członkiem Towarzystwa naukowego, następnie członkiem nadzwyczajnym Akademii umiejętności. Oprócz drobnych artykułów po różnych czasopismach pisał Zatorski: 1) „O sejmach w dawniej Polsce“ (rozprawa inauguracyjna, w druku jednak nie wyszła); 2) „O kontrakcie kupna, zawartym w drodze licytacyi,“ Kraków, 1868; 3) „Powszechna księga ustaw cywilnych dla monarchii austriackiej,“ opracowana wspólnie z prof. Kasparkiem, Cieszyń, 1875. Od r. 1869 z prawdziwym tóż pożytkiem i chlubą kraju pracował w krakowskiej Radzie miejskiej, w Sejmie i Radzie państwa, należąc do najgorliwszych, najpracowitszych członków tych ciał reprezentacyjnych. Cześć jego pamięci.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1886.

stron.

## *Historya.*

Delegacya m. Kamieńca Podolskiego na sejm czteroletni w r. 1789 wysłana. Przez Tadeusza Korzona. . . . .	1
Sprawa bułgarska. (Od 18 września do 26 grudnia 1885 r.). Przez Eugeniusza Lipnickiego. . . . .	177, 368

## *Historya literatury.*

Adam Mickiewicz w podróży w r. 1830—1831. Napisał Teofil dr. Ziemia . . . . .	28
Alfred Tennyson. Przez Jul. Adolfa Świącickiego. . . . .	201, 384

## *Prawodawstwo kościelne.*

O zbiorze ustaw synodalnych polskich Żórawskiego. Napisał Alfred dr. Schlichting . . . . .	60
--	----

## *Powieść.*

Hessy O'Grady. Powieść oryginalna osnuta na tle stosunków obecnych w Irlandyi. (C. d.). Napisał Działosza. . . . .	109, 403
--	----------

## *Sprawy społeczne.*

Z ekonomiki IX.—Położenie włościan po uwłaszczeniu.—Do-



statok „woli<sup>a</sup> i brak chleba.—Potrzeba instytucji, ułatwiającej nabycie ziemi kmięciom mało- i bezrolnym.—Bank włościański i jego ustawa.—Zdanie sprawy z operacji banku włościańskiego po 1 stycznia 1885 r.—Działalność Banku włościańskiego na Litwie i Rusi. Obecny stan operacji.—Reakcyjniści.—Brak towarzystwa parcelacyjnego i konieczność rozszerzenia operacji Banku włościańskiego na Królestwo Polskie.—Wzorowe sprawozdanie.—Konieczność kredytu dla włościan. Wiejskie instytucje kredytowe.—Ich wadliwość.—Na czém polegać winien system drobnego kredytu wiejskiego? — Banki wiejskie.—Projekt ustawy Banku wiejskiego w Wilanowie.—Bank wiejski hr. Aleksandry Braniokięj w Białej Cerkwi.—Operacje tej instytucji w 1884 r.—Na czém polegać winny obecne nasze usiłowania.—Dwa wnioski do zarządu Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.—Bibliografia. Przez F. Fendi . . . . .

84

Z ekonomiki X.—Hannibal ante portas! —P. Szarapow.—Fałszywe alarmy.—„Wielki“ przemysł polski w obec istotnej potęgi rosyjskiego.—Stowarzyszenia akcyjno-przemysłowe polskie i rosyjskie.—Przemysł rosyjski w 1881 r.—Siła jego wytwórczości.—„Moskiewskie Wiedomości“ i wewnętrzna granica celna.—Co jest najgłówniejszą przyczyną upadku naszego rolnictwa? — Taryfy dróg żelaznych.—Łódź i Sosnowice.—Szczucie Niemców i brak taktu ze strony niektórych organów.—Przyczyny застоju „polskiego“ przemysłu.—Urzędowania i niewłaściwy wybór zawodów.—Istotne przyczyny konkurencji Łodzi.—Samorodny rozwój przemysłu rosyjskiego.—Przewaga pod niektórymi względami wielkorosyanina nad naszym kmięciem.—Bank dworżański.—System kredytu ziemskiego w Cesarstwie.—Akcyjne banki ziemskie.—Kredyt ziemski w guberniach zachodnich.—Stan obdłużenia ziemi tamże.—Działalność banków ziemskich: wileńskiego i kijowskiego.—Ustawa banku dworżańskiego i restrykcje.—Urzędowy szacunek ziemi w guberniach: wolińskięj podolskięj i kijowskięj. Przez F. Fendi . . . . .

211

### *Geografia i statystyka.*

Kongo. Nowe państwo międzynarodowe w Afryce. Przez E. S. Naganowskiego. . . . .

329

### *Pedagogika i historia szkół.*

Obraz statystyczny szkół w guberniach zachodnio-południowych Cesarstwa w latach 1825—1826 na podstawie raportu urzędowego (dok.). Przez Zygmunta Glogera. . . . .

353

## *Kronika zagraniczna.*

Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—Doroczne posiedzenie Akademii francuzkiej.—Dzieła uwieńczone konkursovą nagrodą w końcu 1885 roku: „Historia monarchii lipcowej“ p. Thureau-Daugin.—„Historia handlu we Francji“ p. profesora Pigeonneau.—„Szymon z Monfort, hr. Leicester“ p. d-ra Bemont.—„Książę Rohan i protestanci za czasów Ludwika XIII-go“ przez Henryka de la Garde.—„Fenelon w Cambrai“ p. księcia de Broglie. — „Brahminizm i stosunek jego do Judaizmu i Chrześcijaństwa,“ przez biskupa Laouenan z Pondichery.—„Historia powszechna literatury nowożytnej,“ przez profesora Maro Monnier, zmarłego w Genewie.—„Filozofowie z Akademii francuzkiej“ przez Lucyana Brunet. — „Wybrzeża Francji,“ przez Karola Vatlier z Amboyse.—„Życie koczownicze na drogach angielskich w XIV-ym wieku“ p. Jusserand. — „Mowy pogrzebowe Bossueta“ z komentarzem p. Jacquinet. — „Chrestomatya starożytności francuzkiej“ p. Constans. — „Gramatyka starożytności francuzkiej“ profesora Cledat.—Literackie utwory Pawła Bourget.—Poezye Andrzeja Lemoine.—„Lekeye filozofii“ prof. Eliasza Rabier.—„Potęga Francji“ p. Jeanerod. — „Jan z Vivonne“ przez hr. Guy de Bremond. — Powieść „Tony“ pani Beutzon. — „Najlepszy dział,“ powieść p. Tinseau.—„Dziedzictwo ojca Farruel“ p. La Salle.—Dzieła pedagogiczne: „Projekta panny Marcelli“ p. Desbeaux.—„Wychowanie w rodzinie“ pani Samson.—„Nowe zdobycze naukowe“ Ludwika Figuier.—„Życie i prace wielkich wynalazków“ barona Ernouf. — Wielkie przykłady starożytności chrześcijańskiej p. Pelissier. — Dwa poemata na zadany temat „Sursum Corda:“ panny Loiseau i kapitana Berelli.—Przyjęcie do Akademii Józefa Bertrand: — Mowa Pasteura.—„Kaplan z Nemi,“ dramat filozoficzny Renana. — Jakobici, dramat Fr. Coppée.—Odczyt generała Tcheng-ki-Tong, „o cywilizacji chińskiej.“—„Pamiętniki dzisiejsze“ p. Bonnieres.—Dzieło w niemieckim języku: „Die Mutter“ przez p. Michała Żmigrodzkiego . . .

217

### *Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*

„Master Thaddeus, or the last Foray in Lithuania—by Adam Mickiewicz, an historical epic poem, in XII books, translated from the original by Maude Ashurst Biggs, with a preface by W. R. Morfill, M. A. and Notes, by the translator and Edmond Naganowski.“ London, Trübner et Comp. 1885. Przez Maryą Wentz'1 . . .

120

Znaczenie większej własności i obowiązki większych właścicieli

ziemskich w Królestwie Polskiem. Napisał Ludwik Górski. Warszawa u J. Bergera. 1886, str. III, i 95. Przez R. B. . . . .	127
„Henryk Heino.“—Portret literacki, przez Teodora Jesko-Choińskiego.—Kraków 1885 roku. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . .	138
Stefania Chłędowska — „Szkice literackie;“ (tomów dwa). Lwów i Warszawa, 1885. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . .	262
Les grandes épouses études morales et portraits d'histoire intime par M. de Lescurc, ouvrage orné de douzo portraits gravés sur bois d'après les originaux authentiques, str. 528—8-mi, Paris 1884. Firmin Didot et C-ie. Przez J. A. Święcickiego. . . . .	283
„Adam Mickiewicz.“ Zarys biograficzno-literacki, skreślił Piotr Chmielowski. Warszawa i Kraków. Gebethner i Wolff. 1886. Dwa tomy. Przez dr. S. W. . . . .	425
Stanisław Budziński. „Z obcego Parnasu.“ Warszawa, 1886 roku. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . .	430

### Kronika miesięczna.

*Styczeń* — Proskrypcyo czyli banicye pruskie. — Stagnacya w handlu księgarskim, oraz zmniejszająca się liczba prenumeratorów pism peryodycznych polskich. — Wzmianka o prelekcjach, mianych w Warszawie na dochód Osad rolnych. — Ruch naukowy w Akademii Umiejętności w Krakowie i Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu. — Ruch w dziedzinie sztuki (wystawa szkiców), teatru i muzyki. — Towarzystwo popierania przemysłu i handlu. — Towarzystwo Kredytowe miasta Warszawy. — Wzmianka o zatwierdzonych ustawach Towarzystw kredytowych miast gubernialnych Lublina i Kalisza .

149

*Luty*. — Charakterystyka chwili obecnej: niepewność stosunków politycznych i społecznych. — Proskrypcye pruskie przed trybunałem niemieckiej reprezentacji narodowej. — Sprawa szkół ruskich w Galicyi. — Prelekcye Wojciecha hr. Dzieduszyckiego w Lwowie: „O stosunku Rusi do Polski.“ — Urodziny „młodego konserwatyizmu“ na łonie podstarzałego pozytywizmu warszawskiego. — Działalność naukowa Akademii umiejętności w Krakowie i Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu. — Fundacya króla belgijskiego dla poparcia przedsięwzięć naukowych. — Konkurs Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem. — Konkurs imienia Wojciecha Bogusławskiego na rzecz dramatu lub komedji. — Teatr i beneficj Bolesława Leszczyńskiego („Bezczelni“). — Opera „Jadwiga“ świeży utwór p. Jarckiego. — Towarzystwo ogrodniczo w Warszawie. „Ogrodnik.“ — Towarzystwo opieki nad zwierzętami. — Zamknięcie „Banku Polskiego“, oraz inauguracya „Warszawskiego Kantoru Banku Państwa.“ — Zjazd młynarzy. — Towarzystwo popierania przemysłu i handlu. —



Stacye meteorologiczne przy cukrowniach ze stacją centralną w Warszawie. . . . . 291—319

*Marzec.*—Rzut oka na ważniejsze momenta życia publicznego w Europie. — Rezolucya sejmu pruskiego w celu tępienia narodowości polskiej w Prusach zachodnich, w W. ks. Poznańskim i na Ślązku. — Znaczenie mowy ks. Bismarcka, z dn. 28-go stycznia. — Projekt prawa regulującego sprawę kolonizacyi prowincyi wschodnich Królestwa pruskiego przez: 1) Kolonizacyą niemiecką; 2) szkołę, jako środek tępienia narodowości polskiej: a) Nauczyciele i nauczycielki szkół ludowych. b) Obostrzenie kar za nieuczęszczanie dzieci do szkół elementarnych. c) Szkoły uzupełniające dla terminatorów i rękodzielników. 3) Monopol lekarzy niemców dla „szczepienia ospy.“ 4) Usunięcie potrzeby tłumaczy sądowych. — Projekt do nowego prawa, regulującego stosunki kościelno-polityczne. — Działalność polska na polu nauk w Akademii Umiejętności w Krakowie i w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu. — Sprawa pomnika Ad. Mickiewicza w obec projektu J. Matejki. — Sprawozdanie z ruchu muzycznego („Wesele Figara,“ „Warszawiacy zagranicą,“ „Chata za wsią.“ Koncertujący goście śpiewacy: Lassalle, Sauret, Grünfeld, Barbi; muzycy: p. Cesi, Soldat, Wanda i Jadwiga Bulewskie). — Wiadomość z ruchu teatralnego: „Chata za wsią“ — „Mąż i żona“ — „Skrytka.“ — Otwarcie nowego teatru w Lublinie. — Rocznik Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. — Czynności bieżące w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu. . . . . 443—483

### *Wiadomości bibliograficzne.*

*Styczeń.*—„Rozmowy o dawnych dziejach“ przez Ernesta Sulimczyka Świeżawskiego. — „Co dać dziecku na gwiazdkę“ p. Wł. Nowickiego. — „Encyklopedia wychowawcza“ zesz. 1-y tomu IV-go. — „Słownik geograficzny“ zesz. 72. — „Adam Mickiewicz“ p. P. Chmielowskiego. — Kraft Ebing: „Nasz wiek nerwowy.“ — A. Skórkowski „Szkice popularne najnowszych postępów przyrodoznawstwa.“ — J. Siemiradzki: „Z Warszawy do równika.“ . . . . . 168—174

*Luty.*—Pamiętnik fizyograficzny t. V.—J. H. Taylor: Zmyślność i moralność roślin (320).—H. Struve: Estetyka barw (322).—Poezye A. Mickiewicza wyd. P. Chmielowskiego t. III.—P. Chmielowski: Zarys literatury polskiej z ostatnich lat 20-u wyd. 2-gie.—H. Spencer: Jednostka w obec państwa (324).—A. Leist: Szkice z Gruzji.—Sahi-Bey: „Z tajemnic wschodu“ (325).—Sprawozdanie z 5-go zjazdu geografów w Hamburgu 1885 r. (326). — Babeau: Historia szkół ludowych we Francyi w epoce rewolucyi (327). — Ks. P. Semencko: „Credo“ (328). . . . . 320—328

*Marzec.*—T. Korzon: Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisła-

	stron.
wa Augusta (1764—1794), t. IV, część I-sza na (483). — Szczęsny Morawak: Wyrazy fenickie w mowie polskiej. . . . .	485

*Nekrologia.*

Ś. p. Ignacy Janicki (487).—Ś. p. Maksymilian Zatorski . . . . .	488
--	-----

*Ogłoszenia.*

Od Redakcyi.—Kraj.—Encyklopedia wychowcza.

---